RADYKALNA NADZIEJA

ŹRÓDŁO ODWAGI I SIŁY W NIEBEZPIECZNYCH CZASACH

POD REDAKCJĄ

CAROLINY DE ROBERTIS

O książce

9 listopada 2016. Tego ranka mieszkańcy USA obudzili się w nowym świecie. I co najmniej połowie z nich bardzo nie spodobało się to, że zinstytucjonalizowana władza w ich kraju dostanie się w ręce niekompetentnych mizoginów, rasistów i ksenofobów.

Radykalna nadzieja to błyskawiczna odpowiedź wybitnych powieściopisarzy, poetów, dziennikarzy, politologów i aktywistów na szok, jaki przeżyli Amerykanie po wyborach prezydenckich. Swoje przemyślenia spisali w formie listów - do przodków, dzieci, wnuków, do tych, co się boją, i tych, którzy nie rozumieją.

Ta rozpisana na głosy symfonia, wydana pod redakcją wielokrotnie nagradzanej pisarki, Caroliny De Robertis, to antidotum na przerażenie i paraliż. Kompas pozwalający żyć i poruszać się w nowej rzeczywistości. Słowa

dające nadzieję nie tylko zawiedzionym Amerykanom, ale i ludziom we wszystkich miejscach na świecie, w których zwyciężają populizm i ignorancja.

RADYKALNA NADZIEJA

ŹRÓDŁO ODWAGI I SIŁY W NIEBEZPIECZNYCH CZASACH

POD REDAKCJĄ
CAROLINY DE ROBERTIS

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYLI
JAN KRAŚKO
PAWEŁ LIPSZYC
ANDRZEJ SZULC
ROBERT WALIŚ

ALBATROS

Carolina De Robertis

Urodzona w Wielkiej Brytanii pisarka urugwajskiego pochodzenia. Autorka trzech powieści – **Perła**, **Niewidoczna góra** (uznana przez „San Francisco Chronicie”, „O, The Oprah Magazine” oraz „Booklist” za najlepszą książkę roku 2009 i nagrodzona włoską Premio Rhegium Julii) i **Bogowie tanga** – przetłumaczonych na 17 języków. Jest również wielokrotnie nagradzaną tłumaczką literatury latynoamerykańskiej. Mieszka w Kalifornii.

carolinaderobertis.com

Tytuł oryginału:
RADICAL HOPE:
LETTERS OF LOVE AND RESISTANCE IN DANGEROUS TIMES

Compilation copyright © 2017 by Carolina De Robertis
Originally published by Knopf/Vintage
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright
© Jan Kraśko & Paweł Lipszyc & Andrzej Szulc & Robert Waliś 2017

Redakcja: Marta Gral

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka

ISBN 978-83-6578-112-3

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em.eu

To jest właśnie ten moment, kiedy artyści powinni się zabrać do roboty… Mówimy, piszemy, tworzymy język… W ten sposób uzdrawia się cywilizacje.

TONI MORRISON, *To nie miejsce na użalanie*
się nad sobą i nie czas na strach
„The Nation”, 23 marca 2015

SPIS TREŚCI

Carolina De Robertis – SYMFONIA NA GŁOSY (*przeł. Jan Kraśko*)

Junot Díaz – RADYKALNA NADZIEJA (*przeł. Andrzej Szulc*)

Korzenie

Alicia Garza – DROGA MAMO HARRIET (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Roxana Robinson – LATARNIA (*przeł. Robert Waliś*)

Lisa See – KOCHANY WNUCZKU (*przeł. Jan Kraśko*)

Jewelle Gomez – TO NIE MOMENT, TO RUCH (*przeł. Andrzej Szulc*)

Hari Kunzru – LIST DO MOJEGO SYNA (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Faith Adiele – MARZENIA NASZYCH OJCÓW (*przeł. Robert Waliś*)

Parnaz Foroutan – AMERYKA (*przeł. Jan Kraśko*)

Chip Livingston – DROGI CHEBONIE (*przeł. Andrzej Szulc*)

Gałęzie

Mohja Kahf – PRAWA CZŁOWIEKA TO UCHWYT. PRZEKAŻ GO INNYM (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Achy Obejas – TY (*przeł. Robert Waliś*)

Viet Thanh Nguyen – ZAŻĄDAĆ NIEMOŻLIWEGO (*przeł. Jan Kraśko*)

Cherríe Moraga – „HOLLA” Z WEST SIDE (*przeł. Andrzej Szulc*)

Kate Schatz – CHODZI MI O TO (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Boris Fishman – SZANOWNY PANIE ROELL (*przeł. Robert Waliś*)

Karen Joy Fowler – KIEDY WY STOICIE (*przeł. Jan Kraśko*)

Elmaz Abinader – DO KOBIETY STOJĄCEJ W KOLEJCE W SKLEPIE (*przeł. Andrzej Szulc*)

Aya de León – DRODZY Z NOWEGO TYSIĄCLECIA (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Jane Smiley – CZY NIE MA NADZIEI? (*przeł. Robert Waliś*)

Luis Alberto Urrea – PRZYZWOITOŚĆ I KARMA POD POMARAŃCZOWYM CEZAREM (*przeł. Jan Kraśko*)

Mona Eltahawy – #FUCKFASCISM #FUCKTHEPATRIARCHY (*przeł. Andrzej Szulc*)

Jeff Chang – LĘK I OPÓR (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Nasiona

Claire Messud – LIST DO MOJEJ CÓRKI (*przeł. Robert Waliś*)

Meredith Russo – NAJWAŻNIEJSZY AKT OPORU (*przeł. Jan Kraśko*)

Reyna Grande – LIST DO CÓRKI CHRZESTNEJ (*przeł. Andrzej Szulc*)

Katie Kitamura – JĘZYKIEM STWORZYSZ SIEBIE (*przeł. Paweł Lipszyc*)

iO Tillett Wright – JESTEŚ TAKI JAK JA (*przeł. Robert Waliś*)

Francisco Goldman – ZENAIDA (*przeł. Jan Kraśko*)

Celeste Ng – OTWÓRZ SIĘ (*przeł. Andrzej Szulc*)

Peter Orner – KILKA MYŚLI DLA ROSCOE (*przeł. Paweł Lipszyc*)

Cristina García – QUERIDÍSIMA PALOMITA: LIST DO MOJEJ PRAPRAPRAPRAPRAWNUCZKI (*przeł. Robert Waliś*)

PS

Carolina de Robertis – HASŁA Z MARSZU KOBIET (*przeł. Jan Kraśko*)

Podziękowania

O autorach

Prawa autorskie

O redaktorce

SYMFONIA NA GŁOSY
Carolina De Robertis

Drogi Czytelniku

Trzy dni po wyborach w 2016 roku usiadłam przy biurku pogrążona w smutku. Nie byłam osamotniona. Tak jak wielu innych (być może jak Ty), nie mogłam spać i zdążyłam już odbyć wiele rozmów – z przyjaciółmi, rodziną, studentami i kolegami, osobiście i za pośrednictwem mediów społecznościowych – na temat wzrostu liczby przestępstw z nienawiści, bólu, cierpienia, przemocy i spustoszenia, którego możemy się spodziewać po tych wyborach.

Przygnębiona myślałam o wielu rzeczach. O wywalczonych z trudem w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat prawach obywatelskich, którym teraz znowu grozi niebezpieczeństwo. O wielu społecznościach – imigrantach, ludziach

o różnym kolorze skóry, homoseksualistach, transgenderystach, kobietach, muzułmanach, żydach, ludziach wywodzących się ze wszystkich środowisk – które przygotowują się teraz (być może podobnie jak my, bo ja też należę do niektórych z tych społeczności) na nowe ataki ze strony władz. Myślałam o zmianach klimatycznych, o Sądzie Najwyższym. O demokracji. O innych dotkniętych tą zmianą narodach, które nas obserwują. Myślałam o przyszłości bliższej i dalszej.

Myślałam także o siedmioletniej córeczce mojej przyjaciółki, urodzonej w Stanach czarnoskórej dziewczynce, która boi się, że Trump wyrzuci jej rodzinę z kraju. I o czteroletnim synku innej przyjaciółki, który – tak jak moje dzieci – ma dwie mamy i który spytał, czy Trump zniszczy jego rodzinę.

Myślałam o moim synu; urodził się kilka dni po zaprzysiężeniu Obamy na pierwszą kadencję i przez całe życie mieszkał w kraju, gdzie ktoś taki jak Barack Obama – czarnoskóry mieszaniec, dziecko imigrantów – może zostać prezydentem. Przez wiele miesięcy mój syn zapowiadał, że użyje kung-fu, aby bronić swoich meksykańskich przyjaciół przed Donaldem Trumpem i jego murem. Dziewiątego listopada nie chciał wstać

z łóżka i nie poszedł do szkoły, ponieważ, jak oznajmił, nie postawi nogi w kraju, którego prezydentem jest Trump. Nie kierował nim strach. To był bojkot.

Myślałam o słowach mojej czteroletniej córeczki, która mając na myśli Trumpa, ni z tego, ni z owego, wypaliła: „Nie jesteśmy dla niego piękni. Nikt mi tego nie powiedział. Po prostu tak czuję".

Myślałam o swojej babci, poetce i aktywistce z Urugwaju, która zmarła w okresie dyktatury. Urodzona w Argentynie, wygnana za prezydentury Juana Perona (który, co warto zaznaczyć, nie był dyktatorem, tylko demokratycznie wybranym autokratą), znalazła schronienie w małym, spokojnym Urugwaju – tylko po to, by kilka lat później zobaczyć, jak jej dwie ojczyzny, ta prawdziwa i ta przybrana, padają ofiarą przewrotów wojskowych, jak władzę przejmują w nich rządy terroru spod znaku porwań, tortur i więzień. Nieopublikowane wiersze mojej babci, znalezione w domu po jej śmierci, mówią o głębi smutku, jaki przeżywała. Nie dane jej było zobaczyć upadków tych dyktatur. Zastanawiałam się, jak zdołała to wszystko przetrwać, przeżyć wewnętrznie, jak walczyła w obliczu represji,

jakim sposobem zachowała wiarę, co jej pomogło. Nadzieja? Czy udało jej się zachować chociaż jedną jedyną iskierkę? Czy mogła sobie wyobrazić, że w 2010 roku dwójka bestialsko torturowanych więźniów politycznych urugwajskiej dyktatury zostanie ukochanym prezydentem i pierwszą damą tego kraju? Że José Mujica i Lucía Topolansky zapoczątkują epokę bezprecedensowej odnowy i postępu? Czy w tej najczarniejszej godzinie mogła sobie wyobrazić tak jasną przyszłość? Czy mogła wiedzieć, że jej nasiona kiełkowały już wtedy, w tych koszmarnych czasach? Co bym jej powiedziała, gdybym mogła cofnąć się w czasie i z nią porozmawiać, i co ona, widząc mnie przy tym biurku, miałaby do powiedzenia mnie?

Tego ranka myślałam również o Tobie, Czytelniku, choć przecież nie znam Cię osobiście. Myślałam o długiej podróży, która czeka Ciebie, mnie i nas wszystkich, i zastanawiałam się, co zrobimy – co możemy, co musimy zrobić – aby wyjść z tego bez szwanku, patrząc w przyszłość, zachowując zdrowie psychiczne i trzeźwość umysłu, nieugięty upór i zaangażowanie w obliczu gróźb i ataków na społeczności, wartości i demokrację, które tak sobie cenimy.

Zaprzątnięta tymi pytaniami, spróbowałam nawiązać kontakt z pisarzami i poprosić ich, aby wraz ze mną wzięli udział w czymś, co początkowo wydawało się projektem dziwnym i bardzo mglistym: w stworzeniu zbioru listów miłosnych, które będą naszą odpowiedzią na dzisiejsze czasy.

Listów, ale dlaczego akurat miłosnych?

Esej epistolarny, czyli esej w formie listu, ma wyjątkową moc. Jego niezrównanym przykładem, który zainspirował tę książkę, jest *Zadrżał mój loch. List do mojego bratanka w setną rocznicę emancypacji* Jamesa Baldwina ze zbioru *Następnym razem pożar* wydanego w 1963 roku (tego samego, w którym Martin Luther King napisał błyskotliwy, jakże brzemienny w skutkach esej epistolarny zatytułowany *List z więzienia w Birmingham*. Baldwin w liście adresowanym do bratanka mówi głośno o niesprawiedliwościach zinstytucjonalizowanego rasizmu, pięknie i godności życia czarnych obywateli i potrzebie zmian społecznych. List jest czuły i jednocześnie analityczny, żarliwy i pełen niuansów, ogólny, a zarazem bardzo osobisty. Baldwin udowodnił,

że esej epistolarny, jako forma literacka, jest znakomitym narzędziem do łączenia wnikliwej myśli politycznej z prywatnymi refleksjami, że po mistrzowsku je integruje.

I właśnie tu pojawia się miłość. Miłość jest klejem scalającym sferę polityczną i prywatną, aktywizującym tę pierwszą, a drugiej nadającym kontekst. Dręczące autora myśli są w liście ukierunkowane na potrzebę nawiązania kontaktu z adresatem i właśnie dzięki temu, tej chęci – czy nawet przymusowi – wyjścia poza siebie możemy połączyć tematy społeczne z prywatnymi, z tym, co najbardziej nas dotyczy i jest dla nas najważniejsze. To miłość powoduje, że nie wzdrygamy się i nie cofamy przed długą, jakże trudną podróżą ku sprawiedliwości, to miłość dodaje nam sił, jest naszym kompasem moralnym i mapą.

Słowo „sprzeciw” zaistniało w tym projekcie jako wyraz obrony prawdy przed represją. Moja babcia powiedziałaby Wam zapewne, że wcale nie trzeba dyktatora, aby stworzyć atmosferę strachu i zabić wolność słowa. Aby okryć kraj całunem milczenia i cenzury, wystarczy zwykły despota u steru rządów, tyran grożący i zastraszający dziennikarzy (albo była Miss Universe, aktor z *Hamiltona* czy zwykły

obywatel). A w takim klimacie można albo siedzieć cicho i żyć w strachu, albo wstać, wyprostować się dumnie i przemówić. Sprzeciw jest werbalnym oporem. Potwierdzeniem tego, co głosimy, naszej wartości. W ustroju demokratycznym jest naszym fundamentalnym prawem. I, co może paradoksalne, ma związek z miłością. Są to dwie uzupełniające się siły. Tam gdzie oczywistą wartością władzy zinstytucjonalizowanej jest dogmat, mówienie o miłości jest aktem sprzeciwu.

Reakcja na moją prośbę oszołomiła mnie swoją szczodrością, głębią, przenikliwością i poczuciem palącej potrzeby. Autorzy, których listy tu zamieszczam – wybitni powieściopisarze, dziennikarze, poeci, działacze i myśliciele polityczni – nie mogli mnie bardziej wzruszyć ani nauczyć mnie większej pokory. Są zbiorowym zwierciadłem tego, dzięki czemu nasze społeczeństwo jest tak silne i piękne. Choć pochodzą z różnych środowisk i społeczności, choć mając korzenie na całym świecie – w Syrii, Libanie, Meksyku, na Kubie, w Nigerii, Chinach, Japonii, Egipcie, Indiach, Puerto Rico, Iranie, Gwatemali, rdzennej Ameryce Północnej, Rosji,

różnych częściach Europy i Afryki – wszyscy oni uważają Stany Zjednoczone za swój dom. Są sąsiadami i działaczami, wykładowcami i artystami, matkami i ojcami, synami i córkami, heteroseksualistami, homoseksualistami i transgenderystami. Żydami, muzułmanami, chrześcijanami i buddystami, ateistami i ludźmi nieprzyznającymi się do żadnego wyznania. Ale przede wszystkim są zatroskanymi obywatelami i członkami społeczności, którzy martwiąc się o swój kraj, czują potrzebę zabrania głosu w służbie sprawiedliwości, odwagi i nadziei.

Ci dzielni, odważni autorzy listów – każdy na swój sposób – oceniają i analizują to, co zabrał nam ten społeczny zwrot, co się zmieniło, a co nie, gdzie teraz jesteśmy, dokąd zmierzamy zarówno w sensie prywatnym, jak i społecznym. Analizują – między innymi – zmagania, zwycięstwa i migracje, które ukształtowały życie i tkankę naszego narodu, piszą o woli przetrwania, dzięki której dalej idą nawet ci najbardziej zniechęceni i wyczerpani, o głębokiej nauczce, jaką dali nam przodkowie, którzy propagowali pomysłowość w obliczu ubóstwa, otwarcie protestowali przeciwko niewolnictwu lub uprawiali ziemię jak ich dziadowie. Próbują przewidzieć dalsze losy ruchów reformatorskich

i Partii Demokratycznej, piszą o czekających nas bataliach politycznych, o cichych, wewnętrznych bitwach o nadzieję i odporność, ukrytą podstawę każdego ruchu walczącego o lepszy świat. Rozprawiają o siłach, dzięki którym możemy być razem, przedstawiają śmiałe wizje dla przyszłych pokoleń, kreślą mapy drogowe, by wizje te mogły się ziścić. Piszą o wewnętrznych źródłach paliwa, które – wbrew wszelkim przeciwnościom – pobudza nas do pracy, działania, do marzeń, planowania, pisania, czytania, mówienia, troszczenia się o innych i kształtowania naszego świata dla dobra ogółu i jednostki oraz dla dobra tych, którzy przyjdą po nas.

Powstanie wiele książek o epoce Trumpa, napisanych z punktu widzenia konkretnego autora, w tym – nie ma co do tego żadnych wątpliwości – wiele cennych. Z niecierpliwością czekam, aż będę mogła je przeczytać i czegoś się z nich nauczyć. Uważam jednak, że obecne wyzwania wymagają głosu zbiorowego, istnieją bowiem prawdy, które można wyrazić tylko tak – poprzez ich pryzmatyczne rozpowszechnianie. Innymi słowy, żaden solista nie odda w pełni muzyki naszych czasów – tu potrzebna jest symfonia. Symfonia, ponieważ jest wiele prawd, wiele sposobów poznania, wiele perspektyw

widzenia i doświadczania, i to właśnie ten oszałamiający wachlarz możliwości daje głosom moc i tworzy naszą koalicję, wciąż niepowstrzymaną i dominującą zarówno w tym kraju, jak i na świecie.

Ułożyłam te listy i eseje w luźno spleciony łuk narracyjny, dzieląc je na trzy części: *Korzenie* zgłębiają historię, która doprowadziła nas tu, gdzie dzisiaj jesteśmy, i zawierają wiele listów zaadresowanych do naszych przodków. *Gałęzie* zwracają się do współczesnych nam ludzi i społeczności – do nieznajomego w supermarkecie, osób urodzonych w latach wyżu demograficznego, do przedstawicieli pokolenia milenijnego, do białych, artystów, obrońców rezerwatu Indian Standing Rock – i próbują odpowiedzieć na złożone pytania dnia dzisiejszego. I wreszcie *Nasiona*, które spoglądają w przyszłość, przemawiając do nowego pokolenia, do synów, córek, chrześniaków i chrześniaczek, dzieci jeszcze nienarodzonych, spadkobierców tego, co się teraz dzieje.

Mówię, że listy te i eseje są luźno splecione, ponieważ każdy z nich jest mikrokosmosem myśli, w pełni ukształtowanym światem, dlatego

można je czytać w dowolnej kolejności lub jako niezależne pojedyncze utwory. Nie ma jednego sposobu. Tematy listów falują własnym rytmem, zazębiając się o siebie i rozbrzmiewając echem. I tak być powinno. Nie ma nasion bez gałęzi, nie ma gałęzi bez korzeni, a te bez nasion nie powstaną.

Nadeszły niebezpieczne czasy. Mimo to nie wszystko jest stracone. Przyszłość pozostaje niezapisana i choć to niełatwe, właśnie my będziemy ją kształtować. Zinstytucjonalizowaną władzę przejęła banda skorumpowanych przywódców, rasistów, mizoginistów i ksenofobów, niekompetentnych szubrawców, którzy chcą zburzyć świątynię naszej demokracji. Powinniśmy stawiać im opór, nieustannie i dopóki się da, aby strzec naszych wspólnych praw i przyszłości Ziemi. To ciężka praca. Może nas szybko zmęczyć lub sparaliżować rozpaczą. I tu na scenę wydarzeń wkracza ta książka. W zawartych w niej słowach, myślach i głosach, w tym, że jesteśmy razem, jest antidotum na przygnębienie. Dlatego zachęcam Was, byście znaleźli na tych kartach to, czego najbardziej potrzebujecie: balsam, ukojenie, sygnał do walki,

manifest liryczny, źródło siły, zwierciadło, schronienie, pomocną dłoń, latarnię morską czy pochodnię, która rozświetli Wam drogę.

Nie opuszcza mnie nadzieja, że słowa, które zaraz przeczytacie, podniosą Was na duchu, nakarmią Was, obudzą, otworzą Wam oczy i sprawią, że poczujecie się mniej osamotnieni. Czekają na Was, dadzą Wam schronienie. Są przesycone nieustraszoną odwagą i głębokimi prawdami o fragmencie wielkiej powieści, którą nazywamy historią ludzkości. Są pieśnią wyśpiewaną na głosy z sercem i intelektualnym zapałem.

Wszystko tu jest. My też tu jesteśmy. I pozostaniemy. Jesteśmy większością, Drogi Czytelniku. Przyszłość należy do nas i poznamy ją razem.

Con mucho amor
Carolina
Oakland, Kalifornia
Dzień Martina Luthera Kinga
16 stycznia 2017

RADYKALNA NADZIEJA
Junot Díaz

Querida Q.

Mam nadzieję, że nawet jeśli nie czujesz się lepiej, to nie jesteś przynajmniej taka zdołowana. W środę, po tym, jak wygrał, wysłałaś mi maila, szukając rady, wyrazów solidarności. *Dziś rano dzwoniły do mnie z płaczem moje dwie młodsze siostry* – napisałaś. – *Nie miałam im nic do powiedzenia. Byłam zdruzgotana. Co teraz? Mam dalej mówić prawdę, zapędzona do narożnika? Poddać się?*

Odpowiedziałem natychmiast, bo cierpię, widząc, jak Ty, moja *hermana*, jesteś w takiej rozpaczy. Próbowałem dodać Ci otuchy, ale prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak to zrobić. Co powiedzieć Tobie, sobie samemu i moim

dzieciom chrzestnym, którym od roku śni się, że ich rodzice zostaną deportowani.

Myślałem o Twoim mailu przez cały dzień, Q., myślałem o nim, prowadząc wieczorne zajęcia. Moi studenci byli w szoku. Kilku mówiło, jak bardzo się boją i czują się zdradzeni. Dwóch się popłakało. Nie jest łatwo pogodzić się z faktem, że połowa głosujących – sąsiedzi, znajomi, rodzina – wybrała z własnej woli na najwyższy urząd w kraju toksycznego mizogina, demagoga i rasistę, który chce uczynić Amerykę wielką, niszcząc prawa obywatelskie – zdobycz ostatnich pięćdziesięciu lat.

Co teraz? – zapytałaś. To samo pytanie zadali mi studenci. Obawiam się, że moja odpowiedź była równie nieprzekonująca jak ta, którą dałem Tobie. I teraz siedzę w środku nocy, próbując jej udzielić ponownie.

Więc co teraz? Po pierwsze i przede wszystkim musimy to wszystko poczuć. Nie odwracając się plecami, nie wpadając w odrętwienie lub cynizm, musimy z całą odwagą doświadczyć poczucia odrzucenia, zagrożenia i strachu, które są wynikiem zwycięstwa Trumpa. Musimy jasno powiedzieć, co straciliśmy: nasze bezpieczeństwo, poczucie przynależności, wizję naszego kraju. Musimy

w pełni poczuć i opłakać te szkody po to, by nie pogrążyły nas w rozpaczy i by można było je naprawić.

I wykonując tę trudną, ale niezbędną robotę, powinniśmy sięgnąć do dawnych rozwiązań, dzięki którym przetrwaliśmy ciemność. Organizujmy się. Twórzmy więzy solidarności. I owszem: walczmy. Żeby nas usłyszano. Żebyśmy byli bezpieczni. Żebyśmy byli wolni.

Dla tych z nas, którzy brali udział w walce, perspektywa jej kontynuacji, po tak dotkliwej klęsce, wydaje się czymś niemożliwym. W takich chwilach nawet *matatana*[1] może uznać, że nie da rady. Ale wierzę, że kiedy minie pierwszy szok, odzyskamy wiarę i energię. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: wiedzieliśmy zawsze, że z tym syfem nie uda się łatwo wygrać. Z władzą kolonialną, władzą patriarchalną i władzą kapitalistów trzeba walczyć zawsze i wszędzie, bo ci, którzy ją dzierżą, nigdy sami nie ustąpią. Musimy walczyć dalej, bo inaczej nie będzie dla nas przyszłości – wszystko zostanie skonsumowane. Ci z nas, których przodków trzymano w niewoli i karmiono jak zwierzęta, znają tę przyszłość aż za dobrze, bo jest w jakiejś części naszą przeszłością. I wiemy, że dzięki walce, wbrew wszystkim przeciwnościom, ci,

którzy nie mieli niczego, nawet prawdziwych imion, zmienili świat. Nasi przodkowie zrobili to, mając bardzo mało, i my, którzy mamy więcej, musimy zrobić to samo. To jest radosne przeznaczenie naszego ludu – zbudować łuk moralnego uniwersum na tak głębokim fundamencie sprawiedliwości, by nigdy nie został zburzony.

Ale choćbyśmy walczyli na całym świecie, nic nam to nie pomoże, jeśli nie będziemy mieć nadziei. Tym, co próbuję kultywować, nie jest ślepy optymizm ani bezmyślny pozytywizm, lecz coś, co filozof Jonathan Lear nazywa radykalną nadzieją. *Ta nadzieja staje się radykalna* – pisze Lear – *ponieważ jest nakierowana na przyszłe dobro, którego w danej chwili nie da się zrozumieć*. Radykalna nadzieja nie jest czymś, co się ma, ale czymś, co się praktykuje; wymaga elastyczności, otwartości i tego, co Lear określa mianem *perfekcji wyobraźni*. Radykalna nadzieja jest naszą najlepszą bronią przeciwko rozpaczy, nawet kiedy rozpacz wydaje się uzasadniona; dzięki niej możesz przetrwać koniec swojego świata. Tylko radykalna nadzieja mogła powołać do istnienia ludzi takich jak my. I wierzę, że pomoże nam stworzyć lepszą, bardziej przyjazną przyszłość.

Mógłbym powiedzieć więcej, Q., ale dość się nawymądrzałem. Czas stawić czoło temu twardemu nowemu światu, czas wrócić do wielkiego zbożnego dzieła naszego ludu. Ciemność mimo wszystko się rozjaśnia – nadchodzi nowy dzień.

Z wyrazami miłości
J.

Korzenie

DROGA MAMO HARRIET
Alicia Garza

Droga Mamo Harriet

Byłaś pierwszą osobą, o której pomyślałam ósmego listopada 2016 roku, kiedy ogłoszono, że Donald Trump został wybrany na czterdziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po raz pierwszy posłużyłaś się „podziemną koleją[2]" we wrześniu 1849 roku. Legenda głosi, że odkąd uciekłaś, nigdy nie patrzyłaś za siebie.

Ówczesny prezydent, Zachary Taylor, zmarł, zanim mógł wpłynąć na debatę dotyczącą tego, czy jesteś człowiekiem. W roku jego śmierci Kongres uchwalił ustawę o zbiegłych niewolnikach, która miała odebrać ludziom Twojego pokroju obietnicę Ameryki: życie, wolność, dążenie do szczęścia. Prezydent Polk, który objął urząd kilka lat wcześniej,

najwyraźniej uważał niewolnictwo za „kwestię poboczną”, mniej istotną niż kradzież ziemi Meksykowi i sprawy gospodarcze. Przypuszczam, że niezbyt interesowało Cię, kogo wybiorą na prezydenta, ponieważ wszyscy oni mieli niewolników. Obchodziła Cię za to polityka.

Prawdę mówiąc, często o Tobie myślę. Twoja odwaga w obliczu przeciwności losu pozwala mi kroczyć przed siebie nawet w chwilach zmęczenia, nawet kiedy się boję, nawet gdy nie do końca wiem, co robię i czy przyniesie to efekt. Myślę o Tobie w tym momencie życia politycznego, kiedy my, czarni, potrafimy być swoimi najgorszymi wrogami. Kiedy ktoś mi mówi, że czegoś nie da się zrobić, że nie pasuje do tego, co zawsze robiliśmy, słyszę, jak mówisz do mnie: „Uwolniłam tysiąc niewolników, a uwolniłabym kolejny tysiąc, gdyby tylko wiedzieli, że są niewolnikami”. Ciężko pracuję, aby być taka jak ty, Mamo Harriet. Kiedy usłyszałam, że po Waszej ucieczce Twoich braci ogarnęły wątpliwości i zawrócili, ale Ty szłaś dalej, dodało mi to siłę do działania. Gdy dowiedziałam się, że wróciłaś, by wyzwolić męża, ale on nie chciał z Tobą odejść, bo wolał zostać z nową żoną, dało mi to siłę, aby zawsze być dla siebie kompasem. Kiedy usłyszałam, że

wróciłaś, by uwolnić siostrę, ale dowiedziałaś się, że umarła, to dało mi siłę, aby iść dalej, choć może nigdy nie poznamy owoców naszych działań, nie dowiemy się, czy nasze cele zostały osiągnięte.

Mamo Harriet, zastanawiam się, co podtrzymywało Cię na duchu po wszystkich rozczarowaniach i udrękach, jakie przypadły Ci w udziale. Wyobrażam sobie, że zawdzięczałaś to swoim przodkom, tak jak ja wiele zawdzięczam Tobie. To dzięki nim zachowywałaś spokój i jasność widzenia, to oni koili Twoje serce, kiedy zdawało się pękać na milion kawałków, dawali Ci wizję tego, czym może być wolność, dawali odwagę i przesycali Cię głęboką miłością do swoich rodaków, nawet jeśli sami nie zawsze siebie kochali. Mamo Harriet, uchwalenie ustawy o zbiegłych niewolnikach nie powstrzymało Cię od dalszej działalności. Byłaś tak zdeterminowana, że po prostu przeniosłaś „podziemną kolej” w miejsce, gdzie mogła lepiej funkcjonować. Nie zrezygnowałaś. Nie skapitulowałaś. Każdej Twojej decyzji przyświecało pragnienie wolności. Nie bałaś się pracować ze wszystkimi, którzy stawiali sobie ten sam cel, nawet jeśli nie mieli za sobą takich przeżyć jak Ty. Współpracowałaś

z abolicjonistami jak John Brown, współpracowałaś z kwakrami, sufrażystkami, choć one nie dostrzegały w Tobie człowieka. Jako pierwsza kobieta przypuściłaś szturm nad rzeką Combahee, gdzie pomogłaś uwolnić siedmiuset niewolników. Przełamywałaś bariery, przesuwałaś granice. Jestem pewna, że niektórzy ludzie z Twego otoczenia nie wiedzieli, jak wielką moc posiadasz. Skoro jednak Ty z niej korzystałaś, ja będę korzystała ze swojej.

Mamo Harriet, żyjemy w niebezpiecznych czasach. Osiem lat temu wybraliśmy Baracka Obamę na pierwszego czarnoskórego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niezależnie od symbolizmu było to historyczne wydarzenie. Wiele osób czuło, że wybór Baracka Obamy oznacza, że jako kraj zdołaliśmy przekroczyć ograniczenia rasowe. Wielu próbowało dowodzić, że ten wybór stanowi spełnienie Twoich marzeń, Mamo Harriet, a także marzeń wielu ludzi żyjących przed nami. Niestety, nawet po wyborze prezydenta Obamy nadal obserwowaliśmy rasizm szalejący na poziomie instytucji i systemu.

Widzisz, Mamo Harriet, borykamy się z tym samym splotem sprzeczności co ty. Mieliśmy czarnego prezydenta, który często cofał się przed

mówieniem narodowi o wyniszczającym charakterze rasizmu, mimo że spotykał się z rasizmem na każdym kroku. Oczywiście, większość czarnych niechętnie krytykowała prezydenta, wielu z nas zdawało sobie bowiem sprawę z wyzwań, przed którymi stawał jako przywódca. Mamo Harriet, przeszliśmy od jednej postaci niewolnictwa do innej. W więzieniach i aresztach siedzi astronomiczna liczba naszych braci. Zbyt wielu z nas wciąż nie ma podstawowych środków pozwalających na przetrwanie. Niektórzy z nas, ci, którym finansowo wiedzie się lepiej, muszą godzić się z samotnym losem w morzu białych ciał, białych norm, białej kultury; zbyt wielu z nas nadal szuka akceptacji. Mimo to, Mamo Harriet, nasz naród powstaje. Ponad podziałami płci, pokoleń, statusu imigracyjnego (tak, czarnych można spotkać na całym świecie) czy orientacji seksualnych czarni powstają. W minionym dziesięcioleciu doszło do oporu czarnych, który przez ostatnie cztery lata się nasilił. Kierując się głęboką, trwałą miłością do wszystkich, pracowaliśmy ciężko, by uczynić życie czarnych równie wartościowym jak życie innych ludzi.

Doszło do reakcji. Reakcji przeciwko postępowi, który jakoby poczyniliśmy. Reakcji

przeciwko czarnemu przywódcy „wolnego” świata. Wszyscy czterdzieści trzej prezydenci Stanów Zjednoczonych byli biali, więc kiedy na czterdziestego czwartego wybrano czarnego, w kraju podniosły się głosy, że to kolejny przykład niezasłużonej daniny dla czarnych. Widzisz, Mamo Harriet, ta sama choroba, która kazała ludziom zakuwać innych w kajdany, gwałcić, odzierać z człowieczeństwa, zmuszać ich do katorżniczej pracy i nie pozwalać na korzystanie z jej owoców, ta sama choroba istnieje dzisiaj. Obecnie batogi są niewidzialne, ale blizny pozostają.

A wracając do reakcji, o której Ci wspomniałam… Jej efektem jest prezydent niegodzien tego, aby być przywódcą. Prezydent wychowany w duchu białej supremacji, nadal ją wyznający. Prezydent, który nie posiada wizji wolności ani sprawiedliwości dla nas wszystkich. Jego wizja, Mamo Harriet, polega na tym, że on i jego ziomkowie będą nadal bogacić się na naszej krwawicy. Marchewki dla jednych, kije dla innych, Mamo Harriet. Cały system demokratyczny stoi dziś pod znakiem zapytania, Mamo Harriet. Zbyt wielu z nas nie wierzy już w demokrację. Wiesz, co mówią biali, Mamo Harriet? Mówią, że nie zasługujemy na to, by

decydować o własnym życiu. Oczekują, że jakoś będziemy sobie radzić. Tak jak w czasach, gdy byłaś tu z nami, prezydent uważał niewolnictwo za „kwestię poboczną”, tak teraz zbyt wielu ludzi w naszym społeczeństwie nadal postrzega rasizm jako „kwestię poboczną”. Stabilność gospodarczą przedkładają ponad społeczeństwo, w którym każdy mógłby być sobą.

Mamo Harriet, jestem przerażona. Codziennie martwię się, że to nie wystarczy. Martwię się, że stwardnieje mi serce. Martwię się, że przestanę w nas wierzyć. To są przelotne uczucia. Wiem, że miną. Ale wiesz, o co boję się tak naprawdę? O to, że nie zdążymy, póki nie będzie za późno. Już teraz ta planeta ma kłopoty, Mamo Harriet. Znane Ci drzewa, strumienie i zwierzęta od dawna wykorzystywano nieodpowiedzialnie. Zatruli rodziny we Flint w stanie Michigan, bo widzisz, Mamo Harriet, jeśli chodzi o biednych – biednych czarnych – mówi się: mogą pić wodę z ołowiem. Dlatego codziennie modlę się do Ciebie, Mamo Harriet. Potrzebuję Twojej siły, determinacji, odwagi oraz wizji.

Codziennie modlę się do Ciebie, Mamo Harriet, żebyś dała mi siłę, żebyś wszystkim nam dała siłę, by dążyć ku wolności. Wiem, że nie będzie łatwo, dlatego modlę się, abyś umocniła

mnie i nas wszystkich. Modlę się, żebyś pomogła nam wyraźnie ujrzeć niewolnictwo, abyśmy mogli z nim walczyć i raz na zawsze położyć mu kres. Modlę się, abyś zniosła dzielące nas bariery, niepozwalające na skuteczne działanie. Modlę się, abyś leczyła nam serca, gdy pękną, kiedy walka rozbije nam je na tysiąc kawałków.

Przede wszystkim, Mamo Harriet, modlę się o to, żebyś była z nas dumna.

Z miłością
Alicia

LATARNIA
Roxana Robinson

Do mojej ciotecznej praprababki Hattie – Harriet Beecher Stowe

Ostatnio często Cię wspominam, ciociu Hattie, ponieważ wygląda na to, że znów przyszło nam żyć w mrocznych czasach. Rozmyślam o tym, jak Ty postrzegałaś swoje czasy, jak wyrażałaś sprzeciw.

Kiedy napisałaś *Chatę Wuja Toma*, był rok 1851, a Ameryka od ponad dwustu lat sprowadzała na swoje ziemie niewolników. Niewolnictwo głęboko zapuściło korzenie; stanowiło nieodłączną część naszej kultury.

Ty jednak nie dorastałaś w takiej atmosferze. Urodziłaś się w 1811 roku w Litchfield w stanie Connecticut, gdzie niewolnictwo było rzadkością. Gdy miałaś dwadzieścia kilka lat, Twój ojciec

przyjął posadę nauczyciela w Ohio i całą rodziną przeprowadziliście się do Cincinnati położonego nad rzeką, która stanowiła granicę ze stanem Kentucky. Dopiero tam zrozumiałaś, co się naprawdę dzieje. Zajęłaś miejsce w pierwszym rzędzie, skąd mogłaś śledzić przerażający dramat więźniów, którzy usiłowali wyrwać się na wolność. Zostałaś abolicjonistką. Wyszłaś za dzielącego Twoje poglądy pastora, Calvina Stowe'a. Gdy wy dwoje oraz Twój brat Henry (mój prapradziadek, kolejny pastor abolicjonista) dowiedzieliście się, że jedna ze służących w Waszym domu jest zbiegłą niewolnicą, pomogliście jej uciec do Kanady, gdzie mogła rozpocząć nowe życie. Staliście się jedną ze stacji „kolei podziemnej".

Na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku przeprowadziliście się do Maine, gdzie Twój mąż zaczął wykładać w Bowdoin College. Chociaż oddaliłaś się od cierpień niewolników, nie potrafiłaś o nich zapomnieć. Zlecono Ci napisanie serii szkiców, które miały ukazać prawdziwe oblicze niewolnictwa. Teksty, które wyszły spod Twojego pióra, złożyły się na *Chatę Wuja Toma*, jedną z najbardziej poczytnych książek XIX wieku, która zmieniła spojrzenie wielu białych

na problem niewolnictwa. Wzbudzała współczucie, które jest przeciwieństwem gniewu.

A to właśnie gniew był jedną z przyczyn utrzymywania się niewolnictwa.

Gniew pozwala zapomnieć o własnym człowieczeństwie. Jeśli mu nie ulegamy, widzimy, że inni są do nas podobni. Trudno jest skrzywdzić kogoś, kto nie wzbudza naszej złości; dopiero ona daje nam impuls do wyrządzenia krzywdy. Gniew objawia się poprzez przemoc, przemoc zaś była fundamentem, na którym zbudowano niewolnictwo.

Czujemy gniew, gdy jesteśmy podzieleni; gdy się jednoczymy, ogarnia nas współczucie.

Podczas ostatnich wyborów najbardziej zaniepokoiło mnie to, do jakiego stopnia gniew wniknął do naszego języka. Pracowałam jako wolontariuszka w przytłoczonej ubóstwem Pensylwanii i słyszałam, jak ludzie reagują wściekłością na kobietę kandydującą na urząd prezydenta. Gniew budziło nawet wypowiedzenie jej nazwiska, jakby samym swym istnieniem dopuszczała się niewybaczalnego przewinienia.

Znam ten rodzaj agresji. Bywam jej celem, ponieważ jestem kobietą. Widziałam, jak traktuje się w ten sposób inne kobiety bądź ludzi, którzy czymś się wyróżniają.

Atak sprowokowany wyłącznie tym, kim jesteś, wywołuje dziwną bezsilność. Wysłuchujesz wrogiej tyrady, czując bicie własnego serca i zdając sobie sprawę, że tak samo bije serce w piersi osoby, która cię atakuje. Wiesz, że łączy was ten równomierny wewnętrzny rytm. Zdajesz sobie sprawę, że to nie wszystko, co macie ze sobą wspólnego, ponieważ gdy patrzysz w oczy tego człowieka, dostrzegasz w nich głębię emocji – rozumiesz, że oboje jesteście ludźmi i macie duszę, choć wściekłe wrzaski wydają się temu zaprzeczać. Wrzaski mają na celu przekonać cię, że wcale nie jesteście tacy sami, a ty nie masz prawa istnieć.

Taki komunikat sprawia, że zamierasz i tracisz głos.

Skoro nie masz prawa istnieć, to twoje działanie jest bez znaczenia. Nieważne, co powiesz, napiszesz, stworzysz, zbudujesz albo wyśpiewasz. W powieści *Do latarni morskiej* Lily Briscoe rozmyśla nad niewypowiedzianą krytyką ze strony Charlesa Tansleya, jednego z gości wakacyjnego domu: „Kobiety nie potrafią

malować”. Wydaje się, że to takie proste: płeć określa twoje możliwości. Wściekłe lub pogardliwe krzyki oznajmiają, że nie jesteś w stanie niczego zmienić. Masz ochotę się sprzeciwić, ale gniew cię ogłusza i rozumiesz, że twoje słowa niczego nie zdziałają.

Słyszałam coś takiego w Pensylwanii. Kiedy jedna z młodych wolontariuszek odchodziła od domu wyborcy, mężczyzna z sąsiedniego podwórka spytał, czy przyszła namawiać do głosowania na Hillary, nie użył jednak imienia naszej kandydatki, tylko nazwał ją „tą suką”. Trzymał śrutówkę, na wypadek gdyby jego przesłanie nie zostało jasno zrozumiane. Było to przesłanie gniewu i przemocy.

Jego furia skupiła się na kobiecie, która ośmieliła się kandydować na urząd prezydenta i ubiegać się o władzę, a także na ludziach, którzy, chociaż się od nas różnią – mają inny kolor skóry, wyznają obcą religię – mają czelność być częścią naszego społeczeństwa. Wściekał się na moją kandydatkę tylko dlatego, że obie jesteśmy kobietami.

Te uczucia gniewu i wyparcia są dla mnie szokujące. Przecież tolerancja jest częścią naszego narodowego i moralnego kręgosłupa: „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że

wszyscy ludzie stworzeni są równymi”. To fundament, na którym zbudowano nasz kraj; od niego zaczęliśmy. Jeśli wierzymy w Amerykę, wierzymy również w tolerancję.

Ciociu Hattie, szokowało Cię to, co widziałaś wokół siebie. Oburzało Cię niewolnictwo i nie ukrywałaś tego. Podniosłaś głos.

Napisałam tę książkę, ponieważ jako kobieta oraz matka czułam się zgnębiona i załamana smutkiem i niesprawiedliwością, z jakimi miałam do czynienia. Ponieważ jako chrześcijanka czułam, że chrześcijaństwo jest znieważane – ponieważ kochałam swój kraj i drżałam przed nadchodzącym dniem gniewu.

Jako osoby, które kochają nasz kraj, po wątpliwych wyborach naznaczonych złośliwymi manipulacjami możemy, podobnie jak Ty, czuć się załamani. Widzieliśmy, jak człowiek, który nie wygrał w głosowaniu powszechnym i który sprawia wrażenie przerażająco ślepego na moralne fundamenty Ameryki, obejmuje najwyższy urząd w państwie. Wywyższyli go ludzie pełni gniewu, którzy czuli się zapomniani i nie widzieli przed sobą żadnych perspektyw. Tracili władzę, a wtedy ujrzeli kobietę, która postanowiła powstać i nad nimi zapanować. Poczuli się zagrożeni i rozwścieczeni.

Zagłosowali przeciwko kobiecie, która ośmieliła się sięgnąć po władzę, i wsparli mężczyznę, który sprawił, że nienawiść wobec tej kobiety wydała się słuszna.

Gniew i nienawiść nie są siłami, które powinny napędzać nasz kraj, a jednak gniew pokierował częścią wyborców, tak samo jak niegdyś zwolennikami niewolnictwa.

Potrafimy go rozpoznać.

Spoglądanie w oczy komuś, kto cię nienawidzi, jest przygnębiające. Kim jesteś, skoro kwestionuje się twoje prawo do istnienia? Jak możesz być człowiekiem, skoro jesteś znienawidzony? Nienawiść odbiera głos. Uniemożliwia komunikację, wymianę myśli. Jeśli mnie nienawidzisz, nie możemy ze sobą rozmawiać. Oboje jesteśmy samotni. Jeśli patrzysz na mnie z nienawiścią, nigdy mnie nie poznasz. Nie uwierzysz, że moje serce również bije.

Ludzie, którzy nienawidzą naszej kandydatki, będą się upierać, że nie atakują jej dlatego, że jest kobietą, ale dlatego, że jej nie ufają. Secesjoniści również twierdzili, że bronią praw poszczególnych stanów, a nie niewolnictwa. Możliwe, że ci ludzie nie rozumieją źródeł swojego gniewu. Ci, którzy przemocą narzucali

niewolnictwo, i człowiek, który wyszedł z bronią do wystraszonej wolontariuszki, czują się podwójnie zagrożeni. Grozi im utrata władzy oraz własnego człowieczeństwa.

My, kobiety, czujemy, że ich nienawiść skupia się właśnie na nas. Rozumiemy, jakie to uczucie, gdy patrzy na nas ktoś, kto nie dostrzega w nas duszy. Czujemy się wówczas jakby wymazane z istnienia. Nienawiść wobec kobiet jest dziwacznym uczuciem, gdyż oznacza nienawiść do połowy ludzkiej rasy. Także do własnych matek, żon i sióstr. W Pensylwanii jednej z wolontariuszek drzwi otworzył młody mężczyzna. Gdy dziewczyna spytała o mieszkającą tam kobietę, młodzieniec odparł: „To moja matka. Ale nie możesz z nią rozmawiać. Ona dzisiaj nie wyjdzie z domu”.

Przetrzymywał matkę w domu w dniu wyborów. Może nie ufał jej na tyle, by wpuścić ją samą do kabiny do głosowania.

Rozumiem jego złość, gwałtowny, przytłaczający, burzliwy gniew przypominający fale rozbijające się o skały. Ci ludzie nie mogą znieść myśli, że istniejemy.

Ale nie zdołają nas stłamsić.

Jako kobiety dysponujemy wieloma możliwościami, między innymi możemy

edukować nasze dzieci. Będziemy miały wpływ na kolejne pokolenia. Nauczymy młodych ludzi, by szanowali swoje matki, dzielili się władzą z żonami, zachęcali córki do uświadamiania sobie własnej siły.

Oczywiście możemy robić także inne rzeczy: ubiegać się o stanowiska, zakładać spółki, formułować twierdzenia matematyczne, projektować mosty, leczyć choroby, pisać książki, grać w filmach. Możemy walczyć o swoje i zabierać głos. Oto właściwa droga ku przyszłości.

A zatem, ciociu Hattie, tak samo jak Ty, przeleję swoje myśli na papier. Dam innym znać, że sprzeciwiam się ignorancji i wierzę w demokrację. Że zależy mi na naszej pięknej planecie, jej burzliwych morzach, barwnych ptakach, potężnych ssakach i kruchych motylach. Napiszę, że cenię uczciwość, serdeczność oraz równość. Powiem, że musimy patrzeć innym w oczy niezależnie od tego, czy wyglądają tak samo jak my. Wsłuchiwać się w bicie każdego serca.

Ludzie, którzy ulegają gniewowi, pozwalają, by jego fala oddzielała ich od matek, żon i córek.

To o nas mowa. Od nas zależy, czy pozwolimy, by gniew nas krzywdził. Możemy się na niego

uodpornić. Sprawić, by myśli tych, którzy nas nienawidzą, nie kształtowały naszego sposobu myślenia.

Ciociu Hattie, kiedy pisałaś swoją książkę, zapewne myślałaś o radykalnym rozwiązaniu: zniesieniu niewolnictwa. Byłaś drobną kobietą, która spoglądała na górujący nad Tobą gmach, potężny monolit, jednak dzięki temu, co napisałaś, cała ta budowla zaczęła drżeć, aż w końcu runęła z hukiem. Oczywiście nie stało się tak wyłącznie za sprawą Twojej książki, lecz to ona sprawiła, że ludzie nie mogli już po staremu myśleć o niewolnictwie.

A więc teraz, gdy idziemy po omacku poprzez mrok, myślę o Tobie, o tym, że nie bałaś się zapisać swoich myśli i podnieść głosu.

Oznajmiłaś, że niewolnictwo jest wynaturzeniem.

My również możemy zakrzyknąć, że gniew jest wynaturzeniem, gniew skierowany przeciwko kobietom, czarnoskórym, Azjatom, muzułmanom, przedstawicielom środowisk LGBTQ – a także wszystkim innym grupom, do których należymy, kimkolwiek jesteśmy.

My, kobiety, jesteśmy tutaj i zawsze będziemy. Nigdy nie odwrócimy wzroku, będziemy patrzeć wam w oczy. Nie pozwolimy, abyście nami

kierowali – naszymi myślami, naszymi dziećmi, naszymi decyzjami. Stawimy opór i zabierzemy głos, jak zawsze czyniłyśmy. Nie ugniemy się, a nasze serca zawsze będą biły tak samo jak wasze. Gdy będziecie gotowi nas dostrzec, zauważyć nasze dusze, chętnie spojrzymy wam w oczy.

Po każdej nocy nastaje nowy dzień. Ciociu Hattie, dziękuję Ci za światło Twojej latarni.

Roxana Robinson

Litchfield County, Connecticut
21 grudnia 2016

KOCHANY WNUCZKU
Lisa See

Kochany Wnuczku

Nie chcę, żebyś czuł się bezradny ani żebyś pogrążył się w rozpaczy. Oczywiście, jako mały chłopiec czujesz się tak bardzo często – na przykład, kiedy mama każe Ci iść spać – ale teraz mówię o poważniejszych sprawach. Z zaskakującą uwagą śledziłeś przebieg wyborów. No, ale jak mogło być inaczej, skoro Twoi rodzice, Twój wujek, dziadek i ja wciąż o tym rozmawialiśmy? Podczas śniadań tematem rozmów było zwykle odradzanie się neonazizmu, perspektywa obcięcia funduszy na program planowanego rodzicielstwa, prawa kobiet w ogólności, likwidacja ustawy o powszechnej opiece zdrowotnej, nasz wymiar sprawiedliwości, piętnowanie ludzi z powodu

koloru skóry, religii, kraju pochodzenia czy sposobu, w jaki dostali się do tego kraju. Słyszałeś także, jak mówiliśmy, że żadna z tych rzeczy nie będzie miała znaczenia, jeśli wybuchnie wojna nuklearna albo jeśli zmieni się klimat i skończymy z ręką w nocniku. Zaraz po wyborach widziałeś nas przybitych, zrozpaczonych i złych. Tak, widziałeś, jak świrujemy, i chcę Cię za to przeprosić. Masz tylko cztery latka; dobrze, cztery i pół. Powinniśmy byli bardziej uważać.

Ale chcę, żebyś wiedział jedno: nie jesteśmy bezradni i wciąż przyświeca nam promyk nadziei. Zgoda, nie pracujemy w Senacie, Kongresie czy Białym Domu, co jednak nie znaczy, że nic nie możemy. Jesteśmy silni jako rodzina, każdy z nas jest silny jako jednostka. „Nie mogę się bronić” – nigdy tak nie myśl, bo możesz. Ilekroć pomyślisz: „Och, to zbyt trudne i niebezpieczne” czy: „Cokolwiek zrobię, to za mało, by miało znaczenie”, pomyśl również o członkach swojej rodziny, którzy musieli stawić czoło rzeczom podobnym do tych, jakimi grożą nam prezydent elekt i jego kompani. Nie będę pisała o rodzinie Twojej mamy. Niech sami Ci opowiedzą, a wiem, że masz krewnych, którzy wykazali się kiedyś wielką odwagą. Nie będę

także pisała o rodzinie ze strony mojej mamy. Skupię się tylko na rodzinie mojego taty, zwłaszcza na Twojej praprababci Stelli i prapradziadku Eddym, którzy stanęli do walki wbrew okolicznościom pozornie trwałym i twardym jak głaz.

Nie znasz swojej praprababci i prapradziadka, lecz ja ich znałam i są dla mnie inspiracją do dziś. To właśnie oni przekazali mi to, co we mnie lubisz – a przynajmniej mam nadzieję, że lubisz. Spędzałam mnóstwo czasu w ogródku z dziadkiem Eddym, tak jak dzisiaj z Tobą. (Boję się chwili, kiedy dojdziesz do wniosku, że hej, ona każe mi tylko grabić, zamiatać, kopać, przycinać i wyrywać chwasty!). A babcia Stella zawsze wymyślała coś tylko dla nas dwóch, tak jak ja wymyślam dla Ciebie i dla mnie: eksperymenty z octem i sodą do pieczenia, budowanie fortów warownych, wyprawy w nieznane. I wiesz co? Moje rude włosy – oraz łączące się z nimi usposobienie – też pochodzą od niej. Moi dziadkowie nie mieli zbyt dużo pieniędzy ani nie zdobyli wykształcenia, byli za to nieugięci. Musieli tacy być. Byli nieprzeciętni w swoich czasach, ale myślę, że uchodziliby za wyjątkowych nawet dzisiaj.

Jak wiesz, płynie w Tobie chińska krew. Dzisiaj to żadna sprawa, lecz kiedyś było inaczej. Przepraszam za tę dygresję, ale chciałabym pomówić trochę o historii. Podczas wyborów prezydenckich w 1876 roku wahających się wyborców najbardziej pochłaniała kwestia chińskich imigrantów – podobnie jak imigracja była najgorętszą kwestią w czasie wyborów w roku 2016. Rutherford Hayes popierał pomysł wykluczenia Chińczyków i wygrał. Następne wybory wygrał James Garfield, który również wszedł do Gabinetu Owalnego z antychińską pochodnią w ręce. (Od tej pory każde wybory prezydenckie rozdmuchiwały jej antyimigrancki płomień, co dowodzi, że nienawiść i strach są niezawodnymi, przewidywalnymi i skutecznymi narzędziami politycznymi). Wszystko to razem doprowadziło do tego, że w roku 1882 uchwalono Chinese Exclusion Act, ustawę o wykluczeniu osób pochodzenia azjatyckiego, która zabraniała wjazdu do USA wszystkim chińskim imigrantom z wyjątkiem nauczycieli, studentów, dyplomatów, duchownych i kupców. Na mocy tej ustawy Chińczycy nie mieli też prawa starać się o amerykańskie obywatelstwo. Już sama ta klauzula wystarczyła, żeby Stany Zjednoczone znalazły się w tym samym rzędzie co

nazistowskie Niemcy i Republika Południowej Afryki – państwa, które odmawiały naturalizacji na czysto rasistowskim gruncie.

Ustawa ta dała początek wielu innym aktom prawnym, które jeszcze bardziej utrudniły życie mieszkającym w tym kraju Chińczykom, chociaż jako urodzeni na amerykańskiej ziemi, byli jej prawowitymi obywatelami. W Kalifornii, naszym stanie, ci, którzy choćby w jednej czwartej byli chińskiego pochodzenia, nie mogli zawierać związków małżeńskich z białymi. (Prawo uniemożliwiające mieszanie się ras obowiązywało w dwudziestu ośmiu stanach). W Kalifornii zostało zniesione w 1948 roku, lecz Chińczycy mieszkający w innych stanach musieli czekać na ten dzień aż do roku 1967. Do roku 1948 nawet ci, w których żyłach płynęła choćby jedna czwarta chińskiej krwi, nie mieli prawa posiadać nieruchomości. A zamiast budować mur, rząd otworzył na Angel Island w zatoce San Francisco stację imigracyjną, która miała nie wpuszczać do USA żadnych chińskich przybyszów. Mimo to nam się udało. Jakim cudem?

Lubisz czasem płatać figle. Stosujesz różne sztuczki i podstępy. Właśnie to robiła nasza rodzina, aby znaleźć się w miejscu, które zawsze

nazywałeś swoim domem. Twój praprapradziadek Fong See przemycił do Ameryki wielu ludzi jako swoich wspólników, ponieważ podpadali oni pod kategorię „kupców”. Kiedy postanowił ożenić się z białą kobietą, Ticie Pruett, poszli razem do prawnika, a ten sporządził dla nich specjalny kontrakt, jakby zakładali spółkę. Aby się pobrać, moi dziadkowie, Stella i Eddy, wybrali się do Meksyku. (Mój ojciec miał w szkole podstawowej bardzo poważne kłopoty, gdy powiedział w klasie, że jego mama i tata nie są prawowitym małżeństwem). Moi rodzice, a Twoi pradziadkowie, byli dopiero drugą parą w naszej dużej rodzinie, która pobrała się legalnie w Stanach Zjednoczonych. Kiedy nasi krewni chcieli kupić ziemię, płacili dywanami lub innymi towarami albo prosili kogoś z przyjaciół (z nadzieją, że przez wiele dziesięcioleci pozostanie lojalny i godny zaufania), żeby kupił dla nich dom na swoje nazwisko. Pominę tu kilku „praprów” i wspomnę jedynie, że kiedy wujek Ray miał szczęście kupić dom w Beverly Hills (mógł uchodzić za białego), powiedział córkom tak: „Nigdy, przenigdy nie mówcie nikomu, że jesteście po części Chinkami”. Gdyby coś im się wypsnęło, straciliby dom i dzieci musiałyby pójść do innej szkoły.

Być może właśnie to, co działo się w naszej rodzinie, sprawiło, że rozumieliśmy innych i potrafiliśmy im współczuć. Jeśli chłopak chce ożenić się z chłopakiem, a dziewczyna wyjść za dziewczynę, to czemu nie? Wystarczy spojrzeć na naszą rodzinę i od razu się wie, że ludzie powinni pobierać się, z kim chcą. Przypomnij sobie bożonarodzeniowe przyjęcie sprzed kilku dni. A przyszła tylko najbliższa rodzina, na nadziewane placki kukurydziane. Rozglądając się po pokoju, widziałeś wszystkiego po trochu: białych, mieszańców, czarnoskórych, Chińczyków, Hindusów i Persów. A religie? Trzeba by objechać pół świata! Jeśli komuś się to nie podoba – a nie podoba się wielu – to co z tego? Ale jeśli ktoś zabroni nam żenić się czy wychodzić za mąż, za kogo chcemy, jeśli powie, że nie wolno nam mieszkać, gdzie chcemy, to mam nadzieję, że staniesz u mego boku i zrobisz wszystko, aby wesprzeć i ochronić swoich bliskich.

Wspomniałam na początku, że nie jesteśmy wpływowymi ludźmi. Ale, jak mówią Chińczycy, „zaczynem rozpadu tamy jest wydrążony przez mrówki korytarz”. Twoi prapradziadkowie, Stella i Eddy, wiedzieli, że to prawda. Pobrali się wbrew prawu. I pomagali innym, którym wiatr

wiał w oczy. Nie byli sami. Mieli syna, mojego tatę, Twojego pradziadka. Mieli również Teda, młodszego brata Twojej praprababci. Był tylko parę lat starszy od mojego taty i z powodu trudnych warunków musiał mieszkać z moimi dziadkami. Po latach on i mój tata stali się bardziej braćmi niż wujkiem i siostrzeńcem. Podczas drugiej wojny światowej, kiedy internowano Japończyków, ich czteroosobowa rodzina pomogła wielu ludziom. Większość mieszkających na Zachodnim Wybrzeżu Japończyków, naturalizowanych i nienaturalizowanych, straciła dosłownie wszystko: domy, samochody, pola uprawne, łodzie rybackie i rzeczy osobiste. Pozwolono im zabrać ze sobą jedynie to, co mogli unieść. Pomyśl tylko, co to znaczy, Henry: mieć jedynie to, co dasz radę udźwignąć.

Benji Okubo, malarz i jeden z najlepszych przyjaciół mojego dziadka, oddał mu na przechowanie wszystkie swoje obrazy, zanim internowano go w obozie relokacyjnym Heart Mountain w północno-zachodnim Wyoming. Dziadkowie przeprowadzili się wtedy do domu rodziny Oki. Owszem, ze względu na niski czynsz, ale i po to, żeby pilnować rzeczy przyjaciół do końca wojny, kiedy wreszcie

zwolniono ich z obozu dla internowanych. Wszyscy zatrzymani i uwięzieni strasznie to przeżyli. Zawsze o tym pamiętaj. Ale tym, którzy im pomagali, jak mrówki pomagają sobie w obliczu nadciągającej katastrofy – ludziom takim jak Stella i Eddy – też nie było łatwo. Sąsiadom, znajomym, kolegom ze szkoły i współpracownikom nie podobało się, że ktoś pomaga internowanym. Na dodatek byliśmy Chińczykami. Podczas wojny dziadek Eddy i wszyscy nasi chińscy krewni i znajomi musieli nosić znaczki lub opaski na ramię z napisem: „Nie jestem Japończykiem” albo „Jestem Chińczykiem”. A w oknach domów, sklepów i za szybami samochodów zostawiać kartki z deklaracją swojej rasy. Mimo to zdewastowano wiele sklepów i warsztatów, pobito wielu ludzi. Więc nie, nie było nam łatwo.

Kluczem do udanego psocenia i narzędziem skutecznego podstępu, czyli odpowiedzią na pytanie, jak być mrówką, jest prosta rada: nie rób niczego głupiego (jestem pewna, że już o tym wiesz). Mój tata obchodził urodziny czwartego lipca i dziadkowie zawsze wydawali wtedy przyjęcie. Lubili ozdabiać dom, tak jak Twoi rodzice, kiedy Ty masz urodziny. Pewnego roku, gdy mieszkali u Okich, postanowili ozdobić patio

japońskimi latawcami w kształcie karpia. Co było naprawdę wyjątkowo głupie! Sąsiedzi wezwali FBI, do domu wpadli agenci i rozpędziwszy gości, oskarżyli dziadków o to, że za pomocą latawców dawali znaki japońskim łodziom podwodnym. Rany, jakie mieliśmy wtedy kłopoty! Daję głowę, że po tej przygodzie sąsiedzi stali się jeszcze bardziej podejrzliwi. Dorastałam, słuchając opowieści babci i dziadka, lecz słyszałam je także z ust Benjiego Okubo i cioci Kay, Amerykanki japońskiego pochodzenia, którą internowano w Heart Mountain i która po wojnie wyszła za wujka Teda. Wszyscy oni opowiadali o swoich trudach, cierpieniu i poniżeniu, ale wytłumaczyli mi przy okazji, na czym polega nieposłuszeństwo obywatelskie, przekazali mi swoją dobroć i otwarte serce, nauczyli mnie, że nawet najstraszniejszą przygodę – mam nadzieję, że agenci FBI nigdy nie rozpędzą Twojego przyjęcia urodzinowego i nie oskarżą rodziców o szpiegostwo – można obrócić w żart, zabawną historię rodzinną, którą opowiada się i opowiada w nieskończoność.

Dobrze, Henry, a teraz zrobimy wielki skok w czasie. Po jedenastym września, kiedy niektórzy ministrowie prezydenta Busha chcieli uwięzić wszystkich muzułmanów w Stanach

Zjednoczonych, prezydent wskazał sekretarza do spraw transportu Normana Minetę, ofiarę internowania, i powiedział, że nie wolno nam robić tego, co zrobiono kiedyś jemu i jego rodzinie. Żyjemy w innych czasach, Wnuczku. Rodzice nie pozwalają Ci oglądać telewizji, ale opowiem Ci trochę o tym, co można dzisiaj zobaczyć i usłyszeć. Na Fox News jeden ze zwolenników prezydenta elekta bronił ostatnio pomysłu „stworzenia rejestru imigrantów z krajów muzułmańskich". W programie *Meet the Press* Reince Priebus, szef sztabu prezydenta elekta, oświadczył, że rejestru opartego na wyznaniu co prawda nie będzie, ale że „niczego nie wykluczają". Ulżyło mi, kiedy prezydent elekt w końcu „stanowczo zaprzeczył", jakoby popierał białych nacjonalistów, którzy parę tygodni temu podczas wiecu w naszej stolicy krzyczeli: „Heil Trump!". Nowy prezydent i jego gabinet nie zostali jeszcze zaprzysiężeni, więc nie wiemy, co tak naprawdę chcą zrobić. Ale powiem Ci jedno: słowa mają znaczenie. Parę słów takich, parę innych i nagle zbaczasz na obcą ścieżkę. „Rejestr" brzmi niewinnie, lecz obławy na Amerykanów japońskiego pochodzenia na zachodzie Stanów Zjednoczonych i obławy na Żydów w Niemczech też miały niewinny początek.

Aby uhonorować moich pradziadków, którzy walczyli z dyskryminacją i nienawiścią, aby uczcić pamięć cioci Kay, Benjiego Okubo, rodziny Oki, innych rodzin i przyjaciół, pamięć wszystkich bezpodstawnie internowanych Amerykanów, nie pozwólmy, żeby nowy prezydent pozbawił praw obywatelskich wielkie grupy ludzi, żeby odebrał im je bez żadnych podstaw lub kierując się jedynie ich wyznaniem, rasą, przynależnością etniczną czy płcią. Pragniemy, aby stawiając czoło wyzwaniom, pokazał się z najlepszej strony i, tak jak obiecywał, strzegł wszystkich Amerykanów bez wyjątku. Jak dotąd, nic tego nie zapowiada. Wprost przeciwnie. Ale cokolwiek zrobi, my, amerykańscy obywatele, mamy obowiązek robić swoje, być czujni, bronić i chronić tych, którzy w nadchodzących miesiącach i latach mogą tego potrzebować. Wcześniej napisałam, że mam nadzieję, iż staniesz u mego boku. Wiedz, że ja też zawsze będę stała u Twojego. Och, Henry, te wszystkie figle, sztuczki i podstępy! Zobaczysz, czeka nas wspaniała zabawa: będziemy maszerowali razem jak dwie mrówki! A wiesz, kto jeszcze do nas dołączy? Mamusia, tatuś, dziadek, wujek Chris i wielu, wielu innych. Drzemie w tym moc i nadzieja.

Zawszę będę Cię kochała, ale dzisiaj kocham Cię za szczerość i odwagę, bo wiem, że płyną w Twoich żyłach.

Babcia Lisa

TO NIE MOMENT, TO RUCH
Jewelle Gomez

Moja najdroższa Grace A.

Znasz historię mojego wczesnego dzieciństwa: rodzice rozeszli się, gdy miałam dwa latka, a ja, zepchnięta na margines, wylądowałam na kilka lat u dziadków od strony ojca. Moje wspomnienia z tego okresu są rozproszone; najmocniej utkwiła mi w pamięci nadzieja. Rodzice mieli mnie regularnie odwiedzać; nigdy nie zapomnę, jak czekałam na ojca, który podjeżdżał swoim wielkim autem pod dom dziadków. Te chwile, gdy moje młodsze „ja”, przestępując z nogi na nogę, siedzi w saloniku, a potem, wyrywając się niczym szczeniak, wybiega na werandę, pozostaną dla mnie miarą nadziei.

Zamykając oczy, wciąż czuję to przyjemne trzepotanie w piersi, gdy jego samochód

wyjeżdża zza rogu po ośmiu godzinach jazdy i pojawia się on – w eleganckim płaszczu z wielbłądziej wełny albo w stylowych bermudach. Odkryłam, że nadzieja wspiera się na dwóch rzeczach: po pierwsze, na oczekiwaniu tego, co zapamiętane i rozpoznane, na przykład drapiącego zarostu ojca, gdy zarzucałam mu ręce na szyję i mnie całował. Po drugie, na projekcji możliwości. W moim dziecinnym uścisku zawarte było również nieświadome wyobrażenie go sobie na uroczystości ukończenia przeze mnie szkoły albo w chwili jakiegoś mojego zawodowego triumfu. Już w wieku ośmiu lat wiedziałam o sobie dosyć, by mieć nadzieję, że pewnego dnia przedstawię go kobiecie, która zostanie moją życiową partnerką. To, że nadzieja jest jednocześnie realna i wyśniona, nadaje jej taką siłę, że nie da się jej powstrzymać.

W czwartym rozdziale mojego krótkiego żywota wylądowałam w końcu w wieku ośmiu lat u Ciebie, mojej prababki od strony matki, w Twoim bostońskim mieszkaniu w zaniedbanych rejonach miasta, tuż przedtem, nim w ramach rewitalizacji kompletnie je zdewastowano. Wierna swoim iowańsko-afroamerykańskim korzeniom, szczyciłaś się tym, że jesteś wdową po Wampanoagu,

prawdziwą mieszkanką Nowej Anglii, odporną na biedę i klimat. To tam, w ciemnej norze bez ciepłej wody i centralnego ogrzewania, rosła moja nadzieja. Miałaś siedemdziesiąt trzy lata i dla ośmiolatki byłaś kompletną zagadką, lecz w ciągu następnych piętnastu lat zdołałam sobie wyobrazić, jak wyglądało twoje dzieciństwo w czasach wielkiego głodu na indiańskich terytoriach w Iowa. Kiedy w mroźnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych próbowano mi w szkołach Nowej Anglii wbić do głowy, że wszyscy rdzenni Amerykanie wymarli, zrozumiałam, jak bardzo byłaś izolowana. Czerpałam siłę z twojej niezłomnej życiowej energii i jasnej wizji świata, a także z Twojego oddania i bezwarunkowego wsparcia dla mnie i moich ambicji. Słabo wykształcona, lecz oczytana i obdarzona wewnętrznym kompasem, zmierzyłaś się z lokalną biurokracją i wywalczyłaś dla nas zasiłek z funduszu wsparcia dla rodzin o niskim dochodzie.

Twój nieugięty duch ocalił Cię przed wszystkim, co wciskała Ci kultura głównego nurtu, czy była to powodująca niedożywienie dieta kukurydziana w dzieciństwie, czy protekcjonalny ton moich szkolnych psychologów. Widziałaś najgorsze, co Stany

Zjednoczone miały do zaoferowania, i przetrwałaś dzięki determinacji, a także zapewne nadziei. Co ważniejsze, nauczyłaś mnie jednego i drugiego.

Zatem nadzieję rozbudzili we mnie ojciec, który na ogół jednak się pojawiał, oraz prababka, której nie zdołano odebrać poczucia człowieczeństwa. Promując w zeszłym roku w nadmorskim mieście w Maine swoją książkę, zobaczyłam w księgarni starannie narysowany szyld, na którym pośród popularnych marynistycznych symboli wpisano słowa: *Nadzieja zakotwicza duszę*. Od czasów dzieciństwa, które wielu mogłoby określić mianem „trudnego", byłam zakotwiczona w przekonaniu, że większość rzeczy jest możliwa.

Wiedziałam, że żyję w kraju, który powstał dzięki zbrodni popełnionej na ciele i duchu innych. Bez większych wyrzutów zdziesiątkowano rdzenne ludy Ameryki; ofiarą tej samej ślepej siły padli Afrykanie, a w całej tej rzezi brali udział i pochwalali ją praktykujący chrześcijanie, na niezliczone sposoby gloryfikujący Boskie Przeznaczenie oraz niewolnictwo. Ojcowie Założyciele uważali, że łatwiej będzie ujarzmiać ludzi, najpierw ich

dehumanizując; ich następcy odkryli, że łatwiej jest ujarzmiać ludzi, humanizując korporacje i przyznając im prymat.

Dorastając, oglądałam z Tobą codziennie wieczorne wiadomości i widziałyśmy w nich policjantów z pałkami, armatkami wodnymi i psami, łamiących kości tym, którzy wierzyli w równouprawnienie. Widziałyśmy uczniów, których w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na Południu, a w siedemdziesiątych na Północy opluwali ludzie odmawiający człowieczeństwa czarnym dzieciom. Widziałyśmy również długie rzędy okrytych flagami skrzynek, w których młodzi żołnierze wracali z wojen w Wietnamie i Laosie, podczas gdy ci, których ziemie pustoszyli, byli nazywani robactwem. Lecz fakt, że przetrwałaś niegodziwości ze strony Biura do spraw Indian oraz upokorzenia ze strony Wydziału Pomocy Społecznej stanu Massachusetts, był dla mnie światełkiem w tunelu. Rozumiałam, że twoja nadzieja nie bierze się z wiary w triumf dobra nad złem albo w życzliwość polityków i biurokratów. Ta nadzieja wypływała z Twojego wnętrza; coś w Tobie karmiło i podtrzymywało ognik, którego nie sposób było zgasić i który miał zawsze ogrzewać ludzi będących z tobą

w kontakcie. Doszłam do wniosku, że ten ognik wynikał z dumnej wiedzy, że stanowisz jedno z ogniw długiej historii przetrwania.

Po przeniesieniu się do Nowego Jorku i ukończeniu studiów dziennikarskich dzwoniłam do Ciebie codziennie, przerażona tym, że jestem tak daleko od domu. I Twoja wiara w to, że mogę być silna, uczyniła mnie silną. Któregoś dnia menedżer lokalnej stacji telewizyjnej powiedział, że nie muszę przychodzić na rozmowę kwalifikacyjną, bo na wieczornej zmianie – w czasie największej oglądalności – nie zatrudniają kobiet. Zatkało mnie wtedy z wściekłości, ale nie z rozpaczy. Widziałam Cię wyraźnie: jak pchasz uparcie wózek przez usiany okruchami szkła park, żeby dostać się do drogiego centrum handlowego, jak wspinasz się po stromych schodkach, by wsiąść do wozu transmisyjnego WGBH-TV i odwiedzić mnie w pracy, i jak ze swoim miękkim akcentem ze Środkowego Zachodu (Nowej Anglii?) krzyczysz te dziwne słowa: „Won do Hingham!” do kogoś, kto stanął Ci na drodze.

Po Twojej śmierci dochodzi do kolejnych niegodziwości: do ostracyzmu wobec ludzi chorych na AIDS; do regularnego akceptowania zabójstw, które posiadający władzę biali

popełniają na młodych czarnych; do zgody na powstanie więziennego kompleksu przemysłowego, w którym nie ma mowy o resocjalizacji; do zamykania oczu na los ubogich; do rutynowego gwałcenia i seksualnego molestowania dziewcząt w kampusach wyższych uczelni. Lista jest dość długa, bym straciła nadzieję… mimo to jej nie tracę.

W tygodniach, które nastąpiły po wyborach ósmego listopada – lub po tym, co zaczęłam nazywać Apokalipsą Zombi – sporo myślę o Tobie, o tym, co przeżyłaś i co widziałyśmy z okna naszego mieszkania, w gazetach i w telewizji. Odkryłam, że kiedy spoglądam wstecz ku Tobie, mam odwagę patrzeć w przyszłość.

W tym tygodniu oglądałam *Rachel Maddow Show* (na pewno by Ci się spodobała; to zabawna, inteligentna kobieta i całkiem przypadkiem zjawiskowa lezba), w którym Maddow rozmawiała z odchodzącą prokurator generalną, Lorettą Lynch, na temat powyborczej przyszłości kraju. Z całego programu emanowała tak mocna i jasna nadzieja, że miałam ochotę założyć ciemne okulary. Pruderyjna pulchna afroamerykańska prokurator generalna siedziała na barowym stołku, rozmawiając z białą lesbijką,

która ma własny ogólnokrajowy show informacyjny! Nagrywano to w Stonewall Inn, jednym z pierwszych miejsc, w których osoby LGBT starły się z brutalną policją! (W 1969 roku byłam tak podenerwowana swoją lesbijską orientacją, że schowałam przed tobą maleńki wycinek z gazety). Sam fakt, że doszło do tego wywiadu, przypomniał mi, że nie brakuje na świecie ludzi, którzy nie są takimi egotystycznymi politycznymi karierowiczami, by wierzyć, że prawa człowieka nie mają znaczenia.

A potem, jakby sama jej obecność nie była wystarczająca, prokurator generalna wypowiedziała prawdę, którą czasami z perspektywy naszego krótkiego życia trudno sobie uświadomić: „Historia to coś więcej niż jeden obrót wyborczego koła". W ciągu osiemdziesięciu ośmiu lat spędzonych na tej planecie widziałaś wiele obrotów tego koła i nie wszystkie trafiły w dziesiątkę. Mimo to pod koniec życia wzięłaś mnie na utrzymanie i nie tylko zapewniłaś dach nad głową, ubranie i jedzenie, ale przekazałaś dar swojej historii oraz wiedzę, że znajdujemy nadzieję w samych sobie.

Dostępność tylu sposobów wzajemnej komunikacji nie pozwala nam czasem sięgnąć do

tych wewnętrznych zasobów. Spędzamy dużo czasu w internecie, przeglądamy Facebooka, Twittera, Instagram i tyle innych stron, szukając wpisów ludzi, którzy czują to samo co my. Potrzeba odreagowania jest naturalna i czasami bardzo sprytne memy i cytaty mogą uwolnić trochę energii, która wyciąga nas z bagna wyborczych wiadomości z kraju i ogólnie dewastujących wieści ze świata. Ten elektroniczny wentyl służy jednak i tym, którzy nie wierzą w prawa człowieka; znajdują tam sobie podobnych i zagrzewają się wzajemnie do boju, siejąc gniew i nakłaniając do przemocy. Anonimowość sieci i niewiarygodność mediów sprawia, że ludzie są o wiele bardziej skłonni do poniżania i ordynarnego traktowania innych niż do pamiętania o dobrych manierach, które być może starały się im wpoić babcie. Widzimy to u młodych, którzy atakują się wzajemnie na stronach internetowych, u dorosłych trolli, dla czystej zabawy nękających i prześladujących innych, a także w mediach, które fabrykują fake newsy lub po prostu nie sprawdzają faktów. Choć w innych mediach mogę często znaleźć felietony bądź cytaty, przypominające o rzeczach, które trzeba powiedzieć, tak jakby się szeptało do ucha prokurator generalnej Lynch.

Miałaś tylko dwadzieścia lat, kiedy Emmeline Pankhurst ukuła w roku 1903 slogan dla ruchu sufrażystek, więc wątpię, czy go kiedykolwiek słyszałaś: „Czyny, nie słowa”. Jest taki prosty, a mimo to dziś, sto lat później, wciąż ma kluczowe znaczenie. Podobnie jak każdemu, kto dostrzega nierówności społeczne, potrzebna mi jest chwila uśmiechu i poczucie koleżeństwa, ale słowa, czy to rzucone komuś w twarz, czy docierające do nas w twittersferze, są bezużyteczne, jeśli nie idą za nimi czyny.

Kiedy z Tobą zamieszkałam, pracownica opieki społecznej uznała, że skoro moi rodzice żyją i mieszkają stosunkowo niedaleko, nie przysługuje Ci zasiłek na moje wychowanie. Zupełnie jakby słyszała to haniebne określenie „królowa socjalu” i włożyła Ci na głowę koronę. Nie wiem, czy pomyślała wtedy „łatwo będzie spławić tę starą”, ale Ty nie dałaś się spławić. „Won do Hingham!”, mruknęłaś pod nosem, po czym tak długo przedzierałaś się przez zasieki biurokracji, aż po legalnym zaadoptowaniu mnie mogłaś pobierać nędzny zasiłek zapewniany przez państwo. Wciąż widzę, jak mierzysz schorowanymi oczami stertę papierów, które trzeba było podpisać i notarialnie potwierdzić, by to osiągnąć. Choć miałam wtedy zaledwie

osiem lat, zdawałam sobie sprawę, że robisz coś niezwykłego, coś, co na dobre zmieni moje życie.

To właśnie chcę uczynić teraz: coś, cokolwiek, co na dobre zmieni życie w tym kraju. Zaatakowane frontalnie przez kapitalistycznych demagogów prawa człowieka okazują się kruche, a biali boją się stracić władzę; lecz każdy, kto jest obdarzony pamięcią, wie, ile strasznych rzeczy udało nam się przetrwać. Pamiętamy obrazy tych, którzy bronili praw człowieka: ludzi ściąganych ze stołków w jadłodajniach; stających przed chińskimi czołgami; kładących się pokotem przed stolicą; przykuwających się łańcuchami do ogrodzenia Białego Domu; i karmionych przymusowo przez funkcjonariuszy, którzy nie sądzili, by kobiety powinny głosować. Część tych rzeczy widziałyśmy razem; mimo to nie traciłaś nadziei.

Jedną z wielu rzeczy, które mi się z Tobą kojarzą, jest miłość do muzyki. Grałaś na pianinie co najmniej przez godzinę dziennie, a potem, gdy puszczali w radiu piosenki Righteous Brothers i Elli Fitzgerald, śpiewałaś razem z nimi. Szkoda, że nie możesz zobaczyć oglądanych teraz przeze mnie spektakli muzycznych. Chodzę na nie, próbując stworzyć własne sztuki, które mają przypominać o naszej

zdolności do nadziei. Spodobałby ci się pewnie broadwayowski musical o jednym z Ojców Założycieli tego kraju, Hamiltonie. Zakrawa na ironię, że opowieść o ludziach, którzy przygotowali grunt dla tylu strasznych wydarzeń w tym kraju, uświadamia nam, że rewolucja może być czymś szlachetnym. Przypisuję to fenomenalnemu twórcy przedstawienia, Lin-Manuelowi Mirandzie. Jego teksty artykułują coś, o czym musimy dziś pamiętać, czując, jak wciąga nas wir rozpaczy. Miranda przedstawia w tym musicalu szczytowy okres amerykańskiej wojny o niepodległość. Słowa wirują w powietrzu niczym drobinki kurzu, a jego postacie przypominają sobie wzajemnie, że „to nie moment, to ruch”. To mocne słowa i bez względu na to, jak bardzo Trump chciałby je zawłaszczyć, należą do nas, do narodu. W momencie gdy walczy się i ginie na wojnie, płacz pojawia się dlatego, że go potrzebujemy. Tak samo jest z każdą zmianą społeczną: zaglądamy w głąb siebie, wracamy do przeszłości i odnajdujemy to, co popycha nas do zorganizowanej akcji, do stworzenia ruchu.

Pamiętając o nadziei, z jaką czekałam na ojca, rozumiem, że gdzieś w środku wszyscy jesteśmy tym oczekującym dzieckiem. Różnica polega na

tym, że choć nadal możemy czuć nadzieję, jako dorośli nie musimy wcale czekać. Możemy zbiec z werandy i działać – wyjść na zewnątrz i stworzyć ruch, na który liczymy.

Sześćdziesiąt lat po tym, jak mnie przygarnęłaś, jestem Ci tak samo wdzięczna jak wtedy, gdy mając osiem lat, przyjechałam do Twojego domu. I dziękuję, że jesteś ze mną teraz, kiedy szukam drogi w gęstej mgle rozczarowania i lęku, żeby poczuć na nowo nadzieję. Nasze ocalenie nie kryje się gdzieś w cyberprzestrzeni. Jest w nas; tam właśnie rodzą się czyny.

Jak zawsze
J.

LIST DO MOJEGO SYNA
Hari Kunzru

Drogi Ryu

Właśnie odprowadziłem Cię do przedszkola i wróciłem do domu, wiedząc, że muszę napisać ten list. Szczerze mówiąc, odkładałem to na później. Przykro jest siedzieć tu, przy biurku, i martwić się o Ciebie, małego chłopca, który niechętnie puścił moją dłoń i zaczął grzebać w pudle z klockami Lego. Co postanowiłeś zbudować? Dom? Samochód? Coś, w czym można zamieszkać, czy coś, co się porusza?

To był dla nas cudowny rok, ponieważ na świecie pojawiła się Twoja młodsza siostrzyczka. Twoja mama i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi; czujemy się wybrańcami losu, bo mamy was dwoje. Jednakże w minionym roku świat wokół nas się zmieniał i czasem, położywszy Cię spać,

siedzimy w kuchni i wymieniamy nazwy miast. Wymieniamy nazwy krajów. Jak by to było tam żyć? Albo tam? Inteligentni ludzie powinni potrafić robić plany dla swoich dzieci. Powinni zapewniać dzieciom bezpieczeństwo. Dlatego rozmawiamy o miastach.

W tym roku widziałem bardzo niedobre rzeczy, najczęściej wtedy, gdy byłem roztargniony. Świat przychodzi do mnie, kiedy piję kawę albo jadę autobusem. Gdy będziesz już na tyle duży, by przeczytać ten list, technologia może się zmieni, ale teraz przesuwam wiadomości na małym podręcznym ekranie, więc nowiny ukazują się jako plastry grozy pomiędzy codziennymi sprawami mojego życia: człowiek spalony przez bombę fosforową w chwili, gdy idę prowadzić zajęcia na uniwersytecie; oszołomiony chłopiec, mniej więcej twój rówieśnik, wyciągany spod ruin własnego domu, podczas gdy ja czekam w kolejce w supermarkecie. Często nawet nie rejestruję tych wiadomości albo nie pozwalam sobie, by myśleć o nich zbyt intensywnie, czasem jednak zapadają we mnie głębiej, niżbym chciał. Wtedy przez resztę dnia prześladuje mnie pewien obraz, zdarzenie, na które nie byłem przygotowany, kolejna upiorna prawda

o świecie, która pojawiła się nieproszona, sprawiając, że bezpieczeństwo i szczęście naszej rodziny wydaje się jeszcze bardziej kruche niż kiedyś. Udręczony ojciec podnosi swoje małe dziecko i błaga, by wyratować go z tonącego pontonu. Dlaczego on, a nie ja? Co bym zrobił na jego miejscu? Jak bym wszystkich Was ocalił? Są też inne straszne rzeczy, przed którymi pragnę Cię chronić najdłużej, jak to możliwe, rzeczy, które gdybym mógł, zawsze trzymałbym z dala od Ciebie.

Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Może moje troski są bezpodstawne, ale słyszane ostatnio rozmowy przeciekły chyba z czasów przed moim narodzeniem, rozmowy o ludziach, dla których jest miejsce, i takich, dla których go nie ma, o ludziach „prawdziwych” i takich, których należy odepchnąć. Stare słowo „kosmopolita” ponownie stało się chytrą inwektywą, wraz z jego nowszą odmianą „globalista”. „Uchodźca”, dawniej słowo neutralne, stało się terminem obraźliwym. My – Ty, ja, Twoja mama i siostra – jesteśmy uchodźcami. Taka jest nasza historia. Z powodu tej historii, z powodu tego, co my (i nasi rodzice) postanowili kochać, z powodu tego, dokąd postanowili się udać, jesteśmy kosmopolitami.

Dla mnie to powód do dumy, lecz na innych działa jak płachta na byka, jest kamieniem obrazy.

Niedawno, w ramach projektu dotyczącego migracji i pochodzenia, zrobiłem test DNA. Dowiedziałem się, że część naszych przodków migrowała z Afryki do Azji Środkowej. Inni, pod koniec ostatniego zlodowacenia, osiedli na Wyspach Brytyjskich. Jeszcze inni powędrowali na południe, do krainy między Indusem a Gangesem, a byli i tacy, którzy zetknęli się z ludźmi neandertalskimi w Europie Środkowej. Jeśli połączysz to z japońskim pochodzeniem Twojej matki, dostrzeżesz w przeszłości jeszcze więcej wędrówek, po stepach Syberii i nad Morzem Południowochińskim.

Na ścianie w Twojej sypialni wisi stare zdjęcie brodatego mężczyzny. To jeden z Twoich praprapradziadków, Pandit Ajudianath Kunzru. Pochodził z rodziny, która przeniosła się z górskiej doliny w Kaszmirze na południe, do miasta Agra na równinach indyjskich. Ryuichi Kitamura, Twój dziadek, na cześć którego otrzymałeś imię, urodził się w Osace i zrobił karierę w małym miasteczku uniwersyteckim w północnej Kalifornii. Twój drugi dziadek, Krishna Kunzru, wyjechał z Agry do Londynu, by

pracować tam jako lekarz. Twoja matka też przeniosła się do Londynu, gdzie mnie poznała. Kiedy przeprowadziłem się z Londynu do Nowego Jorku, znów ją znalazłem i zakochaliśmy się w sobie. Ciebie i mnie nie byłoby tu, gdyby mój ojciec nie spotkał mojej matki, mieszkanki Londynu, której ojciec opuścił małą walijską wioskę, by studiować w mieście.

Kiedy więc ludzie będą Cię pytać, skąd pochodzisz, nie zdołasz odpowiedzieć im jednym słowem. Tacy, dla których „kosmopolita” i „uchodźca” to terminy obraźliwe, powiedzą, że jesteś wykorzeniony. Nazwą Cię człowiekiem nieautentycznym. Stwierdzą, że brak Ci ważnego zakotwiczenia w ziemi, że twoje uczucia i więzy są słabsze niż ich z powodu dawnych wędrówek naszej rodziny. Jeśli będą tak mówić, pamiętaj, że oni też są uchodźcami, choćby o tym zapomnieli. Historia ludzkości jest ciągłym rozgałęziającym się przemieszczaniem, z Afryki do wszystkich krańców kuli ziemskiej. Gdy ludzie mówią o krwi i ziemi, jak gdyby ich przodkowie, w pełni ukształtowani, wyskoczyli z ziemi w konkretnym miejscu, wiąże się to z pewną formą zapominania. Miejsce ma pewne znaczenie i musisz zrozumieć, że są rodziny, które mają inne historie niż nasza. W zamieszkiwaniu

w jednym miejscu, w budowaniu jest coś szlachetnego. Ale jest też jakaś szlachetność w życiu koczownika wożącego cały świat w walizce. Urodziłeś się tu, w Nowym Jorku, podczas lutowej śnieżycy, tak więc to miasto zawsze będzie twoje. Jeżeli przeprowadzimy się do jednego z tych miejsc, o których szepczemy z Twoją mamą przy kuchennym stole, dorośniesz, myśląc o nim jako o domu. Piszę do Ciebie po to, żebyś się tym nie martwił. Niczego nie tracisz. Twoje przeżycia nie są mniej autentyczne czy piękne niż przeżycia człowieka żyjącego na ziemi, którą jego przodkowie uprawiali od pokoleń. Twoje przeżycia są po prostu inne. Możesz uczyć się od takich ludzi. A oni mogą się uczyć od Ciebie.

Korzenie naszej rodziny są jak anteny. Odbieramy z powietrza sygnały – idee, pokrewieństwa, gusta, współrzędne. Twoja matka i ja zbudowaliśmy dom z rzeczy, które kochamy (przede wszystkim z książek), a pomogli nam ludzie, którzy obdarzyli nas miłością. Nie potrafię przewidywać przyszłości, czuję jednak, że świat, ku któremu zmierzamy, przekroczy wszystkie nasze wyobrażenia. Może czeka Cię życie pośród istot o inteligencji innej niż ludzka albo staniesz się częścią wielkiego

komponentu ludzi i maszyn. Jednego jestem pewien: wszystkie moje kategorie i warunki, moje zwyczaje i sposoby rozumienia świata odchodzą w przeszłość. Do zaoferowania mam jedynie wiedzę, z nadzieją że pomoże Ci w podróży. Mogę ci dać rzeczy, co do których przekonałem się, że są przydatne i prawdziwe. Dlatego teraz, gdy zastanawiasz się, czy zbudować dom, czy samochód, miejsce zamieszkania lub środek lokomocji, wiedz, że podejmowane przez Ciebie decyzje stanowią część tradycji, że Twoi przodkowie Cię wspierają, a częścią Twojego dziedzictwa jest miłość.

Nowy Jork, 19 grudnia 2016

MARZENIA NASZYCH OJCÓW
Faith Adiele

Kochany Tato!

Zbliża się dziesiąta rocznica Twojej śmierci, a ja rozmyślam o tym, jak bardzo nienawidzę pożegnań. A styczeń 2017 roku przyniósł nam dwa trudne pożegnania. Musieliśmy się rozstać z pierwszą czarnoskórą rodziną, która zamieszkała w Białym Domu, a jednocześnie zrezygnować z naszego marzenia o prawach obywatelskich, owocu trwającej wiele wieków krwawej walki, która zrodziła zarówno Obamę, jak i mnie. Moje imię oznacza wiarę, on przyniósł nam nadzieję, a w naszych żyłach płynie afrykańska krew – jesteśmy dziećmi praw obywatelskich, narodzonymi z pełnych optymizmu białych Amerykanek i czarnych Afrykanów.

Pełnych optymizmu, ponieważ co prawda w roku narodzin Obamy Herbert Lee, czarnoskóry farmer i ojciec dziewięciorga dzieci, został zastrzelony za próbę rejestrowania czarnych wyborców, ale w tym samym roku „przejazdy wolności” wstrząsnęły Południem i wykształciły pokolenie młodych przywódców. Pełnych optymizmu, ponieważ co prawda w roku moich narodzin bomba podłożona przez Ku-Klux-Klan w kościele w Birmingham zabiła cztery czarnoskóre dziewczynki, a zamachowcy zastrzelili Medgara Eversa i prezydenta Kennedy’ego, ale w tym samym roku zapoczątkowano plan, który realizujemy do dzisiaj – wykluczeni Amerykanie w niespotykanej dotąd liczbie stawili się w Waszyngtonie, by domagać się wolności i dać wyraz naszemu marzeniu.

Osiem lat temu w listopadzie siedziałam oszołomiona pośród uradowanych wolontariuszy, żałując, że Ty tego nie doczekałeś. „Nie wierzę”, wyszeptałam. „Udało się. Nie wierzę. Rzeczywiście możemy. *Yes, we can*”. Oto my, ucieleśnienie walki białych z czarnymi i bogatych z biednymi, nie tylko pokażemy, jak się zjednoczyć, ale wyznaczymy drogę. Ostatniego listopada byłam już mniej

zaskoczona. „Nie, nie możecie”, ogłosił Narcystyczny Demagog. „Tylko ja mogę!”. I tak umarło nasze marzenie.

Tato, to także dziesiąta rocznica Twojego powrotu do ojczyzny, a gdybym była lepszą córką swego niedoskonałego ojca, poleciałabym do Nigerii, by uczcić ten dzień, odprawiłabym oszałamiające rytuały i wylałabym rzekę pieniędzy, na jakie zasłużył ktoś o Twojej politycznej pozycji, ktoś, kto tak wiele poświęcił. Zamiast jednak kupować kozy i opłacać rzeźników, przemierzam Amerykę, powłócząc nogami, zbyt przygnębiona, by pożegnać się zarówno z Obamą, jak i Tobą. Gdybym nawet zdołała dotrzeć do Twojej wioski i stanąć przy Twoim rdzawoczerwonym grobie, co mogłabym powiedzieć?

Nasza rodzina zawsze lepiej porozumiewała się na papierze. W końcu tak się poznaliśmy. Zabiegałeś o moją matkę, a potem o moją miłość za pośrednictwem listów – niezliczonych arkuszy białego cienkiego papieru w chabrowych kopertach lotniczych, listów koślawo zapisanych wiecznym piórem, pulsujących możliwościami. Pojawiłeś się w jej życiu w wieku dwudziestu dziewięciu lat, doktorant na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, który uczył się z myślą

o niepodległości swojego kraju. Ona była siedemnastoletnią studentką pierwszego roku z obsesją na punkcie geopolityki, córką skandynawskich imigrantów, którzy przenieśli ją na uczelnię na drugim końcu stanu, by Was rozdzielić. Ty jednak pisałeś do niej codziennie*: Jo, nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale zapamiętaj moje słowa. Do 1971 roku będę w samym centrum nigeryjskiej polityki. Być może zostanę ministrem spraw zagranicznych (wy, w Ameryce, nazywacie kogoś takiego sekretarzem stanu). Ale jeszcze nie zarzucaj mi politykierstwa.*

Nie będziemy tego robić. W końcu, zaledwie kilka tygodni po Twoim przybyciu do Waszyngtonu, Nigeria uniezależniła się od Wielkiej Brytanii. W czasie dziesięcioletnich studiów – najpierw w Londynie, a potem w Stanach Zjednoczonych – nie wracałeś do ojczyzny (wieści o walce czarnoskórych Amerykanów o prawa obywatelskie odciągnęły Cię od Twoich kolonialnych panów). Nie widziałeś niepodległej Nigerii, nigdy nie odzyskałeś wolności. Kto w takich okolicznościach nie uległby ambicji? *Uważam, że człowiek nie może funkcjonować w próżni. Nie może żyć w izolacji. Zawsze jest członkiem jakiegoś plemienia, Kościoła, rodziny, partii*

politycznej albo klubu towarzyskiego. One na niego wpływają, a on wpływa na nie. Nie żyjemy dla siebie. Żyjemy dla innych. W afrykańskiej hierarchii wartości wolność zajmuje wysokie miejsce. Być może każda grupa, do której należymy, powinna przede wszystkim dawać nam wolność. Chociaż spotkaliśmy się po raz pierwszy, dopiero gdy sama miałam tyle lat, co ty wtedy, dobrze rozumiałam – podobnie jak Obama, a w odróżnieniu od Trumpa – czego oczekuje od nas Nowy Świat. Nasze rodziny fińskich służących, szwedzkich robotników, amerykańskich samotnych matek i Afrykanów urodzonych pod rządami kolonizatorów stoczyły ciężką walkę o wolność. *Nie żyjemy dla siebie*.

Dlatego gdy Cię wezwali, usłuchałeś. *Chcę, byś wiedziała, że to nie jest pożegnanie*, napisałeś naiwnie z pokładu liniowca przemierzającego Atlantyk. *Nie mogę się doczekać naszego ponownego spotkania, jeśli wszyscy przeżyjemy*. Statek przybył do portu w Lagos cztery miesiące przed moimi drugimi urodzinami, a ty zszedłeś po trapie, zanurzając się w wyborczym szaleństwie. Brytyjczycy, architekci chaotycznego tworu zwanego Nigerią (a dzisiaj także Brexitu), skazali Was na porażkę, przekazując władzę północy. Nowy naród – mieszkańcy pustyni na

północy i tropików na południu, muzułmanie na północy i chrześcijanie na południu, Hausaland na północy, Yorubaland na zachodzie i Igboland na wschodzie – tracił cierpliwość. *Wszystko toczy się niebezpiecznie szybko, a partie polityczne i ich zwolennicy gwałtownie ze sobą walczą*, zamartwiałeś się. *Można odnieść wrażenie, że zbliżamy się do punktu wrzenia!*

Tutaj walczyliśmy o te same wartości. Aktywiści domagający się prawa głosu przygotowywali się do marszu z Selmy do Montgomery. Podczas Krwawej Niedzieli, dwa dni przed moimi drugimi urodzinami, policjanci stanowi z Alabamy zaatakowali pokojowo nastawionych demonstrantów pałkami, gazem łzawiącym i bykowcami. Dzisiaj republikanie zamienili pałki na ustawy stopniowo naruszające nasze prawa; korporacje atakują nas gazem łzawiącym reklam i odmóżdżających programów, aż w końcu zaczyna nas obchodzić jedynie głosowanie w *Idolu*; tylko policja trzyma się sprawdzonych metod i wciąż zabija czarnoskórych na ulicach, czasami na oczach kamer.

A zatem, zmęczony długą morską podróżą i upałem, ubrany w swój dopasowany ciemny garnitur, wskoczyłeś do nigeryjskiego tygla: *Tutaj*

zaszło tak wiele zmian, że niczego nie jestem pewien i nie wiem, gdzie kogokolwiek szukać! Miałeś trzydzieści dwa lata i po raz pierwszy przyjechałeś do kraju rządzonego przez Czarnych. *Nigeria rzeczywiście jest nowym miejscem! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jest odmieniona i skłócona.* Ty także nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Bez przerwy coś tam buzowało. Ktoś stale starał się odgrywać rolę kolonialnego pana. Nie trzeba było długo czekać, by Nigeria dała się podzielić, a Wasi przywódcy zaczęli odwoływać się do etnicznych podziałów i podburzać obywateli przeciwko sobie nawzajem oraz sąsiadom, których oskarżali o odbieranie Nigeryjczykom miejsc pracy i rujnowanie ich szczęścia. Demagogia – najszybsza droga na szczyt dla polityka. Czy to nie brzmi znajomo?

Wtedy nie potrafiłeś zrozumieć, jak to możliwe w najpotężniejszym, najbogatszym i najlepiej wykształconym narodzie Afryki, czwartej pod względem wielkości demokracji świata. Ale skoro bogaty rasista i mizogin, który zbił fortunę na wyzyskiwaniu pracowników, może założyć czapeczkę baseballową i udawać członka klasy pracującej, by przejąć kontrolę nad tak zwanym Sztandarem Demokracji,

z pewnością garstka nigeryjskich żołnierzy i polityków może pojawić się w radiu i doprowadzić ludzi do wrzenia. Czy dostrzegałeś sygnały ostrzegawcze, tak jak ja teraz? Czy może, kiedy zaczęły się pogromy, mówiłeś: „Tutaj coś takiego nie może się wydarzyć”? Gdy zamordowano trzydzieści tysięcy Twoich braci z plemienia Igbo i okaleczono kolejne pięćdziesiąt tysięcy? Gdy ludzie, którzy usiłowali uciec na północ, byli wyłapywani na lotniskach i dworcach, masakrowani, gwałceni i zabijani przez żołnierzy oraz cywilów, a ich ciała odsyłano do Igbolandu?

Podczas głównej fazy mordów, zaledwie pięćdziesiąt lat temu, napisałeś do nas: *Trudno w to uwierzyć, ale moja starsza siostra jest wśród zabitych. Odwiedzała krewnych na północy. Każdy dzień może być naszym ostatnim. Kraj, który tak bardzo kocham, płonie, ale wciąż wierzę, że ocaleje!* Ostatni list wysłałeś przed Bożym Narodzeniem: *Z ciężkim sercem piszę o masowych mordach, których dokonano w południowej Nigerii. Straciłem tam wielu krewnych. W kraju wciąż jest niespokojnie. Ten kraj stoi w obliczu najgorszego kryzysu w historii i będziemy mieli mnóstwo szczęścia, jeśli unikniemy całkowitego zniszczenia. Żyjemy*

w ciągłym strachu. Tato, co powiedziałbyś mi dzisiaj, choćby z ciężkim sercem, skoro w mojej ojczyźnie nastały niespokojne czasy? Skoro żyjemy w strachu – chociaż nie możemy zapominać, że większość Czarnej Ameryki od zawsze żyje w taki sposób i nie może liczyć na luksus utyskiwania na najnowszą zmianę. *Pamiętasz, że kiedyś miałem osiem sióstr i brata? Dwie moje siostry oraz oboje rodziców już nie żyją.*

Byłeś szczęśliwy, kiedy wschód Nigerii się odłączył, tworząc Republikę Biafra. To pierwsze wyzwanie rzucone kolonialnym granicom wydawało się aktem samostanowienia. Ale już kilka miesięcy później, tuż po tym, jak Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych – w ramach procesu sądowego Loving przeciwko stanowi Wirginia – zalegalizował międzyrasowe małżeństwa, Nigeria wypowiedziała wojnę nowo powstałej republice. Przestaliśmy dostawać od Ciebie listy. Docierały do nas tylko straszne, słynne na cały świat obrazy głodujących dzieci, moich rówieśników z Biafry, oraz równie straszne i słynne wizerunki ciał zastrzelonych Martina Luthera Kinga i senatora Bobby'ego Kennedy'ego. Żałuję, że nie mogłam Cię spytać, jak sobie radziłeś przez te wszystkie lata wojny

i milczenia. Jak można przeżyć, gdy rząd pragnie twojej śmierci?

W końcu, dziewięć miesięcy po zakończeniu wojny, Twój list dotarł na naszą rodzinną farmę. Wygnieciony i naznaczony różnokolorowymi stemplami, tylko z naszymi nazwiskami i nazwą miasteczka na kopercie: *Sunnyside, Waszyngton*. Pieczątki wskazywały, że powoli brnął ulicami stolicy (gdzie trzydzieści dziewięć lat później, podczas inauguracji prezydenta Obamy, Twoja córka wymachiwała sztandarem z jego hasłem wyborczym), aż w końcu naczelnik poczty stwierdził, że „nie ma ulicy Sunnyside”, i przekazał list na zachód do stanu Waszyngton.

Nagle, po trzech latach milczenia, pojawiłeś się, pozbawiony nadziei, ale optymistyczny jak zwykle: *Najserdeczniejsze pozdrowienia. Zastanawiałem się, jak mogę się z Wami skontaktować, aby dać Wam znać, że wciąż żyję. Przetrwałem wojnę w Nigerii, chociaż straciłem wszystko, wliczając dziennik, w którym miałem Wasz adres. Zniszczono mój dom, majątek, przedmioty osobiste, bibliotekę ze wszystkimi książkami, certyfikaty i dyplomy, pracę magisterską, dysertację doktorską, akademicką togę i wszystko inne. Pozostało mi tylko ubranie, które miałem na sobie w dniu zakończenia wojny.*

Czekam na Waszą odpowiedź, chociaż straciłem już wszelką nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Zawsze, gdy mam ochotę narzekać albo czuję się słaba, czytam Twoje listy. Przebaczyłeś swoim rodakom, ponieważ historia narodu jest dla Ciebie ważniejsza niż historia ofiary. *Warunki tutaj znacznie odbiegają od normy. Wciąż nie mam ponad 90% najpotrzebniejszych rzeczy. W kraju brakuje pieniędzy, a ze swojego miesięcznego wynagrodzenia jestem w stanie zaledwie przez tydzień pokrywać liczne potrzeby, które pojawiły się na skutek wojny domowej! Zniszczenia są tak przytłaczające, że wszystkie nasze wysiłki to zaledwie kropla w bezkresnym morzu! Podczas nalotów, strzelanin i ostrzałów artyleryjskich straciliśmy wielu członków naszego klanu! Wspominanie ich to prawdziwa tortura, dlatego wolałbym zapomnieć o przeszłości. Przywoływanie tych tragedii jest nie do zniesienia, zresztą nie przysłużyłbym się Faith, przesyłając jej spis martwych krewnych! Kiedy podrośnie, zapewne będzie musiała sama poskładać tę historię w całość.* Jako pokonany miałeś niewiele możliwości. A jednak po trzech latach wyniszczającego oporu postanowiłeś zostać.

Rozpocząć odbudowę. Uczynić Nigerię wielką, co dla wizjonera oznaczało otwartą i nowoczesną.

Osiem lat temu w styczniu spakowałam swoje nigeryjskie stroje oraz nakrycia głowy i pojechałam do Waszyngtonu, by wziąć udział w Naszej Inauguracji (jak powiedzielibyśmy w Nigerii). Na wszystkich postojach dla ciężarówek i stacjach benzynowych, zarówno w republikańskich, jak i demokratycznych stanach, czarnoskórzy szeroko się do siebie uśmiechali. Doprowadzenie do zwycięstwa Obamy wymagało tak wielkiego wysiłku, że każdy pragnął świętować, a wszyscy moi znajomi w Dystrykcie Kolumbii – pisarze, artyści i aktywiści – ustawiali się w kolejce do występów.

Dziesięć lat temu w styczniu wróciłam do Nigerii na Nasz Pogrzeb. Pożegnanie nie było skromne: 1 arcybiskup, 4 biskupów, 1 chór w strojach z twoim wizerunkiem, 1 eze (lokalny król), 3 zaklinaczy deszczu, 3 krowy, dziesiątki kóz, setki słodkich ziemniaków, 60 sągów drewna, 2000 porcji ryżu, samochód chłodnia z napojami, prywatna armia do wynajęcia, 6 tygodni przygotowań, 1600 T-shirtów, 1600 wachlarzy, 1600 kalendarzy, 2 zmiany stroju oraz orkiestra. Jako najstarsza córka siedziałam z przodu karawanu z Twoim portretem na

kolanach, podczas gdy wieśniacy wylegli na ulice, żeby obejrzeć Twój powrót do ojczyzny. Za bramą kompleksu młodzi mężczyźni, ubrani w białe garnitury i czarne T-shirty, panoramiczne okulary przeciwsłoneczne oraz białe rękawiczki, pląsali po podwórzu z trumną na ramionach, najpierw coraz bardziej się obniżając, tak że praktycznie przyklękali, by za chwilę się podnieść, trzymając Cię na samych ramionach, bez użycia rąk, niemal nie czując ciężaru Twojego drobniutkiego ciała.

Jednak w moich wspomnieniach pozostajesz olbrzymem: *Należę do nowego pokolenia Afrykanów. Wierzymy, że ten kontynent odegra jeszcze ważną rolę. Jesteśmy przekonani, że ma przyszłość i może wnieść istotny wkład do światowej wspólnoty. Długo cierpiał i trwał w uśpieniu, niezrozumiany, wykorzystywany, poniżany i manipulowany. Nadszedł czas, aby Afryka zadziałała i przemówiła do świata.* W mowie pożegnalnej arcybiskup przywołał Twoje dobre uczynki jako komisarza do spraw edukacji i wspomniał o adoptowanych dzieciach z zachodniej Afryki. „Nie żyjemy dla siebie”, powiedział. Moja mowa pożegnalna opierała się na słowach Twoich miłośników z Nigerii i Ameryki, którzy nazywali Cię „jednym

z nielicznych uczciwych polityków” i „gigantem, który nie boi się poświęcić dla swojego kraju”. W afrykańskiej hierarchii wartości wolność zajmuje wysokie miejsce.

Tak wielu afrykańskich przywódców, którzy pojawili się po Tobie, ulegało kolonialnym zapędom – zmieniali się w zapatrzonych w siebie dyktatorów wyzutych z szacunku dla prasy czy praw wyborczych, tracili czas na podsycanie etnicznych napięć i oddawali władzę w ręce kolesi i swoich chciwych potomków. Zresztą nie oni jedni. Trevor Noah, przedstawiciel dwóch ras, południowoafrykański brat wschodnioafrykańskiego Obamy i zachodnioafrykańskiej autorki tego tekstu, żartuje, że „Zuma i Trump są jak bracia, których urodziły inne matki!”. Tato, skoro widok tych afrykańskich przywódców łamał Ci serce, to co byś powiedział, gdybyś zobaczył antyinteligenta rządzącego krajem, który Cię wykształcił? Czy nauczyłeś się czegoś, co mogłoby nas teraz ocalić?

Wódz Odumegwu Ojukwu, syn milionera, nasz były przywódca, który osobiście finansował obronę Biafry przed atakami nigeryjskiego rządu, napisał słynne słowa: *Jesteśmy ludźmi. Żyjemy. Walczymy, ponieważ decyzja*

o poszukiwaniu wolności musi być podjęta świadomie i wspólnie. Dlatego gdy Cię wezwał, odpowiedziałeś: „Wolna, zjednoczona, patrząca w przyszłość, szanująca samą siebie Afryka potrzebuje oddanych, trzeźwo myślących, zaangażowanych i wyzwolonych obywateli, którzy mają odwagę stawiać czoło aspiracjom, dążeniom, problemom oraz nadziejom nowych narodów. W tej walce o rzeczywistość i prawdę nie mogę stać na uboczu. Muszę wejść na ring, i tak zrobię. Stanę po właściwej stronie. Nie pozostanę neutralny”.

Tato, być może z okazji dziesiątej rocznicy Twojego powrotu do ojczyzny, okażę się lepszą córką, gdy nie polecę do Nigerii, by tam uczcić Twoją pozycję i osobistą ofiarę, lecz pozostanę w Ameryce i wezmę sobie Twoje słowa do serca. Aby wcielić je w życie, stawiam naród ponad sobą. Stawiam walkę ponad miłością. A raczej walkę jako wyraz miłości.

AMERYKA
Parnaz Foroutan

Nie niczym grecki gigant ze spiżu odlany,
Ze stopami po obu stronach morskiej toni,
Młoda, mocna kobieta, trzymająca w dłoni
Pochodnię, stanie dumnie u portowej bramy.
A światło jej pochodni to piorun schwytany,
Ucieczka Uciśnionych jej imię, bo chroni.
Głosi ona gościnę wszystkim, co pogoni
Uszli i przybywają do krain nieznanych.
„Stare kraje, swą dawną zachowajcie chwałę" –
Wykrzykuje bez przerwy niemymi wargami –
„Dajcie mi tylko swoich biednych tłumy całe,
Obejmę ich gościnnie mymi ramionami.
Przyślijcie mi bezdomnych gromady niemałe,
Dla nich podnoszę lampę nad portu wodami"[3].

Dla mojej matki, tej nocy sprzed lat, gdy szła wyludnioną drogą z niemowlęciem na rękach

i ze mną, małym, zmęczonym dzieckiem, które powłócząc nogami, dreptało obok niej.

Zostawiłaś za sobą wojnę w Iranie. Zostawiłaś ryk syren przeszywających czerń nocy. Świst spadających bomb, trzask kości, poranne ruiny… niewiarygodna rzecz. Zostawiłaś za sobą Siostry Islamu okryte całunem śmierci i portrety męczenników malowane na ścianach domów.

– Ci młodzi chłopcy… – mówiłaś szeptem do przyjaciół. – Dają im plastikowy klucz, mówią, że to przepustka do raju, i wysyłają ich do walki.

Zostawiłaś tych, którzy znali jedynie chciwość, chciwość i tylko chciwość. Saddama z rakietami świeżo podarowanymi przez Stany Zjednoczone, stojącego naprzeciwko ajatollaha, z rakietami świeżo zakupionymi w USA, i młodych chłopców, którzy walczyli pośrodku z plastikowymi kluczami w kurczowo zaciśniętych rękach, bo obiecano im raj.

Wróciłam ze szkoły i powiedziałam:

– Mamo, nie możemy już słuchać muzyki. Nauczycielka tak mówi. I jeśli rodzice będą

słuchali, to mamy jej powiedzieć.

Wróciłam ze szkoły i powiedziałam:

– Nauczycielka mówi, że musimy nosić hidżab, w parku, na ulicy i na rynku. Mówi, że jeśli zobaczymy, że któraś z nas nie nosi, to mamy jej powiedzieć.

Spojrzałaś na ojca. Zrozumiałam tylko tyle. Wasz wzrok i milczenie. Milczenie między dorosłymi. Milczenie i strach.

Pewnego dnia przyszłaś odebrać mnie ze szkoły, lecz w szkole panowała cisza. Nie było nas na boisku, nie biegałyśmy tam, nie bawiłyśmy się ani nie krzyczałyśmy. Woźny powiedział wam, tobie i reszcie zaniepokojonych matek, że nauczycielka zabrała nas na spacer, na pobliski cmentarz, gdzie miałyśmy złożyć kwiaty na grobach męczenników.

Odpowiedziałaś milczeniem. Bo ci, którzy mówili, znikali bez śladu.

Poszliśmy spać, lecz obudziło nas zawodzenie syren. Tak, pamiętam. Pamiętam, jak ojciec biegł

ciemnym korytarzem ze mną i moją malutką siostrzyczką na rękach, jak pędził schodami na dół, do piwnicy, gdzie kuliły się już inne rodziny. Słyszeliśmy, jak przelatują nad nami samoloty, słyszeliśmy niekończący się krzyk żony właściciela domu, której mąż zasłaniał usta wielką ręką.

Rano twojej córce kazano w szkole okryć się wstydem. Donieść nauczycielce, która z kolei miała donieść władzom, jeśli w naszych domach radowano się i śmiano.

Uciekłaś od tego tamtej nocy, tamtą drogą. Musiałaś uciec. Nie mogłaś pozwolić, żeby twoje córki drżały ze strachu w ciemnej piwnicy, żeby modliły się, czekając, aż samolot odleci. Nie chciałaś, żeby widziały zburzone domy, załamane matki i malowanych męczenników. Żeby stała się rzecz nie do pomyślenia, gdyby przelatujący nad domem samolot wziął na cel łóżka twoich śpiących dzieci.

Tuląc do siebie niemowlę, trzymałaś mnie za rękę i szłaś, ze mną, zmęczoną sześcioletnią dziewczynką z trudem powłóczącą nogami.

Zostawiłaś za sobą wiele innych rzeczy. Swoją wysadzoną wiązami ulicę. Znajomy zapach jesieni. Uśmiech piekarza, który podawał Ci świeżo upieczony chleb, pieśni ulicznych handlarzy, głosy rozmawiających, targujących się, kupujących, śpiewających i kłócących się w zrozumiałym dla Ciebie języku. Swoich przyjaciół. Karierę zawodową. Dom. Marzenia. Rodzinę. Wspomnienia. Garnki, patelnie, srebrne łyżki i widelce. Zdjęcia. Pamiątki rodowe. Ulubione sukienki. Grób swojego ojca. Kolorowe wazoniki na rynku w nowy rok. Ulice, których nazwy tak dobrze znałaś. Recytujących wiersze taksówkarzy. Korytarze starego uniwersytetu. Zostawiłaś wszystko to, czego nie zmieściłaś do walizki, pozmywałaś naczynia, posłałaś łóżka, zaciągnęłaś zasłony i myśląc: „Może kiedyś tu wrócimy”, po raz ostatni zamknęłaś drzwi. Po czym odeszłaś, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze znajdziesz dom.

To list do Ciebie, mamo. Do Ciebie tamtej nocy, gdy bezkresną drogą szłaś do Ameryki, zostawiając za sobą wszystko, co dotąd znałaś.

To list do wszystkich matek, które wybierają wygnanie i porzucają wszystko, co znane,

w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Do tych, które idą przez pustynię, niosąc na plecach swoje umęczone dzieci, które porzucają swój dom z nadzieją, że na końcu długiej, niebezpiecznej podróży znajdą Amerykę.

To list do matek, które pomagają swoim dzieciom wsiąść do zatłoczonych łodzi i wypływają wraz z nimi na wzburzone morza. Do kobiet, które, choć same konają z głodu, karmią swoje dzieci, by mogły dotrzeć tam, gdzie będą mogły zapewnić im wymarzony dostatek. To list do matek, które słysząc przelatujące ciemną nocą bombowce, osłaniają swoje śpiące dzieci własnym ciałem, do tych, które modlą się o nowy dla nich dom, dom, w którym będą mogły bezpiecznie zasnąć.

Ameryka jest Wasza.

Zawsze była. Ameryka jest Matką Wygnańców. Tak ma na imię, od marzenia matek, które ją poczęły. Jest kresem niebezpiecznej drogi, bezpiecznym brzegiem wzburzonego oceanu, schronieniem przed ciemnością, strachem i cierpieniem. Jest obfitością, tą, która daje, dzierżąc w ręku

pochodnię z uwięzioną błyskawicą, która wskaże nam drogę do domu.

Nie zwracajcie uwagi na mrok, otwartą paszczę chciwości, nienawistną mowę, na mury, karabiny i tych, którzy obnażają zęby u złotych wrót. Ameryka jest Wasza. Poczęły ją Wasze modlitwy, powstała z marzeń, którymi obdarowywałyście Wasze dzieci, a Wasze dzieci tworzą ją taką, jaką powinna być. One ją budują. Kształtują jej kości, wzmacniają ciało, sprawiają, że jest piękna i silna. Ameryka należy do Was, do wszystkich matek, które o niej śnią.

Tak więc rozpalcie w sercu mały płomyk i osłoniwszy go dłońmi przed okrutną burzą, idźcie śmiało w ciemność, bo mówię Wam: ten płomyk, światełko, które w sobie niesiecie, ta mrugająca iskierka nadziei ma moc tak potężną, że rozświetli nawet najczarniejszą noc. Nie wahajcie się. Idźcie przed siebie, promieniując prawdą, miłością i współczuciem. Niech płonący w Was ogień buchnie jasnym blaskiem, bo już wkrótce wstanie świt.

To jest list do mojej matki, która bezkresną nocą, z migoczącym w sercu płomykiem nadziei,

szła w kierunku światła pochodni.

To jest list do wszystkich matek, które ku niemu szły.

Witajcie.
W domu.

DROGI CHEBONIE
Chip Livingston

Mój ancymonku

Nie napędzę Ci chyba stracha, wysyłając wiadomość tą drogą, bo zawsze miałeś czułe ucho. Ale zapisz ją sobie, żebyś nie zapomniał, i przekaż moje słowa tym, którym mogą się przydać. Korzystając ze świątecznych pacierzy i dymu z komina, Twój dziadek spróbował odrobiny starej magii zimowego przesilenia, żeby list doszedł tam gdzie trzeba. Oczywiście będziesz musiał trochę popracować nad gramatyką. Potrafię zrobić wszystko, używając klucza i młotka, ale słowa, wnuku, to Twoje narzędzia. Liznąłem książkowej wiedzy akurat na tyle, by umieć się podpisać na rachunkach i wysyłać Ci liściki hen do college'u.

„Hen” to zabawne słowo tu, w świecie ducha, który można by nazwać Zachodem Nieba. Jesteśmy jednak bliżej, niż to się zdaje większości ludzi. Twoi przodkowie nie szybują w jakichś odległych zaświatach. Jesteśmy również tam, na ziemi, i obserwując was, gdy zamarza i topnieje woda w strumieniach, uśmiechamy się i śmiejemy, przede wszystkim z waszego zapominalstwa, bo przypomina nam nasze własne ziemskie przywary. Ale tu, gdzie jesteśmy, rozumiemy empatię nieco szerzej. Zwłaszcza teraz, wnuku, gdy zmagasz się z troskami większymi niż cały świat – w waszym mniemaniu.

Zapominasz, Chebonie, o rzeczach, o których mówiłem, kiedy łaziliśmy po okolicy, zbierając puste puszki po piwie i orzechy pekanowe. Śmieci można oddać do recyklingu, a orzechy warto rozłupać, żeby posmakować ich słodkiego miąższu. W tym momencie jednak nie w głowie Ci pekany ani czterdzieści centów, które dostawaliśmy za pół kilo aluminium. Uważasz, że to koniec świata. Lecz kończą się tylko jego części – i tylko w tym kształcie, o którym wiesz, a wiesz bardzo niewiele. Nigdy nie przestajemy się uczyć.

Stany Zjednoczone zawsze były wytworem wyobraźni pewnych białych ludzi. Demokracja?

Daj spokój. Uczyłeś się historii trochę ode mnie i trochę z książek, ale chyba zapominasz, że to, na czym stoisz, będzie trwało wiecznie. Ta ziemia w Alabamie, Kolorado, Urugwaju i wszędzie indziej była tutaj, odkąd raki wypełzły z błota, i na długo przedtem, nim ludzie zaczęli myśleć. I będzie trwała długo po tym, jak zaginie o nas pamięć, Chebonie. Ta planeta obrywa cięgi, to jasne, i rzeki wystąpią z brzegów. Ląd jednak przetrwa. Podobnie jak my, synku, choć stanie się to w formach, które zrozumiesz dopiero, gdy przyjdzie na to czas.

Gdy przyjdzie na to czas, zrozumiesz również, że te wybory to próba, której poddawani są wszyscy i którą akurat nasz naród przeszedł kilka razy. Świadectwem jego długiej trudnej historii jest krew płynąca w twoich żyłach; obecna sytuacja nie jest czymś, z czym nie mógłbyś sobie poradzić. Prezydent elekt Stanów Zjednoczonych nie doprowadzi w 2017 roku do zagłady ludzi na ziemi. Nie wierz w te apokaliptyczne brednie. Armagedon nie istnieje. Ale trzeba będzie oczywiście ponieść pewne konsekwencje.

Zamieszanie, ból, podziały. Strach. Nie zawsze będzie wiadomo, komu i w co wierzyć. Na pewno nie będziesz musiał szukać rozrywek. Będą na

wyciągnięcie ręki. Tak jak narodziny nowego rodzaju narodu. Ten kontynent wzywa swych prawdziwych obywateli, przywracając należne miejsce brązowym ludziom, którzy pierwsi wypełzli spod jego błota; ten kontynent mówi, że ziemia jest prawie gotowa na wasze przyjście. Wychodzicie spod ziemi – tak samo jak wasi przodkowie. Na razie słabo was słychać – to coś jak brzęk grzechotki na kostce, ale jest coraz potężniejszy. Posłuchaj bębnów, ich synkopowanego rytmu. Synkopowanego! I jak to się ma do ośmiu klas, które skończył Twój dziadek! Ale to prawda, Chebonie. Wierz mi. Jeśli nadstawisz ucha, usłyszysz pieśń. Obiecuję. Słuchaj jej, aż poznasz melodię. Wtedy napisz nowe słowa. Zaśpiewaj tę modlitwę światu. Poprowadź chór.

Nie traktuj tego jako reprymendy, ancymonku. Jasne, lubię prawić kazania, ale mam również powody, by świętować. Ty istniejesz. Mimo wszystkiego, co nam zrobili, istniejesz. Mimo wszystkiego, co robią teraz, by uciszyć Twój sprzeciw i podkopać Twoją pewność siebie, Chebonie, Ty istniejesz. Dopóki żyjesz, by dawać świadectwo i protestować, istniejesz. Więc nie upadaj na duchu. Wstań i krzycz. A potem zatańcz i tańcząc, nie zapomnij

tupać nogami. Poczuj piasek pod stopami. To jest Twoja wolność.

Pamiętaj o równowadze i dziel się tyloma dobrymi wiadomościami, ile dociera do Ciebie złych. Niech tych dobrych będzie nawet więcej. Te kłopoty też szybko miną. A to, co przyjdzie po tym gównianym czasie, będzie lepsze, solidniejsze i utrzymane w duchu większej jedności, niż ta planeta widziała za naszego życia.

Ta wiadomość jest wyrazem uznania dla Ciebie i Pomocników, którzy reagują głośno na chaos bólów rozwojowych ziemi. To przebudzenie. Świętowanie nowej świadomości. I wielkie podziękowania. Jesteśmy wdzięczni, synu – Mvto, Chebon – każdemu, kto jest uważny. My jesteśmy uważni. Cały wszechświat nadstawia ucha. Daj głos, ale pamiętaj, by w odpowiednim momencie zamilknąć i odróżniać prawdę od złudzenia. Trzymaj wysoko uniesioną głowę. Nie wrócisz pod ziemię, lecz są chwile, kiedy będziesz musiał młócić ramionami wodę. To właśnie jedna z takich chwil. A Ty umiesz pływać.

Ale ziemia przetrwa. A my nigdzie się nie wybieramy. Stąpając po ziemi, którą przygotowali dla Ciebie Twoi ziomkowie,

pamiętaj: Przygotuj świat jak najlepiej na siedem pokoleń. Życie nadal jest świętem. Wierz mi, wnuku. Nie bez powodu nie mamy słowa na „do widzenia”.

Twój dziadek

Gałęzie

PRAWA CZŁOWIEKA TO UCHWYT. PRZEKAŻ GO INNYM

Mohja Kahf

Droga Fayzo

Smutek i strach z powodu wyboru Trumpa są zrozumiałe. Słyszę, co mówisz, *habibti*.

Może warto spojrzeć na to z perspektywy czasu. Jak było kilkadziesiąt lat temu, jak będzie za kilkadziesiąt lat? Myśl jak drzewo. To jest tylko jeden słój, a drzewo będzie miało ich wiele. Ten może się okazać bardzo cienki. Myśl jak drzewo, zapuszczaj korzenie, by czerpały wodę z każdej gleby. Za kilkadziesiąt lat, w lepszych czasach, spojrzysz wstecz na tę chwilę.

Takie podejście może nam pomóc zdystansować się wobec wyniku wyborów. „Zdystansować się” nie znaczy „lekceważyć”. Należy działać z nadzieją, ale nie na konkretny rezultat. Albowiem nie wiemy, co się jeszcze wydarzy. Może nas czekać wiele rzeczy. Mogą się pojawić stada bizonów. Może nadlecą orły. Albo nie. Mimo to brniesz dalej, ponieważ Twoje czyny mogą pomóc rozwinąć się innym pomocnym działaniom, a wtedy… Kto wie? Nie wiemy, co może się przydarzyć po drodze. Po prostu niczego nie oczekuj, nie przywiązuj się nadmiernie do jednej nadziei. Miej w zanadrzu plan B i plan C, a w przyborniku przetrwania trzymaj rozmaite przybory.

Tymczasem walka toczy się nadal. Nie ma końca, rozgrywa się nieustannie. Walka o prawa człowieka nie dotyczy jednego mężczyzny czy kobiety na szczycie; wymaga ciągłej pracy. I tak wiedzieliśmy, że będziemy musieli ją kontynuować, ponieważ niesprawiedliwość jest wpisana w system, jest obecna w całym porządku społecznym. Ty, która osiągnęłaś dorosłość w minionym dziesięcioleciu, zaznałaś ośmiu lat urzędowania czarnego prezydenta Stanów Zjednoczonych – nieźle. Uzyskano nawet pewną przewagę w takich kwestiach jak opieka

zdrowotna, dzięki czemu ludzie mogą się rozluźnić. Pomyśl jednak, że w okresie prezydentury Obamy liczba ataków z użyciem dronów wzrosła wykładniczo; pomyśl, ilu czarnych zastrzeliła w tym czasie policja. Jak wielu ludzi, którzy dzisiaj żarliwie protestują przeciwko rejestracji muzułmanów, popierało ruch Black Lives Matter lub występowało przeciwko dyskryminacyjnemu programowi imigracyjnemu NSEERS (National Security Entry-Exit Registration System)? Z powodu tego programu moi studenci z Bliskiego Wschodu musieli znosić wielogodzinne przesłuchania, ilekroć wracali do kraju po odwiedzinach u rodzin. NSEERS arbitralnie zakazywał wjazdu rzeszom niewinnych ludzi, a w walce z terroryzmem okazał się nieskuteczny. Dążymy do zmian niesprawiedliwości systemowych i nigdy nie powinniśmy dać się uśpić.

Pamiętaj o jednym: wszelkie zdobycze prawne, osiągnięte w minionych latach dzięki walce o prawa człowieka, nie znikną z dnia na dzień. Są prawnie usankcjonowane. Ustawa mówiąca o tym, że ludzie spod znaku LGBTQ od zeszłego roku mają te same prawa co wszyscy, ma w moim mieście moc prawną. Wybór Trumpa na prezydenta nie zmieni tego,

w każdym razie tam, gdzie mieszkam. Żaden człowiek piastujący urząd nie może, ot tak, sprawić, by te zdobycze znikły, ale musimy zachować czujność. Na każdym kroku czeka nas walka z wszelkimi próbami zniwelowania tych zdobyczy, zarówno w ramach protestów obywatelskich, jak i w sądzie. Tych zmian nie wprowadzono z powodu jednego przywódcy czy partii; były efektem pracy całych koalicji, a te nie znikną z dnia na dzień. Ludzie, którzy nad nimi pracowali, nadal tu są. Władza ludzi jest energią odnawialną.

Dorastałam w niewielkim miasteczku na Środkowym Zachodzie, tak rasistowskim, że miałam myśli samobójcze. Myślałam, że po prostu nie jestem tym, co w szkole nazywano „porządnym obywatelem”. Pewnie dlatego nauczyciele patrzyli na mnie tak sceptycznie albo wcale nie zauważali, a kiedy już zauważyli, stawiali niższe oceny. W podstawówce każdego ranka musiałam mijać grupę podpierających ścianę chłopaków, którzy obrzucali mnie wszelkimi obraźliwymi epitetami, jakie zdołali wymyślić – dlatego że byłam cudzoziemką, wyznawałam inną religię, inaczej się ubierałam (nie chodziło nawet o hidżab; na domiar złego często nosiłam szyte w domu spodnie,

podciągnięte niemal pod szyję, wolelibyście tego nie widzieć). Wszystko to działo się na szkolnym korytarzu, ale nikt z ciała pedagogicznego nie zwracał na to uwagi. Niektórzy nauczyciele niewątpliwie należeli do Ku-Klux-Klanu, ale nawet oni, podobnie jak niemal wszyscy pozostali, byli prawdopodobnie „miłymi" ludźmi. Gdybyście ich spotkali, uznalibyście ich pewnie za miłych ludzi. Więc tym bardziej czułam się tak, jakby wina leżała po mojej stronie, po stronie mojego parszywego charakteru.

W wieku dorosłym nauczyłam się rozumieć, co ludzie w tamtej szkole i tamtym miasteczku robili – oraz czego nie robili. Dzisiaj wiem, na czym polega manipulacja, podkopywanie pewności siebie u innych, by łatwiej było sprawować nad nimi kontrolę. Dzięki swoim przeżyciom zdobyłam wiedzę, jakiej nie posiadali moi rodzice. Mogę uchronić własne dzieci przed podobnym losem, chociaż rasizm systemowy nie zniknął (staram się też nie zmuszać dzieci do noszenia szytych w domu spodni, bo nie jestem na to skazana). Dysponujesz pojęciami pozwalającymi ci oprzeć się rzeczom, które sprawiają, że zaczynasz obwiniać sama siebie, i ogarnia cię samobójcze przygnębienie. Takie szalone myśli rodzą się, gdy człowiek przebywa

w rasistowskim otoczeniu. W razie gdybyś zapomniała, masz mnie, a ja Ci przypomnę. Pamiętaj: nie wypełniaj swego życia „miłymi” ludźmi, niedostrzegającymi rasizmu, albo takimi, którzy krytykują wszystkie Twoje spostrzeżenia odnośnie do rasizmu, a jednocześnie podają się za zadowolonych z siebie liberałów. Unikaj takich osób, bo w ostatecznym rozrachunku wyssą z Ciebie energię. Szukaj ludzi, którzy „ogarniają”… Czy właściwie użyłam tego modnego słowa?

Jeżeli w związku z ostatnimi wyborami prezydenckimi my, stare pryki, przywołujemy dawne czasy rasizmu, ksenofobii i seksizmu, jakich doświadczyliśmy w tym kraju, nie robimy tego, by powiedzieć młodym, żeby się nie martwili, bo już przez to przeszliśmy. Nie robimy tego, by umniejszać zdumiewający wynik tych wyborów ani powagę stojących przed nami zagrożeń, nie jest to wyraz optymizmu czy braku realizmu. Nie są to także czcze wspominki ani przyjmowanie pozy ofiary. Przypominamy o tym, by odwołać się do wewnętrznej siły, jakiej nabraliśmy w walce z rasizmem i ksenofobią; by przywołać strategie, które przyniosły nam drobne zwycięstwa, a także po to, by pamiętać, że dawna walka nas umocniła. To przykre, że Twoje

pokolenie, zamiast kierować energię na inne cele, musi walczyć z tym od nowa, ale tak naprawdę nie jest to nic nowego. Mówimy, że to nic nowego, aby wam przypomnieć, że dysponujecie wewnętrzną i zewnętrzną siłą. Macie ją w sobie i została nagromadzona przez poprzednie pokolenia. Przetrwaliśmy pomimo znacznie skromniejszych środków, a spójrz, jakimi dysponujecie – dysponujemy – obecnie. Wasze wspaniałe narzędzia pracy budzą podziw, wasze pojęcia, wasze niezwykłe sposoby organizacji. Twoja wizja sięga dalej, niż mogłam marzyć, kiedy miałam tyle lat co Ty – to naprawdę wspaniałe! Dasz radę. Do dzieła! Uda się nam.

Wszystko, czego nauczyliśmy się w tym kraju o prawach obywatelskich, zaczyna się od czarnych. I od rdzennych Amerykanów. Nawiąż z nimi kontakt i sprzeciwiaj się nastrojom przeciwko czarnym, jakie panują w imigranckich muzułmańskich społecznościach w Stanach Zjednoczonych; warto uświadomić sobie naszą ignorancję wobec walki rdzennych Amerykanów. Koran nawołuje, by dawać świadectwo sprawiedliwości *również względem was samych albo względem waszych dzieci i krewnych, czy to będzie bogaty, czy biedny!*[4]. Nie

możemy oczekiwać, że po prostu wskoczymy i będziemy czerpać z wywalczonej przez nich mądrości, jeśli sami nie przyznamy, że do pewnego stopnia korzystaliśmy z przywilejów białych kolonizatorów. Co z udziałem naszej społeczności w ucisku biednych i klasy pracującej przez zadufaną klasę średnią? Czy możemy to naprawić? Celem tej nowej postaci rasizmu są amerykańscy Żydzi i chociaż syjonizm wielu z nich jest wymierzony przeciwko nam jako Arabom, stoimy z nimi ramię w ramię, sprzeciwiając się antysemityzmowi. Jednocześnie domagamy się, by syjoniści przyznali się do szargania praw Palestyńczyków. Prawa człowieka są osią – stąd do mojej Syrii, stąd do twojej Palestyny. *I niech nienawiść do jakiegokolwiek ludu nie skłania was do grzechu, abyście nie popełnili niesprawiedliwości*[5]. Tocząca się na całym świecie walka o prawa człowieka jest jedynym trwałym uchwytem, który pozwoli nam wspiąć się ponad to wszystko.

Pomyśl w ten sposób: może dobrze się stało, że rasizm wyszedł na światło dzienne. Od zawsze był wpisany w system, ale teraz karty są na stole, rasizm jest nagi. Dzięki temu ludzie mogą się domagać zadośćuczynienia i dokonywać

wyborów. Pewien śniady chłopiec z gimnazjum, do którego uczęszczają głównie biali – chłopiec, którego kocham – powiedział mi w zeszłym roku:

– Człowieku, rasizm to sprawa przeszłości. Teraz prezydentem jest Obama!

Nie lada wyzwaniem było przekonanie go, że rasizm nadal jest obecny i wręcz zagraża jego życiu. Wierzę, że chłopiec potrzebuje tej wiedzy, by przeżyć, ilekroć przechodzi przez jezdnię przed samochodem policyjnym. Młodzi ludzie, którzy dzisiaj dorastają, będą wyraźniej rozumieli, że muszą zewrzeć szeregi przeciwko rasizmowi; to nie jest tylko lekcja wychowania obywatelskiego. I jeszcze jedno: w wyborach nie wzięła udziału nawet połowa uprawnionych do głosowania. Niecała połowa wybrała Trumpa. Jak wiesz, większość opowiedziała się za kandydatką niegłoszącą otwarcie rasizmu. Kurczę, to znaczy, że tylko mniej niż dwadzieścia pięć procent mieszkańców kraju nienawidzi nas, czarnych, LGBTQ, Latynosów, rdzennych Amerykanów oraz imigrantów. Zresztą już wcześniej to wiedzieliśmy, prawda?

Odezwij się, jeśli będziesz chciała porozmawiać. Trzymaj się, *habibti*.

Uściski

Mohja

PS Na wszelki wypadek zaopatrz się w środki antykoncepcyjne. Jesteś za młoda, by pamiętać, jak długo torowała sobie drogę na rynek w Stanach pigułka do zażywania nazajutrz i nie wiadomo, czy znowu nie stanie się trudno dostępna. Sprawdź też, czy masz ważny paszport. Często kontaktuj się z przyjaciółmi, miej ich numery przy sobie, nie tylko w komórce. Skontaktuj się ze znajomymi, którym sama możesz pomóc w podobny sposób. Podaj dalej!

TY
Achy Obejas

Ty

Stoisz przed niespokojnym widnokręgiem, niewyraźnym i zamazanym, na początku wieku, który od początku sprawia wrażenie przeklętego i opuszczonego: pozbawionego pamięci, bombardowanego apokryficznymi opowieściami i obietnicami, które od razu, gdy są wypowiadane, gdy sypią się z ust naszych przywódców, fałszywie połyskują jak cyrkonie.

Ty, ty

Szokują Cię oszukańczy przywódcy, tacy jak księżniczka Caraboo i Victor Lustig, który sprzedał na złom wieżę Eiffla. Jak oni pięknie

skandują: „Wojna jest pokojem, wolność jest niewolnictwem!” i przede wszystkim: „Ignorancja jest siłą!”. Właśnie tak: Im mniej wiesz, tym bardziej jesteś oburzony. Im mniej wiesz, tym bardziej jesteś chroniony. Im mniej wiesz, tym większą masz słuszność. Chór oznajmia: „Powiedz to głośno, jestem tutaj i jestem dumny”. Czyż to nie brzmi znajomo? Weź głęboki oddech. Niech chór umilknie, a Ty odejdź ścieżką, którą sam wyznaczysz i wybierzesz, nawet jeśli po drodze kilka razy pobłądzisz. Nie bój się samotności.

Ty, ty, ty

Musisz mieć bolesną świadomość rzeki łez, która nas tutaj sprowadziła i zalała Al-Andalus, Jamestown, Ulster, Yangzhou, Salem, Lancaster, Warszawę, Konstantynopol, Port-au-Prince, Boston, Sand Creek, Gippsland, Frog Lake, Wounded Knee, góry Armenii, Guaymas, wyspę Jeju, Stambuł, Berlin, Cabindę, Chicago, Ponce, Katyń, Odessę, Kefalonię, Manilę, Haifę, Lyddę, Hulę, Batang Kali, No Gun Ri, Nairobi, Sharpeville, Paryż, Jacinto Vera, Zanzibar, Hue, My Lai i My Khe, Leopoldville, Meksyk, Porvoo, Karen, Delhi, Choeung Ek, Bugandę, Tochni, San

Salvador, Derry, Monachium, Ezeizę, Marichjhapi, Gwangju, Palmyrę, El Mozote, Hamę, Lucanamarca, Dujail, Clifton Hills, Belfast, plac Tiananmen, Aramoanę, Barrios Altos, Waco, Sivas, Kapsztad, Kigali, Zachodni Brzeg Jordanu, Sarajewo, Luksor, Wschodni Timor, Port Arthur, Acteal, Omagh, Andijan, Hadithę, Blacksburg, Kabul, Kandahar, Abu Ghraib, Charleston, Lafayette, Orlando, Darfur i Aleppo, i musisz wiedzieć, że piliśmy wodę z tej rzeki, a ona zatruła nam krew, którą teraz piszemy historię, którą czytasz.

Ty, ty, ty, ty

Możesz się chlubić siatką blizn, które Twoi przodkowie zawdzięczają chłoście, tym, jak długo Twoja krew pulsowała pod wodą, gdy czekali, aż się wynurzysz, by znów Cię podtopić, tym, jak długo miałeś otwarte oczy, gdy Twoja głowa spadła z karku, i jak długo głośno śpiewałeś, podczas gdy płonęły Twoje członki… ale nie zaprzeczaj prawdzie, że czasami to Twoi ludzie trzymali bicz, czasami to Ty pętałeś nadgarstki wiedźmie, Ty uruchamiałeś gilotynę i rzucałeś zapałkę. Ponieważ nikt z nas nie jest w pełni

wolny od dawnych win, a ta świadomość sprawi, że nauczysz się przebaczać.

Ty, ty, ty, ty, ty

Nie wolno Ci brać niczyich słów na wiarę. Pamiętaj, że zaufanie nie może wyrosnąć na gruncie kłamstw i pogardy, bo one rodzą tylko kapitulację wobec fałszywej rzeczywistości. Bądź czujny – owszem, serdeczny, ale także czujny. Zadawaj pytania. Czy to prawda? Czy to naprawdę prawda? Szukaj odpowiedzi – licznych i sprzecznych ze sobą. Domagaj się ich. Oceniaj je. Zastanawiaj się. Bądź świadkiem. Weź to, czego się nauczyłeś, przekłuj swój palec i napisz nową opowieść.

Ty, ty, ty, ty, ty, ty

Musisz mieć bystre oko, równy krok, silne ramię, które uniesie nie tylko Ciebie; serce, które kocha mocno i szczerze, oraz wyczucie czasu precyzyjne jak zegar atomowy lub Księżyc. Zaangażuj się. Bądź świadkiem. Weź to, czego się nauczyłeś, przekłuj swój palec i napisz nową opowieść, którą będą czytać w przyszłych dniach.

A potem słuchaj: słuchaj opowieści, które napisali inni i które są odczytywane na głos jak pieśń.

Ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty

Wiedz, że czekają Cię porażki, wiele bolesnych porażek. Ale każdą należy przyjąć z godnością, ponieważ porażki są także inspiracją, pozwalają wykazać słabości systemu, uświadomić sobie możliwości, stanowią lekcję dla wszystkich, którzy są gotowi świadczyć, oraz wezwanie do refleksji i rozpoznania okoliczności porażki, słabych miejsc, które można wzmocnić bądź ominąć, aby nad nimi zapanować, dzięki czemu porażka następnym razem wyda owoce, nawet jeśli Ty już tego nie doświadczysz. Zaangażuj się. Bądź świadkiem. Weź to, czego się nauczyłeś, przekłuj swój palec i zapisz wszystko, aby ludzie kiedyś mogli przeczytać Twoje świadectwo. A potem przeczytaj wszystkie proklamacje, które Ci powierzono; opraw je, zaszyfruj, rozmawiaj o nich, powtarzaj je każdemu, kogo napotkasz.

Ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty

Musisz się nauczyć żyć ze swoim bólem, co oznacza konieczność noszenia go niczym orderu, ale także – być może przede wszystkim – poddawanie się ograniczeniom, które on ze sobą niesie, słuchanie jego wezwania do poszukiwania schronienia i ukojenia, czasami razem z innymi, czasami samotnie. W tym bólu musisz odnaleźć receptę na zrozumienie cierpienia innych, abyś mógł być dla nich schronieniem i ukojeniem, jeśli Ci na to pozwolą, jeśli tylko zechcą, i będziesz to robił, nie oczekując nagrody ani odpłaty. Zaangażuj się. Bądź świadkiem. Przekłuj sobie palec i ofiaruj go swoim towarzyszom broni.

Ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty

W ostateczności możesz spróbować testu mgły. Tchnij na nich i sprawdź, co się stanie. Czy Twój gorący oddech sprawia, że się pocą, czy może podchodzą, by odwzajemnić Twój pocałunek z czystymi i szczerymi zamiarami.

Ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty

Musisz przyjąć, że nie robisz tego sam. Że przyszłość, która domaga się ratunku, to

wielowarstwowy świat: nasz, mój, Twój, następnych pokoleń, aż po bezkresny horyzont. Splećcie wasze krwawiące palce. Uważnie nasłuchujcie, gdyż pośród chaosu i niepokoju, pośród naszego oddania sobie nawzajem, historiom, które opowiadamy, i wspólnie toczonym bitwom budzi się nadzieja, niczym trzepot kartek lub skrzydeł.

ZAŻĄDAĆ NIEMOŻLIWEGO
Viet Thanh Nguyen

Do moich kolegów pisarzy i artystów. Do moich czytelników i miłośników sztuki. Do tych, którzy podobnie jak ja wierzą w pokój i świat bardziej doskonały.

Wielu z nas – być może prawie wszyscy – ma wrażenie, że nadszedł kryzys. Donald Trump zatriumfował i osiągnął to, co wielu, z wyjątkiem jego najzagorzalszych zwolenników, uznawało za niemożliwe. Mimo swoich wad, a ma ich sporo, zaryzykował i, jak widać, bardzo mu się to opłaciło. Opowiedział nam historię, którą chciała usłyszeć połowa Amerykanów. W przeciwieństwie do niego Hillary Clinton i demokraci postawili na obronę. Wyszli na środek i zwracając się w lewo, zawołali: „Zdecydujcie się: albo wte, albo wewte!”. Pragnęli

możliwego. Dla wielu pisarzy i artystów jest to smutna, bezbarwna wersja amerykańskiego liberalizmu.

Czy teraz, gdy gra na bezpieczeństwo i zasady moralne zawiodła, możemy spróbować czegoś innego? Czy moglibyśmy zaniechać sojuszu z republikanami, którzy nie ustąpili i zdobyli to, czego żądali ich wyborcy? Demokraci najwyraźniej nie rozumieją zasad kierujących negocjacjami, reguł, które głoszą, że należy zaczynać od tego, czego chcemy, a nie tego, na co się umówimy. Kiedy Obama mianował swojego kandydata na sędziego Sądu Najwyższego, republikanie nie ustąpili, dzięki czemu teraz mogą wybierać i kształtować przyszłość każdego z nas. Może i mają złe zasady, ale przynajmniej jakieś mają i przy nich trwają.

Oto co chcę powiedzieć amerykańskim liberałom i lewicowcom: zamiast słuchać strategów, którzy nie wierzą, że da się radykalnie zmienić nasze społeczeństwo, czy moglibyśmy wreszcie posłuchać artystów, outsiderów, radykałów, dziwaków, przedstawicieli awangardy, ludzi młodych, anarchistów oraz wszystkich tych, którzy mają dość zastoju i „limuzynowego” liberalizmu elit zarówno jednej partii, jak i drugiej? Czy moglibyśmy

w końcu posłuchać marzycieli, zamiast wątpiących? Czy odważymy się sięgnąć po niemożliwe?

Oto moje pragnienia wyrażone tysiąc dziewięćset dziewięćdziesięcioma dwoma słowami artystki wizualnej Zoe Leonard: *Chcę, żeby prezydentem została lesba albo chory na AIDS. A wiceprezydentem pedał lub ktoś bez ubezpieczenia zdrowotnego. Chcę, żeby w Białym Domu zasiadł gość, który wychowywał się w miejscu, gdzie ziemia jest tak przesiąknięta toksycznymi odpadami, że choruje się tam tylko na białaczkę*. Jej mocny, prowokacyjny artykuł zajmuje trzydzieści linijek i jest utrzymany w tym samym stylu. *Chcę, żeby prezydentem została czarna*, pisze Leonard, *i jeśli powiecie, że to niedorzeczne, najwyraźniej nie dostrzegliście, że niedorzeczne zaistniało już w postaci wygranej Donalda Trump*a.

Leonard mówi o ludziach zmarginalizowanych, wykorzystywanych, zubożałych i prześladowanych. Nie wspomina o różnicach rasowych, ponieważ tak jak ktoś może być biały, mieszkać na wsi i podpadać tym samym pod jedną z tych kategorii, tak ktoś inny może należeć do mniejszości i mieszkać w mieście. Przedstawia marzenie o solidarności,

o koalicji bezdomnych biedaków, których demokraci porzucili na korzyść zaprzyjaźnionego kapitalizmu globalnych finansistów posłusznych systemowi gospodarczemu, a nie swojemu krajowi. Biała większość odrzuciła to, wybierając białą politykę tożsamościową, ale my nie powinniśmy odpowiadać na ten wybór ani anemicznym liberalizmem, ani naszą własną wersją ograniczonej polityki tożsamościowej.

Tak, oczywiście, demokraci popierają prawa obywatelskie i socjalne ludzi ubogich, jednak nie stworzą strategii, która mogłaby poprawić sytuację gospodarczą kraju. Innymi słowy, nigdy nie doprowadzą do redystrybucji. „Redystrybucja" – słowo to przeraża ich bardziej niż „prawa" i strach przed nią (wszystko jedno, czy miałaby objąć dochody, czy możliwości) jednoczy przywódców obu partii. Ale istnieje jeszcze straszniejsze słowo na „r": „rewolucja".

Tak, Trump stanął na czele rewolucji, lecz nie będzie to rewolucja, której celem jest bardziej sprawiedliwe społeczeństwo. Proponowana przez niego wersja jest rewolucją „silnych", przeprowadzoną z góry w imieniu tych na dole. Być może bawi ich spektakl urządzony przez strzelającego z biodra prezydenta, być może

bawią ich nielegalni imigranci, z których robi się kozły ofiarne, być może ziewają, oglądając w telewizji, jak zabija się czarnych, jednak wydaje się mało prawdopodobne, aby „silny” stworzył więcej miejsc pracy. „Silny” z definicji szanuje tylko innych „silnych”, a nie słabość mas czy kobiet.

Do prawdziwej rewolucji dojdzie dopiero wtedy, kiedy państwo nie będzie w stanie zapewnić ludziom pracy. Bo jaka czeka nas przyszłość, skoro niemal cały zysk kapitalizmu zgarnia jeden procent obywateli, trochę przypada kolejnym dziesięciu procentom, a reszcie niemal nic? Jak się ten system utrzyma, skoro coraz więcej i więcej osób nie może sobie pozwolić na kupno rzeczy, które system ten oferuje, ponieważ wytwarzający je pracownicy nie są mu już potrzebni? Oto podstawowa sprzeczność naszego nowego überkapitalizmu, modelu, którego zwolennicy uważają, że można zarobić na dostarczaniu usługi, zmniejszając liczbę zatrudnionych.

Kapitalizm można uwolnić od tej sprzeczności, stosując model, który łączy prawa i redystrybucję, jest jednak mało prawdopodobne, żeby kapitalistom na tym zależało. Dotyczy to nie tylko Donalda Trumpa,

ale i Hillary Clinton. Jak pisze o liberałach Slavoj Žižek: *Oni boją się tylko jednego: prawdziwych zmian społecznych*. Potrzeba nam czegoś lepszego niż to, co zaproponowali Ameryce Trump i Clinton. Propozycja nie może wyjść od osób wtajemniczonych i dobrze poinformowanych, skompromitowanych i cynicznych. Outsiderzy często widzą nas lepiej niż my, ci w środku, widzimy samych siebie. Należy do nich wielu artystów i pisarzy, nasza twórczość nie jest jednak aż tak radykalna, a nawet zaangażowana politycznie.

Dlatego pora się zaangażować, tak jak zrobiliśmy to masowo w latach trzydziestych ubiegłego wieku, w okresie Starej Lewicy, która osiągnęła swój punkt kulminacyjny w latach sześćdziesiątych, przekształcając się w Nową Lewicę. Siły postępu w Stanach Zjednoczonych rozwijały się wtedy równolegle z ruchami dekolonizacyjnymi na całym świecie. Ale od początku lat sześćdziesiątych prawica kontratakuje na froncie wewnętrznym i globalnym. Do głosu coraz częściej dochodzą ci, którzy wykorzystują strach, wierzą w mury i granice. Marzenia o wyzwoleniu ustępują przed agresywnym atakiem ducha segregacji etnicznej i narodowej.

Ci z nas, którzy pragnęliby zburzyć mury i zlikwidować granice, którzy wierzą w równość i wspólnotę, muszą wykorzystać swój talent do zbudowania koalicji lewego i prawego skrzydła, białych i czarnych oraz wszystkich stojących pośrodku, ruchu na tyle dużego, by mógł pchnąć nasz kraj – i cały świat – do przodu, ku większej sprawiedliwości, równości i solidarności. Nierealistyczne? Ursula K. Le Guin twierdziła, że pisarze powinni być „realistami większej rzeczywistości". Podczas gdy do rozwijania i propagowania swoich wizji prawe skrzydło używa think tanków, lewe ma większość pisarzy i artystów. I właśnie pisarze i artyści powinni teraz dostrzec, że ich twórczość odgrywa ważną rolę w przekształcaniu świata. Nadeszła pora poświęcić się sztuce czysto politycznej.

W 1992 roku Zoe Leonard trafnie przewidziała dzisiejsze wydarzenia, choć być może wyraziła jedynie to, co od dawna było oczywiste dla wszystkich ludzi z zasadami: *Chciałabym wiedzieć, dlaczego gdzieś po drodze nabraliśmy przekonania, że prezydent zawsze musi być błaznem. Zawsze klientem, a nigdy prostytutką. Zawsze szefem, a nigdy robotnikiem. Zawsze kłamcą i złodziejem, któremu wszystko uchodzi na sucho.*

Przepowiednie przemawiają do mnie bardziej niż polityka. Zamiast ankieterów wolałbym posłuchać poetów. Zamiast zysku dla nielicznych pragnę dobrobytu dla wszystkich. Chcę wierzyć w ludzi, a nie w prezydenta.

Viet Thnah Nguyen

„HOLLA” Z WEST SIDE

Cherríe Moraga

> *Jedna jest w życiu odpowiedzialność: maleńkie światełko w przerażającej ciemności, z której przyszliśmy i do której wrócimy. Tę drogę między jednym i drugim powinniśmy przejść w miarę możliwości najbardziej szlachetnie, dla dobra tych, którzy przyjdą po nas*[6].

Drogi artysto „radykalnej nadziei”!

Na ekranie lecą końcowe napisy *Fences*, filmowej adaptacji sztuki Augusta Wilsona, a czarna w większości publiczność Oakland wychodzi w świątecznym nastroju z kina, śmiejąc się i rozmawiając. Jest jasne wietrzne popołudnie Bożego Narodzenia. My troje

zostajemy w fotelach – mój dwudziestotrzyletni syn z lewej i moja (od dwudziestu lat) kobieta z prawej strony. Tyle nas zostało w ten dzień z całej rodziny: dorosłe dzieci i wnuki miały inne zobowiązania.

Nie wiedziałam, że Denzel Washington nie tylko gra główną rolę, ale jest reżyserem filmu. Choć właściwie przyszłam na ten seans bardziej dla Violi Davis niż dla Denzela. Chciałam usłyszeć, jak mówi na głos to, co zawsze uważałam za najbardziej feministyczną kwestię w całym dorobku Augusta Wilsona: *Od tego momentu… to dziecko ma matkę. Ale ty jesteś mężczyzną bez kobiety.*

Lecz i tak ten napis – *Reżyseria: Denzel Washington* – robi na mnie zaskakująco silne wrażenie. August dostał w końcu, czego chciał – myślę – choć jako nieboszczyk nie zdaje sobie chyba z tego sprawy.

Zaczynam o tym coś mówić do syna i mojej kobiety: że August już od dziesięciu lat nie żyje… i tę sztukę… na podstawie której nakręcono film… z tymi fenomenalnymi czarnymi aktorami… oglądają teraz ci skrajnie bezczelni (i skrajnie skupieni) ludzie, którzy reagują na dialogi, jakby to były płynące z filmowej ambony słowa ewangelii. Ale po tych kilku nieskładnych

zdaniach ogarnia mnie nagły smutek, zupełnie jakby August był moim zaginionym bratem – zaginionym i jednocześnie odzyskanym, ponieważ dziesięć lat po tym, jak zmarł, jego słowa i dzieła wracają wreszcie do ludzi o tym samym kolorze skóry, z tej samej klasy społecznej co ci, którzy je zainspirowali. Nie na Broadwayu, ale w kinie Bayfair Mall, na skraju East Oakland.

I z tego rodzi się wielkie *llanto*[7], które w sobie wstrzymuję, wielki płynący z amerykańskich kin płacz nad tym, że my – kolorowi – pozwalamy, by tyle podobnych historii pozostało nieopowiedzianych; tyle historii, które mogłyby uleczyć ludzi, gdyby do nich trafiły; dzięki którym nie popadaliby w obłęd, wiedząc to, co wiedzą, i czując to, co czują; tyle historii, które pozwoliłyby ludziom przyjrzeć się własnemu życiu i je zmienić; historii, w których niebiosa rozstępują się, by nas przyjąć.

Nie umrzemy na próżno, zapewnia nasza sztuka.

Moja kobieta jest podobnie jak ja Meksykanką i zna mnie na tyle dobrze, by nie odzywać się, gdy siedzę tam z gulą pięćsetletniego milczenia w gardle. Bo muszę przełknąć to milczenie, inaczej nie wyjdę z kina. Ale mój syn jest zbulwersowany.

– Co się z tobą dzieje? – chce wiedzieć. Widzę po jego oczach, że dostrzegł, jak coś się we mnie zmienia, coś, czego nie potrafi umiejscowić, coś, czego się we mnie boi i z powodu czego boi się o mnie. Przez całą minutę nie mogę się odezwać, przełykam tylko bez przerwy ślinę.

– Jest mi po prostu smutno – mamroczę.

– Ale ja nie mogę ci pomóc – odpowiada błagalnym tonem.

– Wszystko w porządku – mówię po chwili. – Nie musisz.

Bo tym, czego nie potrafię wyjaśnić, jest fakt, że zalewana tą falą emocji jestem bardziej sobą niż w ciągu długich miesięcy wygłaszania wykładów, prowadzenia zajęć, wypełniania matczynych i córczynych obowiązków i jałowego zarabiania na życie w epoce, która stała się już epoką Trumpa. I przypominam sobie nagle dwusekundowy kawałek z filmu, kiedy grany przez Denzela Troy wyciąga dyżurną piersiówkę

ginu i zanim z niej pociągnie, wylewa kilka kropel na podwórko stalowni w Pittsburghu.

I nie mogę się powstrzymać, by nie pomyśleć: To w hołdzie dla Augusta.

W tym tkwi nadzieja – że można być kolorową osobą z mainstreamu, kręcić mainstreamowy film i mieć za producenta kogoś z mainstreamu, a mimo to pamiętać o swoich korzeniach, pamiętać, że pochodzi się z ludu, który istniał przed niewolnictwem, przetrwał je i ma przed sobą przyszłość. Wiem, że to zdarzało się wcześniej, ale zdarza się również dzisiaj i tego właśnie chcę dla wszystkich kolorowych – dla imigranta i uchodźcy, dla autochtona i przybysza – dzieł, które pamiętają i potrafią wykreować dającą się znieść przyszłość, kiedy umiera angloamerykańskie „zróżnicowanie” i zakwitają nasze kultury.

Zasada 101 ekonomii mainstreamu: Produkcja sztuki w kapitalizmie:

Jeśli nie da się na czymś „zarobić”, nie da się tego zrobić. Jeśli nie ma na coś „rynku”, nie

znajdą się na to środki. Chicanos pisali po angielsku od przeszło półtora wieku, odkąd południowy zachód stał się Południowym Zachodem. Mimo to po dziś dzień to, co widzimy w telewizji i na ekranach kin (z kilkoma chlubnymi wyjątkami[8]), nie pokazuje narodu – być może polityka, z pewnością kogoś śmiesznego, zawsze jakieś wprowadzenie do meksykańsko-amerykańskiej rodziny, ale „nas", w całej naszej różnorodności? W żadnym wypadku, *apenas nada*, ponieważ nie ma po prostu sposobności, by pracować na tym poziomie. Być może, oglądając *Fences*, płakałam nie tylko dlatego, że był to doskonały film, ale ponieważ skorzystał z prawa do jednostkowego widzenia. To była wizja Augusta Wilsona w kompetentnych rękach reżysera i aktorów. Wizja, która trafiała do zwykłych ludzi – *la plebe*.

Przy coraz wyraźniejszej obecności afroamerykańskich utworów na scenie i ekranie jest w nich miejsce nawet dla skrajnej głupoty, stereotypów, seksistowskich stand-upów i konserwatywnych odłamów chrześcijaństwa. Na tym właśnie polega prawdziwa kulturowa równość: że nasi mają prawo być takimi samymi głupcami jak biali. Żadne *indywidualne* dzieło nie reprezentuje *całej* rasy. I w tym jednostkowym

widzeniu można natknąć się na prawdziwą sztukę; w tym jednostkowym widzeniu widz może odnaleźć własną drogę do domu.

Jako urodzona w Stanach, kształcona w języku angielskim Meksykanka, w roli swoich artystycznych przodków obsadzałam zawsze czarnych Amerykanów, bo większość z nich broni się rękami i nogami przed asymilacją (w czym pomagają im codzienne doświadczenia z rasizmem). Dzisiaj, w rezultacie żmudnej pracy na poletku literatury – myślę tu między innymi o Morrison, Baldwinie, Toni Cade Bambarze, Adrienne Kennedy, W.E.B. DuBois, *Autobiografii Malcolma X*, *Trzcinie*, *Meridian*, *Ich oczy oglądały Boga* oraz o Audre Lorde (zawsze o Lorde) – wydaje się, że zbiorowa świadomość, kierowana mądrą ręką historii, częściej niż kiedykolwiek pojawia się na kartkach książek, na scenie i ekranie. Nie wykładam afroamerykańskiej literatury i filmu, lecz je studiuję. I z tej perspektywy uderza mnie, że wizjonerska czarna sztuka – od teatru ulicznego do filmu – rozwija się w ślad za wzrostem popularności ruchu Black Lives Matter i dociera do masowej publiczności,

takiej jak ta, która zebrała się w kinie Bayfair Mall w dniu Bożego Narodzenia.

Mamy renesans wywodzących się z Afryki okruchów wiedzy (z wielością ich amerykańskich multikulturowych form), które zapładniają wyobraźnię czarnych. Pod wpływem pamięci i wyobrażeń rdzennych Amerykanów zmieniają się również teksty i podteksty tradycji latynoskich, zaczynając od najprostszego gestu rozsypywania prochów matki w wodach rodzinnego Puerto Rico (w *Water by the Spoonful*) po rewolucyjne wyzwolenie Królowej Pszczół w *Puto* Ricarda Bracho, gdzie mówi się o walce zbrojnej i kwiatach, które zakwitną w zatrutej kalifornijskiej Central Valley. Opowieści zmieniają się w reakcji na szersze pojmowanie Ameryki i „koloru skóry". Mamy elegancki film *Moonlight* w reżyserii Barry'ego Jenkinsa, gdzie czarni dealerzy mogą być jednocześnie dobrymi ojcami oraz Kubańczykami (owszem, hiszpańskojęzyczni Afroamerykanie należą do diaspory). I gdzie czarny chłopak może, błyskając złotymi zębami, wrócić do domu jako gej i pozwolić, by brat wziął w dłonie jego głowę.

Reasumując: jestem na tyle głupia, by wierzyć, że opowiadanie historii ma jakieś znaczenie; że metafory nas uskrzydlają; że tylko sztuka –

w swoim brutalnym skomplikowaniu, sprzecznościach i zniuansowanym opisywaniu miłości – może nas przekonać, że my, istoty ludzkie, pragniemy w życiu sensu i że to pragnienie nas uszlachetnia.

W tym momencie, przy takiej obfitości tworzonej zwłaszcza przez młodych sztuki (w sieci i poza nią, na YouTubie, w podcastach, WordPressie i wszelkiego rodzaju mediach społecznościowych), w tempie, któremu trudno dotrzymać kroku, jesteśmy świadkami fenomenalnej „demokratyzacji" dostępu, oczywiście jeśli ma się dostęp do narzędzi. Ja jednak jestem na tyle stara i zacofana, by dostrzegać drugie polityczne dno – gdzie spłukani artyści widzą, że mogą być już tylko bardziej spłukani, a urzędy federalne przejmują ludzie pragnący, byśmy popadli w zapomnienie.

Dla ludzi kolorowych – od tych zamkniętych w więzieniu bezsilności i ubóstwa po tych obłaskawionych przywilejami – nasze milczenie jest niczym szlifierka ostrząca amnezję białej

Ameryki. Skoro tak, nasz artystyczny radykalizm powinien polegać na wspólnym i głośnym przebudzeniu oraz rygorystycznej walce z historycznym analfabetyzmem w kwestii wzajemnej kolonizacji i neokolonizacji, a także erupcji sztuki, która stawiała temu opór. Dalsze postrzeganie rasy w Stanach Zjednoczonych wyłącznie przez czarno-białe okulary Ojców Założycieli (to znaczy w kategoriach eksploatacji, uprzedmiotowienia i zniewolenia samych Afroamerykanów) umacnia nieświadomie ludobójcze struktury polityczne, które stały u podstaw niewolnictwa i białej supremacji w tym kraju.

Jako kolorowi artyści musimy odbyć tę rozmowę. Żeby umiejscowić w naszym kolektywnym Uczłowieczaniu Innego tkanki łączne milczenia i zranienia; żeby stać się społeczną i polityczną siłą unii; żeby spopularyzować wśród wszystkich naszych narodów radykalne opowieści o nadziei potrzebnej, by czuć się dobrze w Ameryce. Żeby nie pozycjonować „białości” (nawet jako przeciwnika), w roli arbitra naszego sukcesu, naszej wartości, naszych celów i znaczenia.

Czy mogę być szczera?

Takie rzeczy nie pozwalają tej Chicanie zasnąć w nocy.

Co to znaczy być amerykańską Meksykanką i potomkinią rdzennych ludów, które żyły na tej ziemi, zanim Stany Zjednoczone stały się Stanami Zjednoczonymi, a mimo to, pięćset lat później, być uważaną za imigrantkę?

Jak można się czuć, będąc amerykańską Meksykanką i rozpoznając twarze swojej rodziny prawie w każdym członku personelu myjni samochodowej, ekip sprzątających parki biznesowe, w każdej restauracyjnej kuchni i na zmywaku, w każdym pomocniku kelnera i w co czwartej popychającej wózek albo biegającej z wiadrem pomocy domowej, a potem słysząc, że twoi ziomkowie są nielegalni i drenują gospodarkę?

Nielegalni Meksykanie i mieszkańcy Ameryki Środkowej są dwudziestopierwszowiecznym Murzynem, który ucieka przed Juanem Crowem. Są dziećmi, które oddziela się od rodziców nie na targu niewolników, ale na targu amerykańskich służb imigracyjnych i celnych. Używam takiego języka nie po to, by oceniać, co było gorsze, ale by połączyć jedno z drugim; by pomóc Ci,

Czytelniku, „poczuć” ciężar, niegodziwość, „czarność” tego, co się dzieje.

Pomyśl na przykład, że jesteś osiemdziesięciodwuletnią Portorykanką, feministką i niegdysiejszą członkinią PSP (Portorykańskiej Partii Socjalistycznej) i w 2016 roku widzisz, jak twoja wyspa tonie w morzu kolonialnej rozpaczy i ubóstwa, co jest jedynym powodem tego, że połowa nieheteroseksualnych osób, które zginęły w klubie Pulse w Orlando na Florydzie, to byli Portorykańczycy; ale mainstreamowe i gejowskie media zatuszowały to, określając ich mianem LGBTQ. I nikt nie zapytał nawet o ich wyspę.

No i są jeszcze ci, którzy przechowują pamięć o ludobójstwie w swoim DNA; którzy codziennie są świadkami ludobójstwa na tym wyciętym bez znieczulenia skrawku ziemi zwanym rezerwatem – gdzie to, co się jeszcze ostało, wciąż *stoi niczym skała* w zimowym śniegu naprzeciw toczących pianę pysków buldożerów kupionych przez trumpowskich nafciarzy.

Więc to jest moje „holla” z zachodniej strony kontynentu. Chciałabym, żebyście wiedzieli, że wciąż istnieje Dziki Zachód, América, z bankami pamięci starszymi od Hollywood, Rushmore, Alamo i hiszpańskich misji w Kalifornii;

z bankami pamięci nadal mieszczącymi rzeki wiedzy, od Klamath do Jangcy, które choć nieznane większości, są kluczowym elementem mapy drogowej amerykańskiej rewolucji kulturalnej.

Śmierć… jest jedyną rzeczą, która nas łączy, przypomina nam brat Baldwin.

August Wilson zmarł, dotrzymawszy obietnicy, że będzie pisał po jednej sztuce w każdym dziesięcioleciu dwudziestego wieku. To niezwykłe osiągnięcie. Nie znałam Augusta osobiście, ale spotkałam się z nim raz przed dwudziestu laty, zaledwie kilka godzin po jego inauguracyjnym wykładzie „Na jakim gruncie stoję", wygłoszonym na dorocznej konferencji Theatre Communications Group w McCarter Theatre w Princeton. Podeszłam do niego nieśmiało, będąc pod wielkim wrażeniem elokwencji i odwagi, jaką okazał tamtego dnia. Nie zorientował się, że jestem dramaturżką, jego siostrzaną „wojowniczką na kulturowym polu bitwy" (cytat z jego mowy) białego amerykańskiego teatru. Z całą pewnością na to nie liczyłam. A jednak był tak samo jak ja w połowie biały i być może tak samo zgorzkniały

– wyobrażałam sobie, widząc pełen pasji, prawie gniewny upór, z jakim tworzył. Wszystko to miało dla mnie znaczenie (i ujmowało mnie): jego wrażliwość, być może jego „słabość”.

I oto znów tu jestem, dwadzieścia lat później, z tą krótką opowiastką – teraz w Waszych rękach – o pewnej nieheteroseksualnej Chicanie, która poprzez intymne impulsy naszego wspólnego powołania pragnie odnaleźć brata zrodzonego z innej (kolorowej) matki.

Ale jak powiada Baldwin, to fakt śmierci jest tym, co naprawdę łączy.

Żyć świadomie w obliczu śmierci: to temat, który przewija się między wierszami tego listu i wszystkich takich listów, które gorączkowo do siebie ślemy. Zwracamy się ku tekstom, obrazom, piosenkom i opowieściom innych podobnych do nas (lecz od nas dzielniejszych), którzy pokonali wcześniej te szlaki łez – wziętych w niewolę i uwięzionych, wysiedlonych i zwolnionych, uciekających na łodziach i wyspiarzy, uchodźców i buntowników, dysydentów, wariatów i tych, którzy doznali oświecenia. To są ludzie tworzący sztukę kolorowych, której potrzebujemy tak

samo desperacko, jak desperacko potrzebujemy się nawzajem.

Ostatecznie tym, co daje mi nadzieję (a może raczej wiarę?), jest cel, który dzielimy jako artyści, zwłaszcza ci starsi: że połączymy się w potężne, donośne, kolektywne „my” – tak dobrze obznajmione ze śmiercią, że zrobimy bez cienia lęku wszystko, by zapewnić życie przyszłym pokoleniom.

Paz y Pan
Cherríe Moraga

CHODZI MI O TO

Kate Schatz

Gdyż ci niewinni ludzie nie mają innej nadziei. W rezultacie wpadli w pułapkę historii, której nie rozumieją. Dopóki nie zrozumieją, dopóty nie mogą się od niej uwolnić. Przez wiele lat i z niezliczonych przyczyn musieli wierzyć, że czarny człowiek jest gorszy od białego. Wielu z nich wie więcej, ale – jak się przekonasz – ludziom jest bardzo trudno działać zgodnie z ich wiedzą. Działać – to znaczy angażować się, a angażować się – znaczy narażać się na niebezpieczeństwo. W tym wypadku niebezpieczeństwem dla większości białych Amerykanów jest utrata własnej osobowości. Wyobrazić sobie, jak byś się czuł, gdybyś pewnego ranka obudził

się i zobaczył, że słońce świeci, a wszystkie gwiazdy płoną dalej[9].

Drodzy biali

Tak, piszę do Was. Mam nadzieję, że macie się tak dobrze, jak tylko można się mieć na tym świecie, w tym konkretnym punkciku tysiąclecia.

Czy dziewiątego listopada 2016 roku obudziliście się i poczuliście, jak określił to Baldwin, że gwiazdy płoną? Jak eksplodujące aluzje nuklearne na niezbyt odległym niebie? Otóż moje słońce nie świeciło; miałam wrażenie, że zgasło. Tego ranka obudziłam się i poczułam, że wszystko trafił szlag.

Czy wiecie, o co mi chodzi?

Wielu z Was ogarnia strach, przerażenie, beznadzieja. Macie poczucie, że ponieśliście klęskę, nie zostaliście wysłuchani. Wasza ciężka praca, Wasz głos, wasze opinie – wszystko to zignorowano.

Jeśli było to dla Was nowe uczucie, to gratuluję: żyliście bardzo dobrze.

Gratulacje: to właśnie oznacza bycie białym w Ameryce.

Wiecie, o co mi chodzi?

Pisząc do Was, biali Amerykanie, piszę też do siebie. Kiedy mówię „ja” i „Wy”, tak naprawdę mam na myśli „my”. Ponieważ jestem jedną z Was. Kiedy zaś mówię „biały”, mam na myśli… Cóż, porozmawiajmy.

W tym liście zamierzam zrobić coś, co może Wam się nie spodobać. Zamierzam „mówić o rasie”, bo, widzicie, chodzi właśnie o rasę. To z naszego powodu chodzi o rasę – sprawili to nasi przodkowie, czyniąc z rasy kategorię, system zapewniający kontrolę gospodarczą, polityczną i społeczną. System, z którego codziennie czerpiemy korzyści. Zrobiliśmy z rasy sprawę, dlatego musimy rozmawiać o rasie.

Zamierzam też wygłaszać uogólnienia odnośnie do naszego postępowania jako białych ludzi. W wielu przypadkach pomyślicie: „Ja nie!”. Proszę Was, abyście odpuścili. Na przykład: wybraliśmy Donalda Trumpa. Wiem, że na niego nie głosowałam, wiem, że i Wy na niego nie głosowaliście, ale spójrzmy prawdzie w oczy: wybraliśmy go.

Baldwin pisze: *Urodziłeś się tam, gdzie się urodziłeś, i czekała Cię taka, a nie inna przyszłość, ponieważ byłeś czarny, i jedynie z tego powodu*[10].

W swoim liście do Was piszę: *Urodziliście się tam, gdzie się urodziliście, i czekała Was taka,*

a nie inna przyszłość, ponieważ byliście BIALI, i jedynie z tego powodu.

Urodziliście się w centrum, które określa wszystko i dla wszystkiego stanowi punkt odniesienia. Dostaliście wszystko, lecz powiedziano Wam bardzo niewiele.

– Kim jesteś?

– Gdzie ja jestem?

– Kiedy to się stało?

– Co to znaczy?

– Co masz na myśli?

– Co to znaczy być białym?

Nikt o to nie pyta. Nie wiemy, jak odpowiedzieć, ponieważ tu, w Stanach Zjednoczonych, biel jest wszystkim. Jest powietrzem: niewidzialnym, wszechobecnym, pozwalającym nam przetrwać. Jest też sztuczna: jako biali rodzimy się z maskami tlenowymi na twarzach. Oddychaj, zachowuj się normalnie.

Ja, (biała) jednostka, wytrwały pionier, poszukiwacz wolności religijnej, kolonialista, wędrowiec spod znaku Boskiego Przeznaczenia. Inaczej mówiąc, moi przodkowie, nasi przodkowie.

Biały. Ja, zawsze w centrum, w nawiasie początku i zakładanej przyszłości. Ja, bezpiecznie osłonięty środek. Norma. Założenia: nazajutrz

będę żyć, obudzę się, nie zastrzelą mnie, nie oplują, nie przejadą, nie spiszą, nie zabiją. Ja tego nie zrobiłem – przecież nie żyłem w tamtych czasach – nie jestem rasistą.

Drodzy biali Amerykanie. Łączy nas wszystko i nic. Czy Wasza rodzina przybyła tu z Europy? Moja też. Czy wkraczali do Stanów przez Ellis Island, czy wychowali wiele dzieci, czy ciężko harowali, czy uczyli się angielskiego? Czy szukali lepszego życia? Czy znaleźli to, czego pragnęli? Moja rodzina też. Czy walczyli na wojnach? Czy mieli posiadłości? Czy mieli niewolników?

Tak.

Moja rodzina też.

Rozumiecie, co mam na myśli?

Drodzy biali, jak by to było kochać siebie samych, aby naprawdę móc kochać innych? Jak by to było w pełni uświadomić sobie, że jesteśmy biali, zdać sobie sprawę z naszych przywilejów, grozy, błędów? Dopuścić do siebie możliwość, pozwolić na tę utratę osobowości, o jakiej Baldwin pisał pięćdziesiąt lat temu? Zaakceptować, uznać, a następnie ślubować opór.

Jeśli po prostu poczujemy się paskudnie dlatego, że jesteśmy biali, nic to nie zmieni. Nic też się nie zmieni, jeśli nie będziemy o tym

rozmawiać. Przeciwieństwem białej dumy nie musi być biały wstyd. Nie możemy tego odepchnąć i udawać, że to nie my. Nie jesteśmy daltonistami, kwestia rasy nie należy do przeszłości, nie odrzucamy faktu, że jesteśmy biali, dlatego, że źle się z tym czujemy.

Nie uciekamy od naszego dziedzictwa, wypływając w morze albo skacząc w przepaść w Kalifornii z filiżanką latte w dłoni. Problemu nie rozwiąże jeden Dzień Różnorodności ani naklejka na zderzaku nawołująca do współistnienia. Nie załatwi też sprawy działalność w stylu Rachel Dolezal, ponieważ wiązałoby się to z wykorzystaniem właśnie tych przywilejów, które pragniemy odrzucić. Rozumiecie, co mam na myśli? Właśnie z powodu naszej odwiecznie centralnej pozycji możemy rozważać możliwość podróży na marginesy.

W szkole uczymy się historii białych, ale nawet ona ma charakter ograniczony. Uczymy się o władzy i supremacji białych, o patriarchalnej dominacji. Nie uczymy się o białym oporze, białej solidarności. I nie mówię tu o białych zbawicielach. Nie mówię o Abrahamie Lincolnie.

Drodzy biali, musimy wiedzieć o siostrach Grimké, Lucretii Mott, Julii Ward Howe, Emmie Goldman, Jane Addams, Violi Liuzzo, Jessie Daniel Ames, Adrienne Rich, Minnie Bruce Pratt oraz Polly Spiegel Cowan. Nie szkodzi, że nie słyszeliście tych nazwisk; o tych kobietach nie uczą w szkole. Poczytajmy o nich, poznajmy nazwiska, twarze, opowieści o naszych przodkach płci żeńskiej, kobietach, które nie bały się przeciwstawiać systemowi stworzonemu po to, by przynosić im korzyści, a walcząc o swoje prawa kobiet, dostrzegały to, co umożliwiał im kolor skóry. Poznajmy też historię dobrych mężczyzn. Johna Browna, Williama Lloyda Garrisona, Wendella Phillipsa, Andrew Goodmana, Michaela Henry'ego Schwernera, wielebnego Jamesa Reeba i Richarda Lovinga.

W swojej historii mamy bohaterów, którzy mogą nas niemało nauczyć.

Drodzy dobrzy biali (wiecie, kim jesteście). Wyjawię Wam sekret: nie ma nikogo takiego. Są jedynie biali, którzy starają się postępować dobrze i sprawiedliwie. Jesteście sojusznikami z powodu waszych uczynków, nie dlatego, że się za nich podajecie. Jesteście sojusznikami, kiedy wychwytujecie rasistowskie komentarze, kiedy słuchacie i uczycie się, kiedy solidarnie

współpracujecie z kolorowymi, aby zdemontować rasizm instytucjonalny, kiedy wasze wysiłki i czyny mają wpływ na innych. Nie tylko wtedy, gdy nosicie agrafkę.

Drodzy biali, pobłądzimy, ale nigdy nie wolno nam przestać próbować. To nie lada wyzwanie, ponieważ biali ludzie nie cierpią się mylić. Wychowuje się nas w przekonaniu, że wiemy wszystko, w czym utwierdzają nas książki, moralitety, filmy, lekcje historii.

Ci z nas, którzy pracują na rzecz dobra i sprawiedliwości, będą się starali postępować właściwie, ale z pewnością zawiodą. Użyjemy nieodpowiednich słów, urazimy uczucia, odepchniemy, nastąpimy na odcisk. Robimy to nieustannie. Rzadko zwraca się nam uwagę – ponieważ często nie sposób zapanować nad rezultatami – na naszą obronną postawę, nasze wyparcie. Co się jednak dzieje, kiedy nas krytykują? Kiedy nasze gesty, komentarze, czyny lub intencje spotykają się z krytyką, wywołują przewracanie oczami, puste spojrzenie, łzy, komentarz na Facebooku? Nie możemy uciec, odłączyć się, zrezygnować albo próbować zlekceważyć czyjeś odczucia komentarzem (dobrze to znacie: „Och, czemu ty stale musisz się tak złościć?!”. Dlaczego musimy skupiać się na

kwestiach rasowych, skoro wszyscy jesteśmy JEDNYM!”). Na tym polega kruchość białych. To reakcja obronna, która pojawia się przy najdrobniejszej wzmiance o napięciach rasowych. Kruchość białych kieruje uwagę na stan emocjonalny białej osoby, nie dopuszczając do potencjalnie istotnych rozmów. To reakcja prosto z trzewi, zrodzona z lęku przed tym, że nie będzie się miało racji, że wyjdzie się na rasistę, reakcja blokująca fakt, że, bez względu na okoliczności, czerpiemy przywileje z białej supremacji.

Każdego. Bez. Wyjątku. Dnia.

Dlatego spójrz gównianej prawdzie w oczy. Spójrz w oczy naszej własnej gównianej prawdzie. Słuchaj. Myśl. Otwórz się na perspektywy, z którymi się nie zgadzasz. Otwórz się na opinie na temat bycia białym wyrażane przez ludzi, którzy nie są biali, ponieważ to są prawdziwi eksperci. Drodzy biali, czy posiadacie opinie w kwestii rasy w Ameryce? Świetnie. Dobrze. Utrzymujcie w sobie te opinie, badajcie je, ale pamiętajcie, by konfrontować je z ludźmi, którzy żyją z tym problemem na co dzień. Kolorowi każdego dnia przekonują się o tym, co to znaczy nie być białym w Ameryce, tak jak kobiety codziennie przekonują się, co znaczy nie

być mężczyzną. To oni mogą opowiedzieć o drobnych przejawach agresji, wyzywających spojrzeniach, szeptach w miejscach publicznych, nękaniu, prześladowaniach, a także o sposobach przymykania na to oczu, lekceważeniu, bagatelizowaniu, uciszaniu. Właśnie tych ludzi należy słuchać, od nich się uczyć. Nie musimy zawsze odpowiadać, reagować, wyjaśniać.

Uwaga, biali: możecie się poczuć nieswojo. Niezręcznie. Nawet paskudnie. Wstyd, poczucie winy, bezradność, użalanie się nad sobą – wszystko to są uzasadnione reakcje na wysłuchanie i zobaczenie wpływu ludzi białych na kolorowych. Tak, uzasadnione, a zarazem niewarte funta kłaków, jeżeli tego nie przepracujemy, nie wykroczymy poza swój smutek i poczucie winy i nie podejmiemy sensownych działań.

Co więc leży poza kruchością białych? Poczucie kontaktu? Biała świadomość? Wytrwałość czerpiąca siłę z koalicji, z szerszej społeczności, z solidarności, poczucia sprawiedliwości i autentycznej otwartości na trudne prawdy? Mamy zdolność, by rosnąć, słuchać, naprawdę usłyszeć głosy świata i dobrze wykorzystać własną siłę. Czy potrafimy tego dokonać, biali ludzie? Potrafimy się otrząsnąć,

otrzeć białe łzy i zabrać się do pracy? Uwaga: spoiler! Odpowiedź brzmi: tak. Odpowiedź brzmi: musimy.

Za kilkadziesiąt lat biali ludzie mogą stać się amerykańską mniejszością; tu, w Kalifornii, już do tego doszło. Centrum nie wytrzyma. Nasze centrum, tak starannie utrzymujące nas przy władzy, porównujące innych ludzi do naszego odcienia skóry, naszej fizjonomii, naszej spreparowanej historii, naszych granic najeżonych drutem kolczastym – to centrum rozpada się, w miarę jak ludzie przemieszczają się po świecie (często uciekając przed wojną, przemocą i zdewastowanym środowiskiem naturalnym).

Amerykańskie wybory w 2016 roku są częścią globalnego ataku białej paniki, desperackiego i zabójczego przesunięcia w stronę neonacjonalizmu, gwałtownej ksenofobii, murów i wojen. Zwycięstwo w tych wyborach odniesiono na plecach imigrantów, kobiet, kolorowych obywateli Stanów Zjednoczonych. Zwycięstwo to umożliwił lęk, desperacja, niepokój, ignorancja i apatia białych. Biali ludzie: to my stanowimy problem. Proszę, bądźmy rozwiązaniem.

Opór jest pilnie potrzebny, opór teraz. Ten świat, ten kraj, ta chwila wymagają wytrwałości,

konsekwencji. Wymagają nadziei, miłości, radykalnego poświęcenia dla prawdy i sprawiedliwości. To długa, ciężka przeprawa – spytaj dowolnego starszego działacza, każdego, kto pracował na rzecz praw obywatelskich – jest to jednak praca właściwa i potrzebna. Biali ludzie: my, którzy budzimy się każdego dnia, mamy szczęście, że żyjemy. Jakiego chcemy świata?

Z miłością
Kate

SZANOWNY PANIE ROELL
Boris Fishman

Szanowny Panie Paulu Roell!

Znam Pańskie nazwisko, ponieważ dwunastego listopada 2016 roku, wkrótce po wyborach, pojawiło się na łamach „New York Timesa” w artykule dotyczącym zwolnienia 1400 pracowników z fabryki grzejników i klimatyzatorów Carrier w Indianapolis. (Mimo „dużej zyskowności” Carrier przenosił swoją produkcję do Meksyku, ponieważ tam mógł znaleźć znacznie tańszą siłę roboczą). Artykuł, napisany przez Nelsona D. Schwartza, przyniósł mi promyk nadziei w czasie największej rozpaczy, jaką czułem od 1988 roku, gdy w wieku dziewięciu lat wyemigrowałem z byłego Związku Radzieckiego. Największe wrażenie zrobiło na mnie to, że pracownicy fabryki, którzy

wypowiadali się w artykule, pomimo poczucia ekonomicznego zagrożenia odżegnywali się od rasizmu i bigoterii innych zwolenników Trumpa:

> W ostatnich latach zatrudnienie w fabryce znalazły dziesiątki imigrantów z Birmy… „Czasami z trudem się dogadujemy, ale pracują bardzo ciężko” – powiedział nam pan Maynard (brygadzista, a zarazem entuzjastyczny zwolennik pana Trumpa). – Nie narzekają i jestem zachwycony ich zdyscyplinowaniem w pracy”.
>
> Dzielnice otaczające fabrykę Carriera są znacznie bardziej zróżnicowane etnicznie niż wiele zamożnych dzielnic na przedmieściach Nowego Jorku czy San Francisco, gdzie dominują demokraci… Jeden z pracowników pobliskiej fabryki tworzyw sztucznych, pan Link, zauważył, że w jego sąsiedztwie niedawno zamieszkała latynoska rodzina, i ucieszył się, że czarni i biali mieszkańcy pozostają ze sobą w dobrych relacjach, o jakich nie mogliśmy marzyć kilkadziesiąt lat temu…
>
> Pan Presley, pięćdziesięciodziewięcioletni biały pracownik stalowni z Crawfordsville, który w 2008 roku głosował na pana Obamę, a w 2016 na pana Trumpa, z jeszcze większym naciskiem przekonywał, że uprzedzenia rasowe czy etniczne

nie mają nic wspólnego z jego poparciem dla pana Trumpa. „Dorastałem na zachodzie Indianapolis, w rasistowskim środowisku. Ale w mojej szkole średniej pięćdziesiąt siedem procent uczniów było czarnoskórych, a ja grałem z wieloma z nich w drużynie futbolowej i blisko się przyjaźniliśmy. Nauczyłem się nie być rasistą”.

W artykule przeczytałem także:

Kiedy pan Roell każdego dnia o świcie jedzie do pracy, mija magazyny takich gigantów, jak Walmart czy Kohl’s, na których widnieją szyldy „Poszukiwani pracownicy”. Problem w tym, że zazwyczaj płaci się tam od trzynastu do piętnastu dolarów za godzinę.

„Pewnie mógłbym się zatrudnić na dwa etaty” – żartuje.

Możliwe, że to wcale nie był żart, panie Roell, tylko błędna interpretacja dziennikarza, ale Pański komentarz nieco popsuł mi humor. Piszę te słowa na lotnisku, dokąd o godzinie 6.30 przywiózł mnie taksówkarz. Spytałem go, od jak dawna jest w pracy. Odpowiedział, że od południa poprzedniego dnia. W moim mieście w ten sposób żyje zbyt wielu ludzi: Meksykanie

w lokalnych tanich knajpach, którzy wychodzą z domu przed świtem i wracają po zmroku i przez cały dzień bezustannie się uśmiechają; pomywacz z Haiti, który, również bez wyraźnej niechęci, mył naczynia aż do północy, a potem przez godzinę sprzątał restaurację, w której w zeszłym roku dorabiałem jako pomocnik kucharza; mój własny ojciec, w wieku sześćdziesięciu trzech lat – po niemal trzech dekadach pobytu w Ameryce – wciąż pracujący na dwie zmiany w każdy poniedziałek i niektóre święta.

Ich wysiłek i zdyscyplinowanie w pracy pozwalają ich dzieciom studiować w UPenn albo na Harvardzie – i doskonale ilustrują, co oznacza bycie Amerykaninem – a „elita”, do której ci młodzi ludzie będą należeli, dorastała w znacznie skromniejszych warunkach społeczno-ekonomicznych niż Pan. Wspominam o tym nie po to, by Pana atakować, Panie Roell. Nie spodobały mi się słowa innego pracownika fabryki, który – w odpowiedzi na otrzymaną od firmy Carrier propozycję kilkuletniego szkolenia i wsparcia finansowego w celu przebranżowienia – stwierdził na łamach „Indianapolis Star”: „Pracuję od trzynastu lat i nie mam ochoty zaczynać od początku”. Jestem pisarzem, Panie

Roell – częścią wychwalanej miejskiej elity ze Wschodniego Wybrzeża. Pracuję od piętnastu lat. Coraz mniej ludzi sięga po fikcję literacką, jaką tworzę, więc bez trudu potrafię sobie wyobrazić, że w końcu będę musiał się pożegnać z tym zajęciem – po tylu latach pracy, średnio po sześć, a nawet siedem dni w tygodniu, czasami po dziesięć albo szesnaście godzin dziennie. Czułbym się zaszczycony, gdyby ktoś zaproponował mi szkolenie i utrzymywał mnie przez cały okres jego trwania.

Proszę mnie źle nie zrozumieć – nie byłbym sobą, gdybym nie mógł pisać. Trzeba jednak jakoś zarobić na chleb; nauczył mnie tego mój ojciec imigrant, który zrezygnował ze swojego artystycznego talentu na rzecz stałej pensji. Poza tym oficjalna propozycja przebranżowienia i finansowego wsparcia dodałaby splendoru tej nowej zawodowej drodze. Tymczasem ja jako pisarz muszę każdego dnia walczyć o swoje, bez żadnego wsparcia, za to na każdym kroku spotykając się z odrzuceniem lub wątpliwościami. Mój ojciec to prawdziwa złota rączka. Posiada niesamowite umiejętności, których nie chciał mnie nauczyć; wolał, abym skupił się na nauce, która zagwarantuje mi pracę „w garniturze i pod krawatem”. To dawne dzieje.

Ale niech Pan zgadnie, jakie zdolności najbardziej pragnąłbym zdobyć? Zadowalam się ochotniczą pracą na farmie i wątpliwej jakości majsterkowaniem w domu, ciesząc się choćby chwilowym odpoczynkiem od wysiłku umysłowego i fizycznej niewygody związanych z pracą za biurkiem. Ale chciałbym wiedzieć, jak się składa klimatyzatory. Niepewność rodzi nowe możliwości, Panie Roell – czyż to nie jest jeden z nielicznych amerykańskich pewników? Proszę mi uwierzyć: dobrze wiem, jak smakuje niepewność, bo od dwunastu lat nie mam źródła regularnego dochodu. Ale jeśli ktoś jest gotów zacisnąć zęby i ciężko pracować, ma szansę się przebić, nawet w dzisiejszej zwichrowanej Ameryce, a przy okazji stanie się bardziej wytrzymałym, mądrym i wszechstronnym człowiekiem. To takie niesprawiedliwe, prawda? A jednak moje cechy, z których jestem najbardziej dumny, zrodziły się w starciu z przeciwnościami losu.

Nie przeczę – fakt, że musi Pan pracować na dwie zmiany, aby się utrzymać, jest równie oburzający, jak los pomywacza z Haiti. Wspomniałem jednak o nim, żeby zapytać, dlaczego nie zjednoczył się Pan z ludźmi takimi jak on, tylko postanowił szukać ocalenia

w Donaldzie Trumpie. Gdy widzę, że złożyliśmy nasze nadzieje na łaskę jednego człowieka – z jego groźbami i rynkowymi manipulacjami – zamiast zawierzyć politycznej filozofii ugruntowanej na wspólnym interesie i potrzebach, przypomina mi się mój kraj urodzenia, gdzie jedyną nadzieją dla cierpiącego obywatela jest zwrócenie na siebie uwagi prezydenta podczas telefonicznego forum, co stanowi system równie prymitywny, jak za czasów carskich. To jest wyciąganie ręki po darowiznę, a nie po programową sprawiedliwość. Czy właśnie nie z powodu rozdawnictwa konserwatyści potępiają liberałów?

Proszę uwierzyć, że nie tylko rozumiem, na czym polega urok Donalda Trumpa, ale sam częściowo mu ulegam. Przemawia w zdecydowany sposób w czasach, gdy świat jest pełen rekinów. Jako ktoś, kto przyszedł na świat w totalitarnym ustroju, czasami mam wrażenie, że rozumiem coś, czego wielu moich kolegów liberałów zdaje się nie dostrzegać: na świecie istnieje prawdziwe zło i nie da się z nim negocjować. Czasami groźba eskalacji usprawiedliwia zastosowanie siły i środków zapobiegawczych. Nie jestem pewien, czy nasz

ustępujący prezydent – mimo jego doświadczeń w Indonezji i Kenii, krajach przeżartych korupcją, represjami i autorytaryzmem – którego inteligencję i ducha ogromnie podziwiam, podziela moje zdanie. Lecz mimo wszystko wyeliminował Osamę bin Ladena, zezwolił na szersze wykorzystanie bojowych dronów niż jego poprzednik, nie zamknął więzienia Guantánamo i deportował dwa miliony nielegalnych imigrantów. Wszystko jest tak irytująco złożone i pełne niuansów, Panie Roell. Donald Trump starał się to ukryć podczas kampanii, ale czym innym jest przeciwstawianie się złu, a czym innym demonizowanie i szukanie kozła ofiarnego, by uniknąć odpowiedzialności lub umożliwić prawdziwym złoczyńcom pozostanie w cieniu. Czy naprawdę istnieje przywódca, który jest tak silny, że może zlekceważyć wpływ obcych państw na politykę wewnętrzną? W przypadku Donalda Trumpa nie chodzi o patriotyzm czy pokazanie siły, lecz o nienawiść wobec rywali z własnego podwórka, która skłania do poszukiwania wspólnego zewnętrznego wroga.

Ponieważ wiem, że niektórzy z moich liberalnych kolegów zwracają się do ludzi takich jak Pan z pełnymi szacunku odezwami (wobec

Was także starają się stosować zasady politycznej poprawności), które nieumiejętnie maskują pogardę, irytację oraz niezrozumienie, sam chciałbym tego uniknąć i mówić wprost, co przystoi ludziom dorosłym i, według mnie, dobitniej świadczy o szacunku: Niech Pan się strzeże poczucia władzy, Panie Roell. Niech Pan się strzeże odgrywania roli ofiary. A także wytykania palcami, ponieważ może się to zemścić – konserwatyści od dawna powtarzają, że poczucie władzy i rola ofiary to specjalność lewicy. Dyktatorzy na Bliskim Wschodzie usprawiedliwiają korupcję i doprowadzanie ludzi do ubóstwa, obwiniając o to Izrael. W ten sposób Robert Mugabe trzyma Zimbabwe na kolanach – obwiniając Zachód. Dla Rosjan, którzy pragną tylko pokoju i miłości, winni są Amerykanie. Jeśli Pan wierzy w wyjątkowość Ameryki, Panie Roell, to chyba Pan widzi, że wcale nie jesteśmy tacy wyjątkowi.

Niech Pan się strzeże łatwych odpowiedzi. Każdy potrafi schlebiać nastrojom publicznym, aby ukryć niewygodne prawdy: w naszym przypadku chodzi o fakt, że technologia i automatyzacja w większym stopniu odpowiadają za utratę posad niż globalizacja (może powinniśmy deportować Dolinę

Krzemową?). A zresztą, nawet jeśli globalizacja czasami nam szkodzi, cofnięcie tego procesu oznaczałoby nie tylko przywrócenie do pracy robotników z fabryki Carriera, ale także T-shirty po dwadzieścia pięć dolarów w sklepie odzieżowym. Jedno łączy się z drugim, tak jak nie sposób tanio kupić zdrowego jedzenia. Takie niuanse nie są jednak mile widziane w naszym politycznym dyskursie. Postrzeganie szerszej perspektywy jest niepożądane. Niestety, bez niej pozostają nam tylko kłamstwa.

W artykule o fabryce najbardziej podobało mi się zdjęcie towarzyszące nagłówkowi: dwie pracownice Carriera, biała i czarnoskóra, wspólnie zwolnione z pracy. Partia Republikańska odseparowała białą klasę pracującą od klas pracujących innych ras, wykorzystując słabość, której szczególnie często ulegają osoby zmagające się z analogicznymi trudnościami. Dostrzegam to wśród swoich rodaków – imigrantów z dawnego Związku Radzieckiego – którzy często nie widzą siebie w dzisiejszych uchodźcach, właśnie dlatego, że sami kiedyś byli uchodźcami.

Niech Pan się nie da wykorzystywać, Panie Roell. Powiedzieli Panu: „Nie jesteście tacy jak oni”. Ale to nieprawda – cóż dowodzi tego lepiej

niż praca na dwie zmiany, którą musi Pan brać pod uwagę? Ja również jestem taki jak Pan – z tego samego powodu. Musi Pan wiedzieć, że wcale nie uważam Partii Demokratycznej i liberalnego centrum za zbawienie, nie bardziej niż Partię Republikańską. Nasze zbawienie zależy od tego, czy dostrzeżemy związek pomiędzy nami a władzą, jaką daje polityka, i zrozumiemy, że sami się oszukujemy, przekazując tę władzę człowiekowi takiemu jak Donald Trump (chociaż zgadzam się, że Hillary Clinton nie byłaby w stanie uleczyć naszych bolączek). A więc kogo poprzeć, jak to zrobić i skąd wziąć na to czas? Nie wiem, Panie Roell. Ale chciałbym, abyśmy się spotkali i wspólnie się nad tym zastanowili.

Z wyrazami szacunku, frustracji,
zaciekawienia, złości,
empatii i dobrej woli
Boris Fishman

Załącznik dla moich kolegów i koleżanek liberałów:

W miesiącach poprzedzających wybory zastanawiałem się nad napisaniem artykułu pod

tytułem „Chcecie pokonać Trumpa? Spróbujcie zrozumieć ludzi, którzy go popierają. Cholera, nawet ja częściowo go popieram. Dlaczego?”. Ta perspektywa nie wzbudziła zainteresowania w liberalnych kręgach Manhattanu i Brooklynu – wśród dziennikarzy, pisarzy i tym podobnych – w których się obracam. Mimo kilkumiesięcznych poszukiwań nie zdołałem znaleźć ani jednego nowojorskiego liberała, który widziałby w zwolennikach Trumpa kogoś więcej niż jednorodną masę podludzi i troglodytów. To sprawiło, że zacząłem kwestionować nasz liberalizm, który najwyraźniej wierzy w słuszne wartości tylko wtedy, gdy wyznają je właściwi ludzie. (Brzmi znajomo?) Czy liberalizm wyzuty z ciekawości świata i pełen pogardy nadal jest liberalizmem? W ostatnich latach postępowanie liberałów miewało więcej wspólnego z Donaldem Trumpem niż z Nelsonem Mandelą. Może sondaże z dnia wyborów okazały się zawodne dlatego, że zwolennicy Trumpa wstydzili się przyznać, że na niego głosowali; wtedy bowiem jakiś liberalny bloger okrzyknąłby ich rasistowskimi wieśniakami.

Być może zawiniły cechy osobowości albo polityczne błędy, w każdym razie przewodził nami ktoś, kto nie reagował na pretensje ludzi

takich jak Paul Roell, nie licząc ogólnikowych i nieszczerych frazesów. („Chcę być prezydentem wszystkich”). Nasza kandydatka lekceważyła ich skargi; nie próbowała oddzielić Roellów, Linksów, Maynardów i Presleyów od mizoginów, bigotów i rasistów. Ani razu nie uniosła się słusznym gniewem, ani razu z mocą, ale bez pogardy nie zdemaskowała manipulacji i fałszerstw drugiej strony, nie nazwała ich działań antyamerykańskimi, moralnie złymi i kłamliwymi. A kiedy jedyny agitator w rodzinie Clintonów – Bill – wreszcie powiedział kilka słów prawdy o systemie Obamacare (który jest katastrofą dla samozatrudnionych Amerykanów, takich jak ja), został przez naszą stronę zmieszany z błotem.

Te wybory mogą nas do czegoś zainspirować, moi liberalni przyjaciele. Nie tylko musimy podwoić wysiłki, by stanąć w obronie zapomnianych, niechronionych i nowo zagrożonych, ale także zrobić ostatnią rzecz, na którą mamy ochotę. Zrzućmy wygodne kapcie. Zostawmy Nowy Jork i jego sposób myślenia. Pozbądźmy się naszej pewności, a być może arogancji. Porzućmy media społecznościowe, które ułatwiają protekcjonalność i pogardę, na jakie nigdy nie pozwolilibyśmy sobie

w kontaktach twarzą w twarz. Bądźmy tymi, którzy mają odwagę mieć odmienne zdanie przy rodzinnym stole. Wniknijmy w głąb kraju. Rozmawiajmy z ludźmi, którzy różnią się od nas poglądami politycznymi. (Oczywiście z Paulami Roellami, nie z bigotami). Spróbujmy ich zrozumieć na ich własnych warunkach. Teraz jesteśmy na nich głusi, podobnie jak oni na nas. Wcale nie jestem pewien, kto jako pierwszy przestał słuchać.

KIEDY WY STOICIE

Karen Joy Fowler

Do protestujących w rezerwacie Standing Rock

W wieczór wyborczy coś we mnie umarło, a tym czymś była wiara. Ponad sześćdziesiąt lat w głębi serca wierzyłam, że kiedyś zwyciężymy. I nagle, ósmego listopada 2016 roku, w ciągu kilku godzin przestałam.

Kiedy ogłoszono wyniki, prezydent zapewniał mnie, że wciąż mogę wierzyć w nasze instytucje, które mimo licznych zawieruch dziejowych istnieją od ponad dwustu lat. Zróbmy jednak szybki remanent.

1) Z pewnością nie mógł mieć na myśli samego urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych, który za mojego życia zbyt często piastowali oszuści i przestępcy. Bywa, że urząd kogoś wynosi, częściej jednak ktoś ten urząd

kala. Ma nami rządzić człowiek głupi, niezrównoważony i niekompetentny, chciwy i złośliwy błazen, zakłamany oszust i zapatrzony w siebie samiec. Przyniesie nam wstyd, po którym urząd prezydenta i cały naród nigdy nie dojdą do siebie.

2) A może miał na myśli nasz system prawny? Ostatecznie wciąż nam powtarzają, że jesteśmy narodem prawa.

Sęk w tym, że nie jesteśmy. Nasze struktury prawne są najwyraźniej kruche i niestabilne, ponieważ zawsze uważało się – i to się nie zmieniło – że ściganie bogatych i wpływowych miałoby zbyt destabilizujące skutki. Lepiej udzielić im tylko napomnienia i puścić wolno. Zresztą nawet upomnienie mogłoby ich urazić. Lepiej w ogóle o tym nie wspominać. Kongres zastanawia się właśnie, ilu praw powinien przestrzegać prezydent, skoro już nie raczy przestrzegać wszystkich. Bogaci i wpływowi nigdy nie poniosą sankcji karnych, jakie grożą biednym i tym bez koneksji. Prawo jest dla naiwnych głupków.

A Sąd Najwyższy dla korporacji. Wierzyłam w ten sąd od bardzo dawna, od jednomyślnej decyzji w sprawie Brown przeciwko Krajowej Komisji Edukacji, dlatego utrata wiary bardzo

mnie zabolała. Ale od sędziowskiego zamachu stanu w 2000 roku Sąd Najwyższy regularnie udowadnia, że, tak jak Kongresem, rządzą nim wierni partii ortodoksi. Kongres potwierdził to, bezczelnie pozbawiając Obamę ostatniej możliwości nominowania swojego kandydata na sędziego.

3) Kongres to okrutny żart. Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą.

4) Punkt czwarty dedykuję czwartej władzy. Za mojego życia jej przedstawiciele mieli kilka pięknych chwil. Dowiadujemy się o nich z historii, bo należą już do przeszłości. Od kilkunastu lat pościg za słupkami sondażowymi, niemożność nazwania kłamstwa kłamstwem ze strachu, że uznają cię za stronniczego zwolennika tej czy innej partii, skupianie się na przebiegu kampanii wyborczej, zamiast na problemach, permanentne uchylanie się od informowania zwykłych ludzi, jak ten czy inny manewr polityczny może wpłynąć na ich życie, niechęć i brak środków niezbędnych do długiej, żmudnej pracy w celu odkrycia prawdy sprawiły, że media są dzisiaj jak złośliwy rak. Fox zawsze pozostanie Foxem, ale to, że CNN zatrudnia Coreya Lewandowskiego, który pracował dla Trumpa przed kampanią wyborczą, w jej trakcie

i po wyborach, oraz przyjacielska rozmowa telefoniczna z prezydentem w *Morning Joe* na MSNBC to już dno dna i metr mułu. Dla telewizji najlepsze jest to, co dla kraju jest najgorsze. Usłyszeliśmy te słowa z ust samego szefa CBS Lesliego Moonvesa.

Gazety są, a raczej bywają niewiele lepsze, a w internecie roi się od fałszywych wiadomości. Jest kilku dziennikarzy, którym można ufać, za co Bogu niech będą dzięki. Niestety, nikt ze stojących po jednej czy drugiej stronie barykady nie uważa, że media załatwią coś, czego wymaga od nich demokracja.

5) System dwupartyjny? Działa tylko wtedy, kiedy obie partie wierzą w demokrację. Kiedy któraś zaczyna agresywnie okłamywać elektorat, próbuje pozbawić kogoś praw wyborczych, nieuczciwie dzieli okręgi, demokracja przestaje istnieć. Wybory się odbędą, lecz nie będą już demokratyczne. Spójrzcie tylko na tę smutną, oszalałą Karolinę Północną.

(W porównaniu z tym to może drobnostka, ale dlaczego republikanie tak uparcie używają słowa *democrat* z końcówką *rat*, jak szczur, skoro w nazwie konkurencyjnej partii widnieje słowo *democratic*? Dlatego, by każdą swoją wypowiedzią dać do zrozumienia, że nami

gardzą. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek uznali prezydenta pochodzącego z Partii Demokratycznej bez względu na to, ilu głosowało na niego obywateli).

Tymczasem wydaje się, że jedyną rzeczą, do jakiej są zdolni nasi demokraci, jest eleganckie przegrywanie. To szybkie – tak spontaniczne – przyznanie się do porażki jest wielką zdradą tych, którzy na nich polegali. Tak, demokraci chętnie przyjmą moje pieniądze i poproszą o więcej – codziennie dostaję wiele próśb o wsparcie – ale nie będą za mnie walczyć.

6) Szlak pieniędzy wiedzie prosto do wyborów.

Dzięki Sądowi Najwyższemu, który zdecydował, że konstytucja daje więcej praw bogatym niż biednym, wybory zalewa obecnie rzeka nieujawnionych pieniędzy, co nieuchronnie prowadzi do korupcji. I tak państwo zalegalizowało łapownictwo.

Dzięki Sądowi Najwyższemu Partia Republikańska może bez przeszkód – i na dziesiątki twórczych sposobów – stosować prawa Jima Crowa[11], żeby wykluczyć niewygodnych wyborców. Jej członkowie mogą narzekać do woli na oszustwa wyborcze (tym samym aktywnie podważając wiarę w prawdziwość

wyników końcowych), jednak ich prawdziwe pobudki są aż nadto oczywiste. Czasem republikanie zapominają się tylko do tego przyznać.

Poza tym, choć niechętnie je zadajemy, od czasu do czasu pojawiają się pytania dotyczące prawidłowości liczenia głosów czy też solidności zabezpieczeń maszyn do głosowania.

7) Kiedy uczyłam się w ogólniaku wychowania obywatelskiego, bardzo mocno podkreślano mądrość, z jaką Ojcowie Założyciele skalibrowali równowagę władz. Proces wyborczy został jednak zdegradowany do tego stopnia, że partia mniejszościowa jest w stanie tę równowagę zburzyć i podporządkować sobie wszelką władzę. Chociaż na Hillary Clinton oddano dużo więcej głosów niż na Donalda Trumpa, znaleźliśmy się oto pod zarządem administracji bez równowagi i wzajemnej kontroli między władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą.

8) CIA zawsze była bandą zbirów. Mam spluwę, dojadę[12]. Narażasz na niebezpieczeństwo zyski i korzyści państwa? Dojadę i zabiję.

9) FBI służy tylko FBI i ingeruje w wybory równie otwarcie jak Rosja.

10) sMiejscowa policja została zmilitaryzowana i zbyt często, zamiast chronić obywateli, terroryzuje ich i morduje.

11) Szkoły publiczne są celowo likwidowane pod płaszczykiem prywatyzacji.

12) Biblioteki ledwo się trzymają. (Ale wciąż je uwielbiam).

Tak więc już od lat nie wierzę w nasze instytucje. Orzeł odleciał. Wciąż wierzyłam jednak w przyzwoitość i wielkoduszność większości Amerykanów (oraz innych narodów). Wierzyłam, że ludzie są z natury dobrzy.

Dlatego wierzyłam także w aktywizm. W to, że wspólną pracą można stworzyć świat bardziej sprawiedliwy. Wierzyłam w publiczne świadectwo wiary, w wytrwałość i opór. W długi łuk wartości moralnych naginający świat w stronę sprawiedliwości.

Łatwo mi przyszło, bo dorastałam w epoce ruchów upominających się o prawa człowieka. Nie przestałam w to wierzyć, działając w ruchu antywojennym, ruchu na rzecz praw kobiet, na rzecz osób homoseksualnych, zwierząt, ruchu Okupuj Wall Street i Black Lives Matter.

Przekonałam się również, że czyny mogą mieć niezamierzone konsekwencje. Nasza przegrana w Wietnamie była zalążkiem każdej następnej

amerykańskiej wojny. Ruch kobiet wzmocnił i uzbroił antyaborcjonistów. Ronald Reagan celowo wybrał sobie na przeciwników działaczy studenckich, którzy – odpowiednio oczernieni i skarykaturyzowani – zaprowadzili go prosto do Gabinetu Owalnego. (Istnieje duża różnica zdań co do tego, kiedy zaczął się koniec świata. Ale niektórzy z nas, ci w pewnym wieku, dobrze pamiętają, jak szybko i z jakim triumfem Reagan usunął panele słoneczne z Białego Domu Cartera). Mimo to wciąż wierzyłam, że zmierzamy – co prawda zrywami, lecz zmierzamy – ku sprawiedliwości.

Tak jak wiele innych rzeczy, wiarę tę straciłam ósmego listopada. Obudziłam się dziewiątego rano, i zdałam sobie sprawę, jak szybko można przekreślić coś, na co pracowałam całe życie. Cztery lata prezydentury powinny wystarczyć aż nadto.

Jednym z pierwszych wniosków, jakie wyciągnęłam, było to, że przeceniłam dobroć zwykłych ludzi.

Przekonałam się także, że światem zawsze będą rządzili ci, którym zależy jedynie na pieniądzach. Odkąd tylko pamiętam, my, bojownicy o lepsze jutro, protestowaliśmy przeciwko takim ludziom, jak Dick Cheney,

Donald Rumsfeld i Henry Kissinger. Nie tylko przeciwko takim jak oni – protestowaliśmy przeciwko nim. Ale oni nigdy nie odejdą i zawsze będą mieli większą władzę niż Wy i ja.

Kiedy przeczytałam o Waszych protestach w Standing Rock, które miały powstrzymać budowę ropociągu przez Dakotę Południową i rzekę Missouri, i dowiedziałam się, że rozpędzono Was psami i pałkami, armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, że wśród aresztowanych są dziennikarze i że zdaniem miejscowych władz ranni aktywiści są sami sobie winni, pomyślałam: tak, już to widziałam.

I zobaczę znowu. Wiem, jak to się skończy. Bundy'owie tego świata zostaną uznani za niewinnych. A Snowdenów wsadzi się do więzienia. Państwowa ziemia będzie plądrowana i sprzedawana, podobnie jak szkoły publiczne. Stracimy skarb nie do oszacowania, mordując nosorożce, wieloryby, żaby i pszczoły. Nigdy nie odniesiemy trwałego zwycięstwa, ale kiedy gepardy znikną z powierzchni ziemi, znikną na dobre. Stwierdziłam także, że jestem zmęczona.

Ale Wy nie.

Przeczytałam powyborczy blog naszej wspaniałej Ursuli K. Le Guin, która pisze, że powinniśmy przestać używać wojennych metafor. Przestać myśleć kategoriami wrogów i bitew, ponieważ takie myślenie nas zmienia. Zamiast tego powinniśmy być jak woda. Wodę można „podzielić i zanieczyścić, mimo to woda pozostanie wodą i zawsze będzie płynęła tam, dokąd musi".

Dzięki tej metaforze widzę wiele rzeczy i miejsc. Widzę topniejące lody Arktyki i podnoszący się poziom mórz. Widzę Zatokę Meksykańską i eksplozję na platformie wiertniczej Deepwater Horizon. Widzę zatrutą wodę w kranach we Flint w stanie Michigan, w Corpus Christi w Teksasie i Hoosick Falls w stanie Nowy Jork. Widzę użyte przeciwko wam armatki wodne. Dzięki tej metaforze mogę przenieść się do Was, kochani obrońcy czystej wody!

Pozostał nam jedynie głos i nasze własne ciało. Głos oddaliśmy w ostatnich wyborach. Byliśmy jak nigdy dotąd elokwentni i przekonujący, mimo to ma nami rządzić czarny charakter rodem z komiksów.

Wodna metafora Ursuli K. Le Guin jest bardzo konkretna. Mówi, że powinniśmy wyjść

z internetu i znowu zaistnieć fizycznie w realnym świecie. Że musimy namówić do tego tych, wśród których żyjemy. Jest oczywiste, że w sytuacji, kiedy zwraca się przeciwko nam amerykański rząd i Departament Sprawiedliwości, skupiamy się na sprawach nam bliskich.

Jeszcze raz, a potem raz jeszcze i jeszcze raz musimy „rzucić się między tryby, pod koła, na dźwignie”[13] maszyny. Musimy nauczyć się lub przypomnieć sobie zasady walki bez użycia przemocy, taktyki zarówno nieustępliwej i aktywnej, jak i wymagającej niezwykłej odwagi i najprawdopodobniej poświęcenia. Musimy zrobić wszystko to, co Wy robicie od wielu miesięcy. Być może przyjdzie nam zmienić się w wodę. Ale na pewno musimy być tacy jak Wy.

Byłam ostatnio na spotkaniu z Grace Dillon, wykładowczynią na wydziale studiów nad ludnością rdzenną na uniwersytecie w Portlandzie, Indianką wywodzącą się z plemienia Anishinaabe. „Pięćset lat walki”, powiedziała mi na pożegnanie, a potem objęła mnie i roześmiała się, ponieważ śmiech jest jej siłą i bronią.

Pięćset lat.

Pięćset lat zmagań z tymi, którzy zawsze mieli większą władzę, dla których zawsze liczyły się tylko pieniądze i którzy w końcu zniszczą i siebie samych, i całą Ziemię.

Ale ja też postanowiłam niezłomnie trwać. Biorę przykład z Was, obrońcy czystej wody ze Standing Rock. Zrobiliście dla mnie wiele dobrego, oddaliście mi wielką przysługę. Odnalazłam w Was cząstkę wiary, którą straciłam. Potrzebujecie sojuszników. Nie zamierzam siedzieć, kiedy Wy stoicie.

Rozumiem, że nie odnieśliście zwycięstw, których nie można by Wam odebrać. Sto lat nie wystarczy, by zaleczyć rany zadane Naturze w jeden dzień. Szanse i kalendarz są przeciwko nam. Ale nie jestem tak zmęczona, jak myślałam.

Właśnie za to i za wiele innych rzeczy bardzo
Wam dziękuję
Z głębi serca
Karen

DO KOBIETY STOJĄCEJ W KOLEJCE W SKLEPIE

Elmaz Abinader

Stoisz przede mną bez koszyka na zakupy, przyciskając do piersi dwie dynie, cztery kolby kukurydzy i puszkę owsianki. Jesteś w dżinsach i rozpiętym bordowym swetrze, który podwinął ci się pod zawieszoną na ramieniu torebką. Twoja znajoma opiera się o czerwony sklepowy wózek, trzymając przy twarzy bukiet. Niektóre z kwiatów mają nienaturalne barwy: turkusowoniebieska margerytka i goździk w kolorze mango, takim samym jak jej włosy.

Rozmawiacie po hiszpańsku, powoli i wyraźnie, jakbyś wiedziała, że was słyszę, i potrzebuję czasu, by dostroić słuch do waszego akcentu. W koszyku mam to, co wybrałam na wieczorne przyjęcie: duże filety z łososia, kruche

ekologiczne szparagi i belgijską cykorię, na której liście nałożę kozi ser i suszone na słońcu pomidory. Moja lista jest wyczerpana, plan ułożony; przyjęcie będzie wyglądało dokładnie tak, jak założyłam.

Nie próbuję Cię podsłuchiwać, lecz Twój szept, naglący i cichy, wpada mi w ucho; moją uwagę zwracają słowa *tortura* i *cárcel*. Chcę wiedzieć, czy opowiadasz o sobie, czy o kimś innym. Gdzie było to więzienie? Jakiego rodzaju tortury? W swojej opowieści jesteś oszczędna, unikasz drastycznych szczegółów. Kiedy mówisz, nie zmienia ci się wyraz twarzy.

– *Pasé diez años allí, y luego me soltaron. Mi madre tenía a mis hijos en Buenos Aires; ya no me conocían. Entonces me fui, y vine acá.*

Stoisz nieruchomo, opisując podróż ze swojego kraju do Oakland, po dziesięciu latach spędzonych w więzieniu, po oddaniu swoich dzieci.

Gdybym stała w kolejce trochę dalej albo kręciła się gdzieś po sklepie, byłabyś dla mnie jedną z wielu czterdziestoparoletnich kobiet, które wyszły z pracy w przychodni albo w spółdzielczym banku i kupują coś na obiad. I gdybym zgadywała z daleka, o czym mówisz, pomyślałabym, że o problemach z hydrauliką

albo o sobotniej wizycie u fryzjera. Ale byłam blisko i usłyszałam o tym, jak siedziałaś w więzieniu i jak poddawano Cię torturom, po których zostało Ci sztywne ramię.

Jesteś kobietą stojącą w kolejce, ale jesteś również kimś, kto odprowadza swoje dziecko do szkoły niedaleko mojego domu; możesz być kimś, kto sprząta łazienkę u sąsiadów, prowadzi lekcję śpiewu, tłumaczy dokumenty sądowe albo doradza uczniom studium policealnego. Nie wszystkie siedziałyście w więzieniu – część z was jest uchodźczyniami z krajów, które upadły albo w których życie stało się niebezpieczne. Wiele z was marzy o tym, by mieć więcej niż nic i coś, co mogłybyście posłać do domu. Przekroczyłyście granicę, uciekłyście przed wojną domową, rządzącą partią albo fanatycznym ruchem religijnym. Niektóre z was przyjechały, żeby zdobyć wykształcenie, i nie wróciły do swoich krajów.

Jesteście dla mnie moją *sittu*, która w roku 1916, kiedy w Libanie upadało imperium osmańskie, wcisnęła resztki biżuterii do schowka przy pasku, przeczołgała się przez rosnące na zboczu krzaki, by nikt jej nie zobaczył, i ruszyła

najpierw pod górę, a potem w dół, by wymienić wszystko, co miała, na mąkę, ryż i fasolę. Musiałyście za wszelką cenę nakarmić moją matkę i jej siostrę. Trzymając cały dobytek w zawiniątku na głowie, wędrowałyście z nimi boso, kamienistą ścieżką wiodącą z gór do miasta, by wyruszyć w trwającą dwa lata podróż, która zakończyła się w Pensylwanii.

A pół wieku później wasza wnuczka, moja kuzynka, siedziała po ciemku w schronie atomowym, podczas gdy nad jej głową płonęło miasto. Miała rozszerzone źrenice i słuch stępiony przez wybuchy bomb i wycie pocisków. Jest teraz matką w New Jersey i prowadzi szkolenia dla firmy software'owej. Ona też jest kobietą stojącą w kolejce.

Studentka z mojego kursu pisarskiego, którą codziennie rewidowano na punktach kontrolnych, gdy szła przez swoje miasto, kobieta z tego samego kursu, która przeżyła dwie dyktatury, matka mojego studenta, która uciekła przed Pol Potem, robią kawę, obierają pomarańcze, składają pranie i oglądają telewizję. Filipinka Lola, niegdyś kobieta do towarzystwa w japońskiej armii, kładzie swoją wnuczkę na wyścielanym fotelu w Daly City. Siostra mojej przyjaciółki, która ma w ciele ponad pięćdziesiąt

odłamków szrapnela, jest teraz szefem kuchni i redaktorką naczelną czasopisma.

Wy, kobiety z kolejki w sklepie, przybywacie codziennie – nieśmiało albo z podniesioną głową. Uciekinierki ze świata, który znacie aż nadto boleśnie. Większość nie zdradza swoich historii, kiedy czerpiąc wzory z telewizji, zmieniacie się na zewnątrz w nową osobę i spotykacie inne, podobne do was, dopasowujące się do nowego społeczeństwa. Wypełniając formularze, rejestrując się, podpisując umowy najmu i robiąc prawo jazdy, chowacie głęboko ból po waszych pochowanych dzieciach, zniszczonych domach i utraconej mowie.

Droga kobieto stojąca w kolejce w sklepie

Chcę być wobec Ciebie uważna. Wsłuchać się w Twój szept, domyślić się, dlaczego mówiąc, podnosisz dłoń, wciskasz bluzkę pod spódnicę albo pochylasz głowę. Usłyszeć czułości, które przyklękając, szepczesz razem z dobrymi radami swoim dzieciom. Chcę prześledzić Twoją podróż

nie z chciwości ani ciekawości, ale żeby lepiej Cię poznać i dzięki Twojej historii dowiedzieć się, kim mogłabym być ja sama.

Nie mam dość odwagi, by zrezygnować z własnego życia, z tych, których znam, z tego, co robię i jak żyję. Nie mieści mi się w głowie, że mogłabym mieć mniej albo żeby oddzielono mnie od tych, których kocham. Nie wyobrażam sobie, że płynę łodzią, w której Ty płynęłaś, że macham na pożegnanie babci, płacę człowiekowi za podrobione papiery, błagam urzędnika, by podpisał wizę, zakradam się z dzieckiem na ręce do pociągu, jem innym ludziom z ręki; że mamroczę przy każdym kroku słowa modlitwy.

Próbuję Cię rozpoznać, kiedy chodzisz po tym samym mieście – ścieżką wokół jeziora, leśnymi szlakami, z parkingu na parking, z osiedla na osiedle. Czasami mi się to udaje – po Twoim akcencie, hidżabie lub sari, po tym, jak chodzisz dokładnie dwadzieścia razy wokół domu, w kapeluszu z szerokim rondem, jak z rozczarowaniem wąchasz przyprawy, po bagażach, które za sobą ciągniesz.

Wiele z nas nie nauczyło się, jak to jest, gdy coś się traci. Ale Ty, kobieto stojąca w kolejce, wiesz, że trzymane przez Ciebie dynie mierzą Ci tętno, gdy przechodzisz z jednego do drugiego

świata, nie zdradzając nigdy, w którym miejscu Twoje życie rozpadło się na dwoje. Widzę, że masz wiele do opowiedzenia, i czerpię odwagę z Twojego równego oddechu. Módl się, by cząsteczki nadziei, które Cię tu sprowadziły, unosiły się w powietrzu, byśmy mogli je wdychać i by nasza i wasza podróż okazała się dzięki nim łatwiejsza.

DRODZY Z NOWEGO TYSIĄCLECIA

Aya de León

Drodzy z nowego tysiąclecia!

Właściwie nie kłamaliśmy, ponieważ wtedy w to wierzyliśmy. Kiedy byliście młodzi, mówiliśmy Wam, że trzeba się pilnie uczyć. Zasypywaliśmy Was pracą domową. Kiedy chcieliście spotykać się z przyjaciółmi, zachowywaliśmy się tak, jakbyście wyrzucali do śmieci własną przyszłość. Wszystkiemu przyświecała obietnica, że jeśli ukończycie dobrą uczelnię, będziecie ustawieni na całe życie.

Niektórym z Was mówiliśmy, że nie jesteście materiałem na studentów. Patrzyliśmy, jak niektórzy starają się dostać na studia, ale bez powodzenia. Wzdychaliśmy, sądząc, że tych

odrzuconych nie czeka dobre życie. Bo studia były wrotami do wszystkiego, co przyjemne. „Skupcie się na nauce i nie róbcie debetu na karcie kredytowej. Pożyczki dla studentów? To co innego. Dług zaciągnięty na edukację spłaca się sam”. Właściwie nie kłamaliśmy, ponieważ wtedy w to wierzyliśmy.

Dawniej na studia mogli sobie pozwolić jedynie biali mężczyźni z klasy posiadającej. Kiedy więc innym udało się uzyskać dyplom, trafiali na ścieżkę wiodącą do elity. Rosnącej liczbie ludzi, którzy uzyskiwali dostęp do wyższego wykształcenia, nie towarzyszył jednak wzrost liczby atrakcyjnych, dobrze płatnych miejsc pracy dla ludzi po studiach. Systemu utworzonego po to, by mogli z niego korzystać zamożni młodzi biali mężczyźni, nie da się bez trudu przeobrazić tak, by spełniał podobną funkcję dla kobiet, kolorowych, biednych i przedstawicieli klasy pracującej. Kolorowi idą na studia, gdzie codziennie stykają się z drobnymi przejawami agresji. Dzieci z biednych rodzin i z klasy pracującej idą na studia i słyszą, że są gorsi pod względem intelektualnym. Młode kobiety idą na studia, gdzie są zaczepiane i wykorzystywane seksualnie. Trauma, będąca udziałem wszystkich

tych ludzi na wyższych uczelniach, zdradza korzenie owych placówek akademickich oraz tych, dla których były pierwotnie przeznaczone.

My, starsi, nie potrafimy uwolnić się od tego mitu i dlatego podczas waszych rozpaczliwych poszukiwań pracy, gdy macie w garści dyplom wyższej uczelni, mówimy z uśmiechem: „Próbujcie dalej!”. Mamy nawet czelność obwiniać tych z Was, którzy nie ukończyli studiów i stoją przed jeszcze marniejszymi perspektywami zatrudnienia. „Widzicie? Gdybyście tylko ukończyli studia, moglibyście konkurować z tymi z dyplomami, którzy ubiegają się o to jedno jedyne miejsce pracy pozwalające zarobić na życie”. Obiecywaliśmy, że ciężka praca popłaca. Myśleliśmy, że mówimy prawdę.

Kolejne grube kłamstwo polega na tym, że niby wiemy. Wiemy, co jest dla Was najlepsze. Wiemy, jak powinniście żyć. Co powinniście robić z pieniędzmi. Z całą pewnością wiemy, że powinniście zwolnić tempo waszego życia seksualnego.

Prawda jest taka, że nie wiemy. Prawda jest taka, że się martwimy. Martwimy się o Wasze wybory, ponieważ nasze własne napawają nas niepokojem. Niepokoją nas nasze finanse. Nasze

długi. Nasze zawiedzione aspiracje zawodowe. Nasze życie miłosne i seksualne.

Potem przyszedł czas głosowania. Sądziliśmy, że możemy zmusić Was do powielania naszych wyborów. Wasze oddanie dla wyższych standardów sprawiedliwości społecznej zlekceważyliśmy jako naiwne i nierealistyczne. Jeśli byłyście kobietami, uznaliśmy za haniebne, że nie poparłyście kandydatki. W imieniu wszystkich dorosłych pragnę oświadczyć, że nie mieliśmy prawa tego od Was oczekiwać. Niezależnie od tego, czy się z Wami zgadzamy czy nie, powinniśmy Was respektować, a przede wszystkim nie powinniśmy do Was przychodzić na rozmowę, gdy czegoś chcemy (na przykład Waszych głosów). Powinniśmy więcej słuchać o Waszym życiu, o Waszych pomysłach na zmianę stanu rzeczy. Powinniśmy być szczerzy; nie ograniczać się do opowiadania o naszych sukcesach, ale dzielić z Wami Wasze niepowodzenia i zmagania.

Czas na szczerość. Czy macie pojęcie, jak bardzo napędzacie nam stracha? Otwartość Waszych związków wywołuje u nas ciarki. Poliamoria? Dobry Boże, nie możecie po prostu zdradzać, kręcić, oszukiwać jak normalni ludzie? Wasze sygnały ostrzegawcze działają na nas jak

płachta na byka. Upublicznianie własnej traumy? Fu! Trzymajcie to w sekrecie. Róbcie dobrą minę do złej gry i płaczcie samotnie w łazience, jak i my.

Czas na prawdę. Nas – ludzi starszego pokolenia – trawi straszliwy niepokój i przygnębienie. Jesteśmy otępiali, izolowani. Przywykliśmy do stylu życia, na jaki przystaliśmy. Chociaż Wasze pokolenie nie ma do dyspozycji naszych wyborów, nadal wciskamy Wam te mity jako jedyną opcję. Wasze wyższe aspiracje przerażają nas, ponieważ przypominają nam o wszystkich sytuacjach, kiedy skapitulowaliśmy.

Wiem jedno: nie jesteście przyszłością, jesteście dniem dzisiejszym. Jesteście kluczem, dzięki któremu postępowi biali i kolorowi mogą stworzyć Nową Amerykańską Większość[14], a ona jest w stanie wygrać każde wybory na szczeblu krajowym, pod warunkiem że będziecie głosować.

Dwa dni po wyborach weszłam do sali na uczelni. Wszyscy byli niewiarygodnie przygnębieni. Rozmawialiśmy. Próbowałam być głosem nadziei. Nasi współobywatele doświadczyli już brutalnych czasów. Jako ktoś, kto żył w okresie prezydentury Reagana

i Bushów, mogę zaświadczyć, że przetrwaliśmy prezydencką niekompetencję, małostkowość i korupcję. Gdy wspominam swoich przodków, wiem, że przeżyliśmy ludobójstwo rdzennych Amerykanów i czasy, gdy czarni nie byli w świetle prawa ludźmi. Mimo to ludzie sumienia walczyli, by to zmienić. Nadal walczymy, by usunąć wszelkie pozostałości kulturowe tej spuścizny; działamy w organizacjach, od Standing Rock po Movement for Black Lives. Jeszcze przed Trumpem wiedzieliśmy, na czym polega nasza praca.

Darem jego prezydentury jest klarowność. Rasizm, mizoginia, ksenofobia są żywe i groźne. Trump czegoś nas nauczył. Nie wygrał dzięki tradycyjnej republikańskiej strategii zakłamania. Zwycięstwo dała mu brutalna śmiałość. Nauczymy się jeszcze większej śmiałości w naszym oporze wobec propagowanego przez Trumpa rasizmu, seksizmu, dyskryminacji klasowej, homofobii, fobii wobec transseksualistów, dyskryminacji niepełnosprawnych i ksenofobii. Naszym najśmielszym posunięciem jest stworzenie trwałej koalicji wszystkich tych społeczności, koalicji, która skanalizuje niezgodę obywatelską, tworząc siłę pozwalającą na głęboką i trwałą

zmianę. Taką postępową koalicją kierowaliby ludzie z klasy pracującej, zarówno biali, jak i kolorowi.

Mamy szansę dokonać tego w 2018, 2019 i 2020 roku, ale tak naprawdę mamy szansę dokonywać tego codziennie. Jednym z największych zaskoczeń kampanii Trumpa było łamanie wszelkich zasad i oczekiwań. Musimy więc i my łamać w życiu wszelkie zasady. Może kiedyś spojrzymy na Trumpa jak na budzik, dzięki któremu naród uzmysłowił sobie zagrożenie i skrzyknął się, aby pokonać nie tylko jego, ale wszystko, co sobą reprezentuje. Może spojrzymy na czas Trumpa jak na brutalny okres, który spowodował wiele strat i pochłonął wiele istnień ludzkich na całym świecie. Mimo wszystko wierzę – muszę mieć wiarę – że my, jako naród, przetrwamy i będziemy mogli spojrzeć na naszą przeszłość.

Obecnie w naszym środowisku ludzi postępowych panuje rozpacz. Owszem, mamy do czynienia z zagrożeniami dnia dzisiejszego, ale w każdym z nas dochodzą też do głosu bolesne sprawy z wczesnych okresów życia. Kiedy czuliśmy najsilniejszą bezradność? Kiedy byliśmy przytłoczeni? Pogrążeni w żalu?

Gdy się urodziłam, moi młodzi rodzice byli pod wieloma względami nieprzygotowani. Z dzieciństwa pamiętam, jak ojciec podnosił głos na matkę. Według standardów dorosłych, nie był to ogłuszający krzyk, ale dla dzieci każdy gniewnie podniesiony głos budzi grozę. Po wyborach obudziło się we mnie przerażenie tamtej małej dziewczynki. Odkąd ten gniewny facet uzyskał tak wielką władzę, świat wydaje się miejscem budzącym lęk. Nic dziwnego, że Trump tak na mnie działa. Ten prezydent uosabia archetyp ojca z koszmaru, który ma moc wpływania na nasze życie, na dobre i na złe. Ale nie jestem już małą dziewczynką i wiem coś, czego dawniej nie wiedziałam: rządy tego człowieka dobiegną końca. Z punktu widzenia dziecka krzyk dorosłego wydaje się nie mieć końca. Musimy wykorzystać tę okazję, by wyleczyć te rany dzieciństwa i w pełni się umocnić.

Dwa dni po wyborach na prowadzonych przeze mnie zajęciach wielką siłę dały mi słowa jednej ze studentek. Mówi o sobie, że jest meksykańsko-afrykańskiego pochodzenia, a w dzieciństwie przeżyła silną traumę seksualną. W ciągu całego semestru pisała o tych doświadczeniach z odwagą i klarownością, które

są rezultatem wieloletniej terapii. Mówiąc o Trumpie, ta dziewczyna mówiła też o własnej wytrwałości. Doświadczyła przemocy, która miała ją zabić, zniszczyć jej ducha. Nie tylko przetrwała, ale postanowiła dalej walczyć o życie. Nabrała silnej wiary w siebie. Chociaż wybór Trumpa ją rozwścieczył, była gotowa walczyć o swoich ludzi, ponieważ już przeżyła coś nie do zniesienia.

W nadchodzących latach właśnie z taką klarownością musimy dostrzegać, za jakie sznurki pociągają rządzący. Krzykiem i płaczem musimy uwolnić się od dawnych traum, uwolnić pokłady bezradności i rozpaczy. Aby odzyskać własne życie i wziąć w ręce nasz kraj, musimy czerpać natchnienie od tych, co przeżyli już coś takiego.

Przy każdym niszczącym rozporządzeniu, każdej niebezpiecznej ustawie, która może nas czekać w najbliższym czasie, musimy czerpać z tych zasobów wytrwałości. Jesteśmy częścią ruchu budującego władzę, a nie izolowanymi jednostkami miażdżonymi przez coś większego od nas.

Izolacja jest groźna. Temu prezydentowi nie oprzemy się samotnie. Potrzebujemy się nawzajem, musimy nauczyć się korzystać

z silnych sieci powiązań, nie tylko z kochankami i partnerami, ale także z przyjaciółmi, rodziną i innymi członkami społeczności. Musimy nauczyć się nawiązywania i utrzymywania autentycznego kontaktu, a także trwania przy tych kontaktach, niezależnie od presji. W nadchodzących latach niektórzy z nas mogą stracić pracę, mieszkania, opiekę zdrowotną, zielone karty, miejsca w szkołach. Nasze przetrwanie zależy od tego, czy potrafimy zbudować współzależne społeczności gotowe dzielić się środkami do życia i dbać o swoich członków.

Tak wiele reguł ekonomicznych i społecznych uległo zawieszeniu. Nie ma już bezpiecznej, godnej zaufania drogi kariery. Jeśli więc macie pasję, idźcie za nią, choćby na horyzoncie nie rysowały się perspektywy realnej pracy. Sztuka, pisarstwo, muzyka, teatr, nauczanie, praca z młodzieżą, działalność społeczna i organizacyjna. Jeśli nie macie wyraźnej pasji, jeśli nie odnaleźliście swojej drogi, nie róbcie tego, czego od was oczekują. Regularnie odradzam moim studentom wybór medycyny czy prawa, jeśli nie są przekonani, że pragną zostać lekarzami i prawnikami. To nie są czasy, żeby udawać. Jeśli nie wiecie, poświęćcie czas na to, by

poznać siebie, odkryjcie, co chcielibyście robić. Niezależnie od wyboru kariery, najlepsze, co możecie zrobić dla swojej przyszłości, to zostać politycznie zaangażowanymi obywatelami na wszystkich poziomach: stanowisk wybieralnych, działalności społecznej i działań bezpośrednich. Namawiam studentów do tego, by przestali skupiać się na szukaniu tego, co powinni zrobić z własnym życiem – szkoła, kariera, małżeństwo – i zamiast tego skoncentrowali się na drugiej w kolejności rzeczy, którą chcieliby robić, a także na budowaniu społeczności ludzi, z jakimi chcieliby dzielić życie. Wielu dorosłych znalazło się teraz w trudnej sytuacji, ponieważ postawili na indywidualizm i zaniechali związków międzyludzkich. Niech oni będą dla Was przestrogą.

Dzisiejsza lekcja polega między innymi na tym, że strategie, które spełniały swoje zadanie dla naszego pokolenia, obecnie już go spełniają albo działają inaczej. Pchaliśmy Was na studia, ponieważ dla nas były one korzystne. Ale wyższe studia miały cień, którego się nie spodziewaliśmy. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kobiety i ludzie kolorowi przypuścili szturm na barykady wyższych uczelni. Krytykowaliśmy programy nauczania,

demontowaliśmy panujący na uczelniach eurocentryzm, dominację mężczyzn, hegemonię chrześcijańską i nadmierne poświęcanie uwagi ludziom zamożnym. Ostrzyliśmy narzędzia krytyki na instytucjach władzy, a następnie walczyliśmy o uwzględnienie tych narzędzi w programie nauczania. Wasze wspaniałe i utalentowane pokolenie nauczyło się używać tych narzędzi przeciwko sobie. Na radykalnych kursach uczono dekonstrukcji, nie ucząc przy tym budowania i tworzenia. Mówiliście trudne słowa prawdy ludziom władzy, ale mówiliście je też rówieśnikom. Tym samym narzędzia krytyki powołały do życia kulturę, w której młodzi ludzie obdarzeni sumieniem boją się działać, boją się tworzyć. Boją się, że ujawnią się ich przywileje. Boją się urazić innych.

W społecznościach postępowych podejmowanie działania, sięganie po przywództwo lub tworzenie nowych idei wiąże się z groźbą upokorzenia bądź wykluczenia. Nieświadomie daliśmy wam środki do stworzenia kultury, w której wszyscy czekają z boku, aż kto inny coś powie lub zrobi. Każdy jest krytykiem, niebezpiecznie jest wychodzić przed szereg i zdradzać własne niedociągnięcia. Tak więc, zamiast kultury wspólnego ostrożnego

budowania nowych możliwości, zamiast kultury, gdzie ludzie próbują, ponoszą fiasko, ale cieszą się z prób, nieświadomie stworzyliśmy kulturę, gdzie wielu ludzi paraliżuje strach i nie chcą podejmować działania, dopóki nie staną się doskonali.

Wasza krytyka Hillary była uzasadniona i trafna, ale nie potrafiliśmy umieścić niedoskonałości w odpowiednim kontekście. Bernie obiecywał rewolucję, której jeszcze nie stworzono. Potrzebowaliśmy obietnicy, że stworzymy ją razem. Hillary nie potrzebowała rewolucji, ponieważ jej wizja nie była rewolucyjna. Była jednak możliwa. My, ludzie postępowi, daliśmy Wam narzędzia krytyki tego, co możliwe, na rzecz tego, co doskonałe. Nie widzieliście, że Hillary mogła stworzyć niedoskonałe, lecz lepsze warunki, ponieważ nauczono was czekać z boku na kogoś poza krytyką.

Potrzebowaliśmy rozmowy o stopniowych zmianach. Należało przekonywać do prezydentury Hillary nie jako historycznego celu samego w sobie, ale jako stworzenia warunków, w których moglibyśmy walczyć o wszystko, czego pragniemy. Należało obiecać Wam, że nie zostawimy Was samych w trudnej sytuacji i nie

wrócimy do wygodnego życia pod rządami typowego demokratycznego prezydenta.

Wyznawaliście bardzo wysokie standardy. Wielu z Was osiągnęło dorosłość podczas rządów pierwszego czarnoskórego prezydenta. Obama był cudem. Zrządzeniem losu. Nie mogliśmy go replikować. Próbowaliśmy przekonywać, że tak jak Obama był pierwszym afroamerykańskim prezydentem, Hillary będzie pierwszą kobietą na tym stanowisku. Ale to nie było to samo. Obama był nowym senatorem. Nie musiał iść na kompromisy jak Hillary. Niezależnie od tego, czy winą za jej kompromisy obarczamy seksizm, czy jej osobiste niedociągnięcia, nie mówiliśmy całej prawdy. Nie mogliśmy zreplikować Obamy, ponieważ ten system nie jest skonstruowany tak, by tworzyć Obamów. On był człowiekiem z zewnątrz. Ten system z trudem stworzył nawet Hillary. Po czarnym prezydencie pragnęliśmy prezydenta kobiety. Chcieliśmy surfować na fali zmian, ale wciągnął nas odpływ. Może, kiedy patrzy się na to teraz, bardzo niedoskonała Hillary podobałaby nam się znacznie bardziej niż dzień przed wyborami.

Nie twierdzę, że nie należało posługiwać się narzędziami krytyki. Sugeruję raczej, abyśmy nauczyli się w równym stopniu tworzyć

i krytykować. Sugeruję też, abyśmy nie krytykowali naszych sojuszników równie ostro, jak przeciwników. Powinniśmy też stać się znacznie bardziej selektywni w wyborze przeciwników i znacznie mniej selektywni w myśleniu o potencjalnych sojusznikach. Nasza krytyka ludzi, z którymi wchodzimy w koalicje, powinna zostawiać wolną przestrzeń, w jakiej mogliśmy razem posuwać się naprzód, a nie zostawiać za sobą spaloną ziemię. Moje pokolenie ludzi postępowych przyjęło za motto słowa Audre Lorde: *Narzędzia mojego pana nigdy nie rozbiorą domu mojego pana*[15]. Moja przestroga dla tego pokolenia jest następująca: rozbierając dom pana, musimy zachować ostrożność i nie wnosić tych ostrych narzędzi do własnego domu.

Jestem matką dziewczynki, która chodzi do szkoły podstawowej. Najbardziej żyznymi obszarami uczenia się są dla niej te, gdzie może popełniać błędy i próbować ponownie, bez wstydu i kary. Jako ludzie postępowi musimy dokonać przemiany: z krytyków stojących na uboczu i reagujących na to, co dzieje się w głównym nurcie, musimy stać się siłą gotową sięgnąć po władzę. Osobiście włączam się w ruch dążący do uczynienia z demokratów partii, która

śmielej zajmuje się sprawiedliwością społeczną i klasą pracującą. Istnieje jednak wiele dobrych strategii, które, zastosowane łącznie, mogą zagwarantować powodzenie. Aby zwyciężyć, musimy być gotowi podejmować ryzyko, tworzyć wizje, próbować, ponosić fiasko i próbować ponownie. Musimy stworzyć przestrzeń dla przywódców, gdzie wybaczenie będzie równoważone odpowiedzialnością. Tylko wtedy zdołamy przeobrazić się z ludzi krytykujących władzę w takich, którzy ją sprawują w celu tworzenia sprawiedliwego świata z naszych wizji.

My, starsze pokolenie, nie zbudowaliśmy świata, na jaki zasługujecie. Żałujemy, ale tak się nie stało. Często krytykujemy Was, kiedy inaczej niż my staracie się nawigować w niedoskonałym świecie. Dlatego też, w imieniu dorosłych, którzy wygłaszali Wam wykłady, podczas gdy należało słuchać, dyktowali, gdy należało przed Wami odkrywać, pragnę wyrazić przeprosiny. Robiliśmy co w naszej mocy, ale zasługiwaliście na więcej. Czy potraficie nam wybaczyć? Wiem, że złamaliśmy obietnice. Nie chcieliśmy Was skrzywdzić. Właściwie nie kłamaliśmy, ponieważ, choć brzmi to dziś szaleńczo, wtedy w to wierzyliśmy.

Mam nadzieję, że ta druzgocząca strata na poziomie narodowym wstrząsnęła nami na tyle, by wybić nas z odrętwienia i pokazać, co naprawdę jest ważne. Wy, ludzie urodzeni na początku nowego tysiąclecia, jesteście niewiarygodnie ważnym pokoleniem, z Waszą żarliwością, Waszym głosem, Waszym uporem, z Waszymi wielkimi oczekiwaniami. Potrzebujemy Was. Kochamy was. Potrzebujemy siebie nawzajem.

W mocy i miłości
Aya

Dziękuję błyskotliwym dzieciom nowego tysiąclecia, które pośrednio lub bezpośrednio przyczyniły się do powstania tego artykułu: Thei Matthews, Ninie Goldman, Sashy Gayle-Schneider, Coco Peili, Alicii Raquel i Jessice Byrd.

CZY NIE MA NADZIEI?

Jane Smiley

Drogie pokolenie wyżu demograficznego!

Pod koniec lat sześćdziesiątych znałam wielu marksistów. Zazwyczaj byli młodzi, przystojni i inteligentniejsi od pozostałych studentów (z których wielu zostało przyjętych na uczelnię ze względu na powiązania rodzinne). Pochodzili z klasy średniej bądź robotniczej (wcześniej nie znałam tego określenia) i kiedy dostali się za bramy elitarnych uniwersytetów, zaszokowało ich bogactwo i luksusy, które tam zastali. Dotychczas sądzili, że nasz kraj opiera się na wolności i równości! Rozmowy, które wtedy robiły na mnie największe wrażenie i które pamiętam do dzisiaj, dotyczyły „zaprowadzenia zmian". Jako urodzony liberał i ocalała z zimnej wojny zapalona czytelniczka powieści,

opowiadałam się za stopniową zmianą wyrosłą na gruncie humanistycznych wartości i dobrej woli. Nie uważałam, że „klasa rządząca” jest zła, jedynie nieuświadomiona. Gdyby przedstawiciele władzy lepiej poznali cierpiących ludzi, to z pewnością…

Podnieśliby płacę minimalną? Wtedy pracowałam za minimalne wynagrodzenie i zarabiałam 1,75 dolara na godzinę. Dzisiaj, w stanie, w którym mieszkam, dostałabym o dwa dolary więcej.

Zadbaliby, aby wszyscy mogli głosować? Dlaczego nie? Przecież wierzyli w prawa konstytucyjne.

Usprawniliby państwową edukację? Może wcale nie potrzebowała usprawnienia, skoro moi inteligentni znajomi wykształcili się w państwowych szkołach, a nawet jeśli komuś nie udało się otrzymać stypendium i dostać na dobrą uczelnię, mógł za półdarmo studiować na innowacyjnych uniwersytetach finansowanych dzięki Ustawie Morrilla, takich jak Uniwersytet Stanu Iowa albo niektóre wydziały Cornell.

Poprawiliby relacje międzyrasowe? Przecież dzięki Martinowi Lutherowi Kingowi i Rosie Parks byliśmy na właściwej ścieżce.

Znałam jednego przedstawiciela „klasy rządzącej”, swojego ojczyma. To był święty człowiek.

Moi znajomi co prawda nie mieli broni i nie byli gotowi do obalenia systemu, ale głosili taką potrzebę. Argumentowali, że stopniowe zmiany nie naprawią struktury władzy, a moje metody to forma łapownictwa, która tylko odsunie w czasie nieuniknioną rewolucję. Kiedy przypominałam, że dwie rewolucje, o których słyszeliśmy, w Rosji i Chinach, nie skończyły się dobrze, odpowiadali, że „popełniono błędy”. Nie mówili, w jaki sposób oni zdołaliby ich uniknąć. Mieli po dwadzieścia lat. O niczym nie mieli pojęcia. Podobnie jak ja.

Nie wiedziałam nawet, że sam Marks był po mojej stronie – kiedyś powiedział, że w Stanach Zjednoczonych marksizm może zwyciężyć na drodze wyborów.

Nie wiedziałam także tego, co później wyczytałam w jednej ze swoich ulubionych książek, *The Great Wave* Davida Hacketta Fischera – że chłopi, klasa robotnicza, tłuszcza, plebs czy uciemiężone masy czasami doświadczają krótkich okresów władzy i powodzenia, ale tylko po okresach zarazy, głodu

i wojny, gdy stają się mniej liczne, a zatem cenniejsze.

Wydawało mi się wtedy, że powinniśmy korzystać z wykształcenia, by realizować swoje pasje. Moją była literatura. Podążałam więc za nią, zarówno pieszo, jak i na kartach książek. Czyniłam słusznie, ale jednocześnie widziałam, że ideały, które doprowadziły mnie ze Środkowego Zachodu do skarbnicy pełnej książek, wykładowców i przyjaciół, kolejno upadają. Przypominam osobę ocalałą z trzęsienia ziemi, której udało się uniknąć przewracających się murów i otwierających się rozpadlin.

Wielu ludzi nie ocalało lub tylko z trudem przetrwało gospodarcze i polityczne trzęsienia ziemi ostatnich czterdziestu pięciu lat, a wybierając Donalda Trumpa, z pomocą byłego funkcjonariusza KGB Władimira Putina, podążyli ścieżką, za którą moi koledzy marksiści opowiadali się latem 1969 roku – chcieli obalić system, przekonani, że na jego miejscu pojawi się coś lepszego. Co może pójść nie tak, gdy prowadzą nas emocje?

Donald Trump wie, co jest dla niego ważne – jego własne firmy i bogactwo. Nie jest przywódcą, patriotą ani biurokratą. Jest egocentrycznym błaznem, którym manipulują

otaczający go ludzie, by stworzyć bezwzględny megakapitalistyczny rząd na modłę Ayn Rand, o jakim korporatokracja marzy od 1980 roku. Wszystko, co, jak sądziłam, klasa rządząca (a teraz rzeczywiście mamy z nią do czynienia) zrobi ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości, oni świadomie zaniedbali – nie podnieśli minimalnego wynagrodzenia zgodnie ze wskaźnikiem inflacji, nie zagwarantowali prawa głosu, nie poprawili relacji międzyrasowych, nie zainwestowali w państwową edukację, nie naprawili infrastruktury, nie wyciągnęli ręki do politycznych przeciwników. A co najgorsze, podważyli naukowe podstawy zmian klimatycznych, pomimo znaków ostrzegawczych, które obserwujemy z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc i z roku na rok. Bezczynnie patrzą, jak świat przyrody gaśnie, kolejne zwierzęta dołączają do listy zagrożonych gatunków, rafy koralowe obumierają, meduzy atakują, wygłodniałe niedźwiedzie polarne bezradnie się wałęsają, gleba rozgrzewa się i wysycha, a życie kolejnego pokolenia jest coraz bardziej zagrożone. Korporatokraci są wykształceni, obyci w świecie i majętni. Widząc, jak ignorują wszystko poza bilansem zysków i strat, musimy spytać – na potrzeby analizy – czy powoduje nimi

głównie głupota, nienawiść, egoizm, żądza władzy czy chciwość?

Musimy także zapytać siebie, czy są przedstawicielami prawdziwych Stanów Zjednoczonych Ameryki, które czeka nieunikniona samozagłada, ponieważ ten złoty wiek nie przypomina ostatniego – liczba ludności na świecie wzrosła z 1,7 miliarda w 1900 roku do 7,1 miliarda. Nie można emigrować na niezamieszkane tereny, nie można zacząć od nowa i pozostaje coraz mniej zasobów naturalnych do zagarnięcia. Pod koniec XIX wieku, na początku ostatniej fali poważnych protestów robotniczych, wszyscy zdawali sobie sprawę z zagrożeń związanych z amerykańskim przemysłem: w 1889 roku koleje zatrudniały 704 000 mężczyzn, z których 20 000 zostało rannych, a 1972 straciło życie podczas pracy. Kiedy przytrafiał im się wypadek, musieli radzić sobie sami – nie było odszkodowań ani rent. Brzmi znajomo? Pod koniec dziewiętnastego wieku 2% ludzi w Ameryce posiadało ponad jedną trzecią majątku narodowego, a najbogatsze 10% posiadało około 75% dóbr. Kolejne 50% miało wystarczająco dużo, by nazywać się klasą średnią, a ostatnie 40% nie miało niczego. Obecnie jest jeszcze gorzej. 1% ludzi w USA jest

w posiadaniu 37% całego majątku narodowego, a kolejne 20% dysponuje 87% dóbr. Ludzie po sześćdziesiątym piątym roku życia, którzy nie mieszczą się w tym jednym procencie najbogatszych, uważają ubezpieczenie społeczne za największą część swojego dochodu. Paul Ryan i Donald Trump chcą im odebrać nawet to.

W wyborczą noc o godzinie 1.00, kiedy już spałam, zadzwonił telefon. Wiedziałam, że to mój syn. On i jego znajomi bardzo zmartwili się zwycięstwem Trumpa. Mogłam ich tylko pocieszać, że gdyby wygrała Clinton, zwolennicy Trumpa wyszliby na ulice, uzbrojeni i niebezpieczni. Wciąż uważam, że tak mogło się stać, a chociaż odnotowano już około tysiąca indywidualnych aktów przemocy i prześladowań popełnionych przez zwolenników Trumpa, walka na szczęście nie przeniosła się na ulice. Moje pozostałe dzieci również były zaniepokojone – przybrany syn tak bardzo płakał w drodze do pracy, że musiał zatrzymać samochód na poboczu. Córka w Nowym Jorku powiedziała, że wszyscy u niej w pracy zalewali się łzami. Tylko moja córka, która mieszka w Waszyngtonie, zachowywała nadzieję – uważała, że Trumpem można pokierować, jeśli tylko staną przy nim odpowiedni ludzie. Tak się nie stało. Członków

jego gabinetu można zaliczyć do kilku kategorii – facet-jest-idiotą (Ben Carson), facet-robi-to-tylko-dla-pieniędzy (Steve Mnuchin), rzućmy-ich-psom-na-pożarcie (Betsy DeVos, która z radością cofnie finansowanie wszystkim państwowym szkołom, które wykształciły jej znajomych, takich jak Tillerson czy Perry), zakochani-w-broni-przeciwnicy-aborcji (Scott Pruitt, którego mordy dokonane na nienarodzonych obchodzą bardziej niż zabójstwa narodzonych) – ale właśnie tacy ludzie przy nim stanęli i go kształtują. Podczas gdy on sam będzie pracował nad swoim programem telewizyjnym i siedział w Trump Tower, obserwując ruch samochodów w dole (a także niewątpliwie licząc pieniądze, które wydoi z Nowego Jorku, aby zapłacić za swoje utrzymanie), oni załatwią nas wszystkich, najpierw wpędzając nas w ubóstwo, a potem dopuszczając do zmian klimatycznych.

Byłam chyba w siódmej klasie, gdy powiedziałam matce, że chciałabym przyjść na świat w 1782 i umrzeć w 1860 roku. Oczywiście była zaszokowana, ale spytała mnie o powód. Odparłam, że miałabym długie życie i ominęłyby mnie dwie duże wojny (wojna o niepodległość i wojna secesyjna), ale nie przyznałam, że tak naprawdę panicznie bałam się zimnej wojny

i byłam pewna, że konflikt wybuchnie lada chwila. Gdybym wtedy jej o tym powiedziała, wyśmiałaby mnie. Pod koniec lat sześćdziesiątych miałam już inne zmartwienia i pozbyłam się dawnych trosk. W 1965 roku doszłam do wniosku, że wojna w Wietnamie podziałała jak zawór bezpieczeństwa i nieco złagodziła napięcie między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, dzięki czemu zmalało zagrożenie.

Oczywiście się myliłam. We wstępie do swojej książki *War! What Is It Good For?* historyk Ian Morris wspomina o incydencie, do którego doszło w dniu moich trzydziestych czwartych urodzin, dwudziestego szóstego września 1983 roku. W centrum dowodzenia radzieckiego systemu wczesnego ostrzegania dwukrotnie rozbłysły czerwone światła informujące o wystrzeleniu pocisku i amerykańskim ataku rakietowym na Związek Radziecki. Jeden człowiek, Stanisław Pietrow, mimo paraliżującego strachu (Morris pisze, że ugięły się pod nim nogi), uznał, że alarm został wywołany przez awarię komputera. Nie powiadomił swoich przełożonych, unikając atomowej pomyłki, która według szacunków Morrisa mogłaby kosztować życie miliarda ludzi.

Prezydenta Kennedy’ego otaczali generałowie, dla których zwycięstwo za wszelką cenę (kosztem mojego i Twojego życia) stanowiło coś oczywistego. Jednym z nich był Curtis LeMay. Kolejny, Thomas Power, powiedział: *Zachowajmy umiar! Dlaczego tak wam zależy na ocaleniu ich życia? Chodzi o to, żeby pozabijać drani! Jeśli na koniec wojny pozostanie dwóch Amerykanów i jeden Rosjanin, zwyciężymy!* (Fred Kaplan, *The Wizards of Armageddon*). Power w latach 1957–1964 był szefem Dowództwa Lotnictwa. Wypowiedział te słowa w 1960 roku, gdy byłam najbardziej przerażona. Ian Morris przyznaje, że wojna ma swoje zalety – po licznych konfliktach zbrojnych ludzie ponownie próbują żyć w pokoju (a także zmniejsza się liczba ludności, więc nastają dobre czasy dla klasy robotniczej).

Na czym więc polega nasza radykalna nadzieja? Możemy oczywiście liczyć na ślepy los, jaki ocalił nas przed wojną atomową w 1983 roku – łut szczęścia, który sprawił, że w radzieckim centrum dowodzenia zasiadł odpowiedni człowiek (być może nie byłby jedyny), który nie uwierzył swoim oczom, lecz zaufał intuicji i dokonał właściwego wyboru.

Możemy także mieć nadzieję, że ludzie, którzy pragną władzy i coraz agresywniej o nią zabiegają, uspokoją się, gdy na ich barkach spocznie odpowiedzialność. Czy rzeczywiście, gdy skończy się czas gadania i nadejdzie pora podejmowania wiążących decyzji, wycofają system opieki zdrowotnej wprowadzony przez prezydenta Obamę? Czy Thomas Power naprawdę uważał, że zniszczenie Stanów Zjednoczonych i jego własna śmierć to cena, którą warto zapłacić za zwycięstwo? W otoczeniu Trumpa nie brakuje ludzi obiecujących zlikwidowanie instytucji, na których czele teraz stanęli. Czy się wycofają, gdy zrozumieją, jak to wszystko działa?

Trzecie źródło nadziei może być złudne. Jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha samego Trumpa? Żądza władzy i pozycji, dla których jest gotów zrobić i powiedzieć wszystko. Bywali już tacy przywódcy. Jednak gdy już zdobywali władzę, wciąż było im mało i w końcu posuwali się za daleko, co kończyło się ich upadkiem. Jeden z nich, Mussolini, został zastrzelony i powieszony za nogi na metalowym przęśle nad stacją obsługi pojazdów. Ludzie, których życie zniszczył, rzucali kamieniami w jego trupa. Żądza władzy rzadko bywa zwiastunem sukcesu.

Listopadowi wyborcy mogli wziąć to pod uwagę, ale tego nie zrobili. Zresztą wcale ich nie obwiniam. Nie ma sensu winić ludzi bezsilnych, natomiast warto rozliczać tych, którzy dzierżą władzę, i dlatego uważam, że czwarte źródło naszej nadziei jest najbardziej obiecujące. Musimy bezustannie pytać: „Czy jesteś człowiekiem? Czy masz serce? Czy naprawdę uważasz, że ten naród powinien być w stanie totalnej wojny? Czy naprawdę wierzysz, że wszyscy ludzie są z natury źli? Jeśli nie, to postępuj tak, jakby zależało ci na czymś więcej niż na władzy i bogactwie”.

Kiedy tydzień temu rozmawiałam z córką z Waszyngtonu o nowym gabinecie, wzruszyła ramionami i powiedziała, że to może być koniec pokolenia wyżu demograficznego. Chcecie, aby Trump był waszym ostatnim przedstawicielem? Jeśli nie, to zróbcie coś!

PRZYZWOITOŚĆ I KARMA POD POMARAŃCZOWYM CEZAREM

Luis Alberto Urrea

Północ oszukuje nas, mówiąc, że już świt. Że wściekłość to prawość. Że chciwość jest dobra. Że kobiety to zbywalny towar i surowiec do obróbki, a mniejszości są niegodziwe. Że „tych innych” trzeba wykluczyć, wyrzucić z naszego otoczonego murem ogrodu. Bez cienia ironii próbuje nas przekonać, że ten ogród został już zniszczony, splądrowany i właśnie się pali. Jeśli uwierzymy północy, pomyślimy, że jest już rano, i wyraźnie to zobaczymy. Ale będzie to tylko sen.

Bo co, jeśli nie ma żadnych „innych”?

Jeśli jesteśmy tylko „my”?

Od bardzo dawna czekałem, aż przyjdzie do mnie przywódca, aby mnie poprowadzić – bezpośrednio do mnie. Wojownik, który wskaże mi drogę. Lecz nagle doznałem olśnienia: przecież to ja jestem wojownikiem. Wy też. Wezwano nas, byśmy poprowadzili się wzajemnie przez dolinę śmierci.

Zanim opowiem historię, którą wnoszę do tego kręgu, muszę podzielić się z Wami pewną myślą, która od dawna napawa mnie radością i nadzieją, dlatego z przyjemnością ją Wam przedstawię. Neal Cassady napisał kiedyś do Jacka Kerouaca następujące słowa: *Przyzwoitość wygrywa z karmą*. Przemyślcie to. I dorzućcie drewna do ognia. Muszę Wam coś powiedzieć.

Czasy, w których działał ruch na rzecz przestrzegania praw obywatelskich, był epoką mroczną i pełną nadziei. Nadzieja ta musiała jednak odpierać niekończące się ataki wściekłości i paranoi. Moja rodzina mieszkała w dzielnicy latynoskiej, która znalazła się między walczącymi armiami brązowych i czarnych, a na końcu naszej ulicy grasowały oddziały szturmowe białych. Każda armia walczyła o swój skrawek ziemi.

Mieszkaliśmy na osiedlu, którego nieobecni na miejscu właściciele zaczynali powoli podpadać pod ustęp ósmy ustawy o mieszkalnictwie[16]. Trwała bitwa o prawo do własności naszej ulicy, a w centrum tej bitwy znalazłem się ja, pacan z Tijuany, który wyglądał na Irlandczyka i mówił z silnym meksykańskim akcentem. Niechcący obrażałem wszystkie walczące strony. Każda mogła nadać mi przydomek Chodząca Tarcza Strzelnicza.

Karma była przekleństwem. Nie tylko kulturowa karma tego, co zrobiliśmy Afroamerykanom, ale i karma moich rodziców. Ojciec był białym Meksykaninem, a każdy przedstawiciel La Raza[17] dobrze wie, że *gueros* ze starej szkoły mają wyjątkowy dar nietolerancji. Moja biedna mama, biała Meksykanka, urodziła się w 1916 roku i mogłaby być bohaterką powieści Flannery O'Connor. Koszmarnie bała się widoku czarnych twarzy i zabraniała mi się z „nimi" kolegować. Nosiła małe kapelusiki i białe rękawiczki, nie rozstawała się z elegancką torebeczką i często używała słowa na „cz". Jakby sąsiedzi nie mogli tego usłyszeć.

Opiszę Wam pewien drobny szczegół, który być może rozjaśni nieco obraz środowiska, w jakim się wychowywałem. Szczegół bardzo dla

mnie odkrywczy. Moi rodzice ustawili doniczki na wszystkich stopniach schodów betonowego ganku. Na każdym stał gęsty rząd kolorowych meksykańskich doniczek z pelargoniami. Żeby „tamci na cz” nie zbliżali się do drzwi. Wchodziliśmy i wychodziliśmy z domu kuchennymi drzwiami, unikając schodów. Nawet tablica ze znakiem ostrzegawczym nie mogłaby być wyraźniejszym rasistowskim komentarzem. Wiecie, coś w rodzaju: Precz za mur! Bo w sumie ten mur zbudowaliśmy. Mur z kwiatów.

Późną nocą ktoś, kto miał po prostu dość wojny podjazdowej białych Amerykanów, psów, osobnych poidełek dla białych i kolorowych i węży strażackich, wszedł na ganek i rozbił wszystkie doniczki. Urządził rzeź pelargonii. Nie chcąc zrozumieć szerszego kontekstu tej smutnej historii, rodzice wezwali mnie i oznajmili: „Widzisz, jacy oni są? Oto najlepszy dowód”. Nawet ja wiedziałem, kto w tej farsie zaatakował pierwszy. A oni zbudowali z doniczek nowy mur. Który też miał wkrótce spotkanie z butem.

My. I Oni.

Halloween nie było dla mnie najweselszym świętem. Mama i tata darli koty i zamiast

pogodzić się z tym idiotyzmem *a la gringo*, chodzeniem od drzwi do drzwi i proszeniem o cukierka, ojciec zostawiał nas i szedł grać w kręgle. Mama chowała się i gasiła światło, na wypadek gdyby zapukały do nas „kolorowe" dzieci. Ale osiągnąłem już wiek, kiedy wolno mi było wyjść po zmierzchu na ulicę. Osiem lat!

Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, mama – która miała dwie lewe ręce – postanowiła samodzielnie zrobić dla mnie mój pierwszy kostium. Tragedie mogą być zabawne, zależnie od tego, kto jest ich ofiarą, a ponieważ lubiłem oglądać *Przyjaznego duszka Kacpra*, mama wyszykowała dla mnie kostium ducha. Składał się z białego prześcieradła. I białej poszewki na jasiek z wyciętymi dziurami na oczy. Wyglądałem w nim jak mały Wielki Czarownik z Ku-Klux-Klanu. W tej dzielnicy. W 1963 roku!

Gdy tak ubrany wyszedłem na dwór, musiały się przede mną rozstępować zdumione tłumy.

Tego, czym jest przyzwoitość, dowiedziałem się u progu pierwszych drzwi, przed którymi stanąłem. Czasem nie wie się od razu, że to przyzwoitość. Trochę to trwa. Ale Cassady miał rację.

Zapukałem. Drzwi otworzyły się. W progu stał starszy czarnoskóry pan. Przyjrzał mi się i zdjął

okulary.

– Kim ty właściwie masz być? – spytał.

– Duchem! – odparłem.

Mężczyzna roześmiał się.

– Zaczekaj. – Zamknął drzwi i po chwili wrócił z żoną. I pomarańczą. Którą mi dał.

Gdy już odchodziłem, rzucił:

– Hej, mały! Wiesz, co by było dużo bardziej przerażające? Zdejmij ten kaptur. Duch o przyjaznej twarzy napędzi im stracha, że hej!

Uratował mnie, choć znał nas i naszą reputację, choć byłem chodzącą obelgą dla wszystkiego, co najświętsze na jego ganku. Zdjąłem kaptur i poszedłem dalej. Bo w ogóle nie wiedziałem, co robię.

Nadejdzie czas, kiedy następcy Pomarańczowego Cezara zdadzą sobie sprawę, że ich okłamano. Oszukano. Że są przedmiotem cynicznych drwin. Bardzo ich to zrani. Myślimy, że nas boli, my, Wstrętne Kobiety i Hombres spod Ciemnej Gwiazdy. To znak, że musimy działać. Nie chełpić się ani się nie naśmiewać – to nasze zadanie. Bo oni to my. Nieść pocieszenie – to też będzie naszą misją. W mroku nocy nie wolno nam nie błyszczeć.

Jesteśmy światłem.
Przyzwoitość wygra z karmą.

#FUCKFASCISM
#FUCKTHEPATRIARCHY
Mona Eltahawy

Droga Sally

Spotkałyśmy się dziś wieczorem w Kairze, kiedy wyszłam zrobić zakupy. Zapytałaś, czy mam na imię Mona – poznałaś mnie po rudych włosach. Rozmawiałyśmy tylko przez kilka minut. Obie byłyśmy w towarzystwie. Bliska mi osoba zrobiła nam zdjęcie, które na pewno zachowam, a potem rozstałyśmy się i kontynuowałam zakupy.

Podobnie jak ja jesteś z dwóch krajów – z Egiptu i USA. W dniu, kiedy się spotkałyśmy, myślałam o draniach, którzy w nich wygrywają. W Egipcie wojskowy dyktator zamknął swoich przeciwników, w tym także ludzi w Twoim

wieku, w więzieniach i zabronił demonstracji, by zasiać strach i wymóc posłuszeństwo w kraju, który dwudziestego piątego stycznia 2011 roku powstał, by bronić swojej wolności i godności. Mimo że łamie w bezczelny sposób nasze prawa, jego zachodni sojusznicy nadal nas zdradzają, sprzedając mu broń i usprawiedliwiając to eufemistycznie wymogami „solidarności”.

Kiedy się spotkałyśmy, w Stanach Zjednoczonych nienawiść wygrała, zapewniając tym, którzy ją głosili, władzę i bogactwo.

Bigoteryjny, mizoginiczny rasista już za kilka dni zostanie zaprzysiężony na prezydenta USA; prezenter telewizyjny, który zasłynął z propagowania rasizmu, podpisał właśnie wielomilionowy kontrakt z jedną z sieci TV; a neonazistowskiemu blogerowi dano ćwierćmilionową zaliczkę na książkę.

W dniu, w którym się spotkałyśmy, przez cały czas dręczyło mnie pytanie: Co mamy zrobić, by antyfaszyzm, antyrasizm, antymizoginia i walka z bigoterią urosły w siłę i zaczęły wygrywać? Byłam wściekła. Jestem wściekła, odkąd Donald Trump został wybrany na prezydenta. Wściekłość często napędza mnie w pracy. Pomaga mi znaleźć słowa, których potrzebuję. Jako pisarka przez cały dzień obcuję ze słowami.

Zdaję sobie sprawę z siły słów i gniewu, wiem, że rozgniewane kobiety są wolne – wychowano nas, byśmy jako kobiety były grzeczne i miłe, ale to nie są grzeczne i miłe czasy – i dlatego nie owijam niczego w bawełnę. Dlatego tytuł mojego listu do Ciebie, Sally, brzmi: #FuckFascism i #FuckthePatriarchy. Żyję na Twitterze i te dwa hashtagi stały się moim okrzykiem bitewnym.

Gdybyśmy miały więcej czasu na tej kairskiej ulicy, wyjaśniłabym Ci, w jaki sposób mam zamiar jebać faszyzm i jebać patriarchat. Zamiast tego wróciłam do domu i piszę do Ciebie ten list.

Rozmawiałaś ze mną po arabsku, z silnym angielskim akcentem, i to przypomniało mi mój arabski i własną młodość. To, że możemy jeździć tam i z powrotem, przemieszczając się pomiędzy krajami, kulturami i tożsamościami, jest niesamowitym przywilejem i wzbogaca nas na wiele sposobów, które teraz, w czasach plemienności i nacjonalizmów, są nam potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. To może się jednak okazać również męczące. Odrzucaj żądania, by wybierać którąś ze swoich tożsamości; odrzucaj żądania, by tłumaczyć coś jednej albo drugiej stronie; odrzucaj podejmowane z różnych stron próby, by scalić Cię w coś jednego albo wcisnąć Cię do jednego pudełka.

Powywracaj wszystkie pudełka! Komplikuj i gmatwaj! Jestem wielką fanką komplikacji – bo nas humanizuje – oraz zagmatwania, bo zakłóca sygnały wysyłane przez rasistów i bigotów i tworzy przestrzeń, w której możesz być cudowna w całej swojej wszechstronności.

Kiedy komplikujesz i gmatwasz, jesteś silniejsza.

Kończę w tym roku pięćdziesiąt lat. Ty kończysz siedemnaście. Szkoda, że wchodzisz w dorosłość, kiedy w naszych krajach zaczął się tak trudny politycznie okres. Ale lubię być w ogniu walki i mam nadzieję, że ty też. W historii Egiptu i Stanów mieliśmy kobiety, których słowa są paliwem dla mojej rewolucji. Chcę podzielić się z Tobą niektórymi z nich, w nadziei że znajdziesz w nich użyteczną amunicję. Nauczyłam się prowadzić rewolucję – przeciwko patriarchatowi, faszyzmowi czy bigoterii – wszędzie tam, gdzie jestem. Wożę ze sobą swoją wolę oporu niczym ukochany totem. Słowa tych kobiet sprawiają, że rewolucja – i mój gniew – ani na chwilę nie gasną.

> *Naród nie może być wewnętrznie ani zewnętrznie wyzwolony, jeśli jego kobiety są w kajdanach.*
>
> – Doria Shafik

Jestem przede wszystkim feministką, więc zacznę od Egipcjanki, której działalność była bardzo ważna dla naszych politycznych praw w Egipcie. W lutym 1951 roku tysiąc pięćset kobiet na czele z Dorią Shafik wdarło się do egipskiego parlamentu, domagając się równouprawnienia. Ich akcja była jednym z katalizatorów, dzięki którym w roku 1956 Egipcjanki uzyskały bierne i czynne prawa wyborcze.

Zaczęłam od Shafik, bo chcę Ci przypomnieć, że mamy w Egipcie tradycję feminizmu. Walka o równouprawnienie i wyzwolenie kobiet nie jest ograniczona do jednego narodu albo kultury. Jest globalna. Wszędzie są walczące z patriarchatem kobiety, które mogę z dumą nazwać siostrami i towarzyszkami. W Egipcie, bez względu na to, czy walczę z rządami wojskowych, czy z fundamentalizmem religijnym, feminizm jest moją najlepszą bronią. Wojskowi dyktatorzy i fundamentaliści religijni są dwiema stronami tego samego medalu. Jedni i drudzy są autorytarni i patriarchalni. Jedni i drudzy nie sprzyjają prawom kobiet.

Spotkałam się z Tobą, Sally, na kilka dni przed zaprzysiężeniem prezydenta USA, który przechwala się głośno, że wykorzystywał swoją

popularność, żeby obmacywać kobiety bez ich zgody. Donald Trump wygłaszał także rasistowskie komentarze pod adresem Meksykanów i innych Latynosów, atakował muzułmanów i wyśmiewał się z niepełnosprawnego dziennikarza. Jego wiceprezydent, Mike Pence, jest od dawna znany z homofobii i wrogości wobec praw reprodukcyjnych kobiet. Kiedy szykujemy się do objęcia przez tych dwóch mężczyzn najwyższych urzędów w kraju, feminizm staje się ponownie moją najsilniejszą bronią. Walka o równouprawnienie i wyzwolenie kobiet musi być zawsze skierowana przeciwko rasizmowi, bigoterii, uprzedzeniom klasowym i dyskryminacji niepełnosprawnych. Ponieważ, jak wyjaśniła czarna lesbijska poetka i feministka Audre Lorde, *Nie jestem wolna, gdy jakakolwiek kobieta nie jest wolna, nawet jeśli jej kajdany są bardzo różne od moich*[18].

Słowa Lorde, wygłoszone w 1981 roku na inauguracyjnym wykładzie konferencji Ogólnokrajowego Stowarzyszenia Studiów Kobiecych, przypominają, że interdyscyplinarny feminizm był i jest najbardziej efektywnym narzędziem walki z patriarchatem. Tekst wykładu można znaleźć w jej zbiorze *Siostra*

Outsiderka. Eseje i przemówienia, książce, do której co rok wracam. Odnajduję w niej wiele życiowych lekcji, które są kluczowe w czekających nas zmaganiach.

> *Moje milczenie mnie nie obroniło. Twoje milczenie nie obroni ciebie*[19].
>
> – Audre Lorde

Patriarchat i mizoginia rozkwitają dzięki milczeniu. Naszym zadaniem w nadchodzących miesiącach jest krzyczeć! Musimy wykrzyczeć nasz protest przeciwko niesprawiedliwości! Milczenie sprzyja rasizmowi, mizoginii i bigoterii. Musimy krzyczeć, żeby nikt nie mógł się później tłumaczyć, że „o tym nie wiedział". Jak ujęła to Zora Neale Hurston: *Jeżeli milczysz, kiedy cię boli, zabiją cię i powiedzą, że ci się to podobało*.

Musimy demaskować niesprawiedliwość. Musimy ją wskazywać i piętnować. I musimy pozostać wściekłe, bo wściekłe kobiety są wolne. Pamiętaj: do diabła z byciem grzeczną i miłą. To nie są grzeczne ani miłe czasy. Bądź wściekła. Bądź głośna. I bądź wolna! Poszukaj swoich sióstr wśród innych wściekłych kobiet. Zjednocz

się z nimi. Organizuj się z nimi. Znajdź w nich siłę.

Najtrudniejszą i najważniejszą rewolucją zawsze była i będzie, również w nadchodzących miesiącach, rewolucja własnego „ja”, ta, która dokonuje się w naszych umysłach i sercach.

> *Rewolucję zaczyna się od samego siebie, w sobie… Nie spieszmy się, kształtując nasze rewolucyjne „ja”, nasze rewolucyjne życie i rewolucyjne relacje… Jeżeli w twoim domu nie ma porządku, w twoim wnętrzu też go nie znajdziesz. O wiele łatwiej jest działać tam niż tutaj. Rewolucja nie toczy się tam. Na razie. Ona toczy się tutaj.*
>
> – Toni Cade Bambara

Weź sobie do serca te słowa Cade Bambary z opublikowanego w 1969 eseju *On the Issue of Roles*. Pomagają mi czuć się wszędzie jak w domu, bo wiem dzięki nim, że rewolucja jest we mnie, bez względu na to, gdzie jestem. Rewolucja własnego „ja” jest tym, co pozwoli Ci powywracać pudełka, do których usiłuje Cię wcisnąć tyle osób. Rewolucja własnego „ja” pozwoli Ci odrzucić żądania, byś wybrała jedną ze swoich wielu tożsamości. Ta rewolucja uwolni Twoją wszechstronność. Bądź

interdyscyplinarna. Niech Twoje serce stanie się tak zbuntowane, że patriarchatowi nie uda się do niego wniknąć. Niech Twój umysł stanie się tak wolny, że faszyzm nie zdoła zawładnąć Twoją wyobraźnią.

A przede wszystkim, walcząc z patriarchatem i faszyzmem w Egipcie i Stanach Zjednoczonych, stając się zwalczającą rasizm, mizoginię i bigoterię mobilną transatlantycką rewolucjonistką, zapamiętaj te trzy słowa: opór, determinacja, przetrwanie. To one definiują dla mnie czekającą nas rewolucję. A podstawą tych wartości i podstawą naszej rewolucji musi być: radość!

Te z nas, które są zdolne stawiać opór i walczyć, nie mogą się poddać rozpaczy. To, o co walczymy, musi być lepsze.

Z wyrazami miłości, solidarności
i siostrzeństwa
Mona

LĘK I OPÓR
Jeff Chang

W chwili obecnej jesteśmy ludźmi zdezorientowanymi i wydziedziczonymi.

Bywają dni, kiedy się budzimy i zastanawiamy, czy w jakikolwiek sposób możemy odmienić sytuację. Może raz po raz włączamy piosenkę Solange, gdzie śpiewa: *Bądź nieufny wobec swego miejsca w świecie / Czujesz, jakbyś gonił świat*.

Solange przypomina nam, że „król jest tylko człowiekiem”, chociaż ten człowiek nas poniża i usiłuje ograniczyć naszą wolność. Na myśl o czekającej nas walce czujemy zmęczenie, ale musimy upomnieć się o swoje miejsce w świecie. Kiedy przeciągamy się, by stawić czoło nowemu dniowi, przypominamy sobie, że jesteśmy tu i nie odejdziemy.

W 2008 roku, jako rodząca się nowa większość, wynieśliśmy na urząd prezydencki czarnoskórego człowieka, który głosił nadzieję i pojednanie. Te obietnice nie zostały spełnione, bo zadeptano je w nawrocie wojen kulturowych. Realna polityka za rządów Obamy często odbiegała od wcześniej składanych obietnic i zapewnień o historycznym znaczeniu tej prezydentury. Przyzwyczailiśmy się jednak w tym czasie przynajmniej do godności, rozwagi, do pewnej dozy uczciwości. Dzięki władzy zwykłych ludzi nakłoniliśmy administrację do przełomowych zmian.

Teraz znaleźliśmy się w uścisku Trumpa i jego niepokojących patologii: awersji do prawdy i refleksji; apodyktycznego rozdymania własnego ja; nonszalanckiej zgody na brutalność i przemoc; uporczywego twierdzenia, że nie należymy do przyszłości tego narodu.

Te wybory prezydenckie były potrójnie druzgoczące. Kraj został podzielony najbardziej od czasu wojny secesyjnej. Głos nowej większości – rozumianej zarówno liczebnie, jak i kulturowo – został zlekceważony. Siły reakcji odzyskały nieograniczoną władzę nad narodem. Kiedy Trump zaczął mianować grabieżców, podżegaczy, konspiratorów, segregacjonistów

i innych podpalaczy, z jakich składa się jego gabinet, niektórzy z nas protestowali, mówiąc: „To nie jest normalne”. Prezydentury nie polegają jednak tylko na stylu osobistym. W systemie zbudowanym przez wielu dla garstki, w obliczu ludobójstwa, pracy przymusowej, wykluczenia, mizoginii, imperializmu i segregacji Trump zachowuje się podobnie do innych prezydentów, może tylko z mniejszymi oporami.

Ale wybory te przypominają też o rewolucyjnych korzeniach naszego kraju. Słyszymy rozlegające się przypomnienie moralne: rządy „czerpią władzę ze zgody rządzonych”. Cofamy naszą zgodę i mówimy: „On nie jest naszym prezydentem”. Chociaż przez pewien czas musimy żyć z poczynionymi przez naszych Ojców Założycieli kompromisami, które wypaczają demokrację bezpośrednią, nikt nie oczekuje, że niereprezentatywna mniejszość natchnie nas wiarą. Naszą wiarę czerpiemy z władzy faktycznej większości i przyszłości wciąż czekającej na napisanie.

Trump niewątpliwie reprezentuje restaurację władzy białych. W 2008 roku, pod koniec reżimu Busha II i na początku wielkiej recesji, psychologiczna bańka pękła. Angielska gwiazda

muzyki pop Lily Allen uchwyciła tę transatlantycką chwilę w piosence *The Fear*.

Zachęcana przez przywódców, którzy obiecują wojnę bez winy, a na traumy zalecają terapię konsumpcyjną, postać z piosenki Lily stała się „bronią masowej konsumpcji". Zamiast karabinów maszynowych posługuje się kartami kredytowymi. Pakuje produkty w plastik, a jej życie jest fantastyczne. Ona wygrywa. Jednocześnie wie, że w pewnym momencie przyjdzie rachunek. Dziewczyna pędzi w pustkę.

Nie wiem już, co jest prawdziwe czy realne / Nie wiem już, co mam czuć, śpiewa. *Jak myślisz, kiedy przejrzę na oczy / Kiedy ogarnie mnie lęk?*

Dzisiejsza polityka zajmuje się synchronizacją, podsycaniem i manipulacją lęków, wywołanych przez szybkie tempo życia i technologię. Paul Virilio określa to mianem „administracji lęku", co możemy rozumieć na kilku poziomach. *Obecnie lęk jest środowiskiem, otoczeniem, światem*, twierdzi Virilio. Jest wszechogarniający i sam się powiela. Jeden lęk nasila inny i tak w nieskończoność, pętla za pętlą. Nadzwyczajne wydarzenia *synchronizują emocje w skali globalnej*, powodują *przejście od demokracji opinii do demokracji emocji*.

Trump zawdzięcza zwycięstwo w niemałym stopniu temu, jak kierował lękiem, posługując się telefonem. Ludzie uwięzieni w tym środowisku, niepotrafiący wyobrazić sobie żadnej innej rzeczywistości, musieli nawet najbardziej szalone wpisy Trumpa na Twitterze uznawać za liny ratunkowe. Dzisiaj jest już jasne, że Farage i jego zwolennicy Brexitu dokładnie wiedzieli, co odpowiedzieć nieszczęśliwej bohaterce Lily Allen, gdy pytała, co ma czuć. Lęk jest smarem w trybach demagogii, a demagodzy najlepiej rozumieją to, że wszelkie niepokoje rodzą się z lęku przed Innym.

Niezwykła pozycja Trumpa na styku popu i polityki niezmiernie mu pomogła. Jednym z archetypów amerykańskiej popkultury jest narracja o zbliżającej się białej apokalipsie rasowej. Wiece Trumpa w stylu hair metal oraz wrzaski na Twitterze mają korzenie w spektaklu Billa Cody'ego o Dzikim Zachodzie oraz filmie *Narodziny narodu* D.W. Griffitha z 1915 roku. To opowieści o pokonaniu barbarzyńskich rdzennych mieszkańców i niewolników. Pół wieku po nakręceniu *Narodzin narodu* Richard Nixon nawoływał do zgromienia ruchów praw obywatelskich i antywojennych, posługując się dwoma słowami: „przestępstwo" i „zamieszki".

Najwcześniejsze slogany z kampanii Trumpa głoszą MILCZĄCA WIĘKSZOŚĆ JEST Z TRUMPEM. Mimo to Trump nie mógł poprzeć nawoływania Nixona faktami. Poziom przestępczości był niski, a od czasów wielkiej recesji migracja z Meksyku spadła poniżej zera. Większość głosów elektorskich Trump uzyskał w miejscach położonych daleko od granicy i miejskich zmagań, tam gdzie panuje atmosfera bliżej niesprecyzowanego lęku. Wygrał nie na faktach, ale na emocjach.

Biały niepokój jest zarówno skomplikowany, jak i toksyczny. Składa się z miazmatu emocji, w których rzeczywiste problemy ekonomiczne łączą się z bólem egzystencjalnym, a ich tragiczne efekty można obserwować w rosnących wskaźnikach uzależnień od opiatów i samobójstw. Dochodzi też do głosu poczucie zmniejszającej się populacji białych oraz upadku ich kultury. Obama wywoływał silne, sprzeczne emocje. Sama jego obecność budziła pierwotną wściekłość. Jednak jako uosobienie doskonałości i sukcesu potwierdzał mity amerykańskiej merytokracji. Jednocześnie wzbudzał w białych strach przed porażką, zakorzeniony w typowej dla merytokracji logice sumy stałej, gdzie zysk

społeczności kolorowych oznacza stratę dla białych.

Troski miejskiego maklera zawierającego kontrakty futures różnią się od niepewności cieśli z Appalachów. Trump potrzebował wspólnego mianownika dla nich wszystkich. Gdy zaczął flirtować z gniewnymi outsiderami, którzy wyrośli na popękanym chodniku radykalnej prawicy – birthersami, przekonanymi, że Obama został prezydentem bezprawnie, ponieważ nie urodził się w Stanach Zjednoczonych; działaczami Tea Party (Taxed Enough Already, czyli „partia już wystarczająco opodatkowanych"); białymi nacjonalistami, czytelnikami Breitbart.com – znalazł swój przekaz odbudowy. Oferował swoisty reaganizm, wyprany z humoru, ideologii i sentymentalizmu, głoszony zawsze w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Siła. Mury. Wielkość. Przyczyny niepokoju: czarni, muzułmanie, Meksykanie, kobiety. „Jestem waszym głosem – mówił. – Tylko ja mogę to naprawić".

Nie sposób przecenić moc lęku. Lęk pokonuje fakty, toleruje najniższy mizoginizm, promuje szokującą miernotę i nie boi się ujawnić własnej niemoralności. Michael Flynn, później przez krótki czas pełniący funkcję doradcy do spraw

bezpieczeństwa narodowego, napisał na Twitterze: *Lęk przed muzułmanami jest racjonalny. Proszę, prześlijcie to dalej: prawda nie boi się pytań.* To banalna, a przy tym złowroga podwójna mowa.

Rasizm jest lękiem opisywanym przez Virilio, „zbiorowym szaleństwem" nieznoszącym najbardziej niewinnych pytań. Swoją żywotność zawdzięcza też jednak temu, że przynosi materialne korzyści nielicznym. Trump zastosował rasizm, aby wspierać siebie oraz tę specyficzną podklasę białych mężczyzn, którzy dorobili się na plądrowaniu, wyrzucaniu, wykluczaniu i dziedziczeniu. Każdego dnia swojej prezydentury będzie ujawniał cel swojej kleptokracji: gromadzić tak wiele, jak tylko się da.

Oto więc jesteśmy, prawdziwa większość, (ponownie) uczymy się żyć bez złudzeń. Przede wszystkim oznacza to pokonanie lęku i wyrażenie nowych pragnień nowego narodu i świata.

W gorączkowych dniach swojej pierwszej kampanii prezydenckiej Obama zacytował słowa spopularyzowane przez Alice Walker, ale napisane przez June Jordan: *Jesteśmy tymi, na których czekaliśmy*. Stały się one ulubionym

hasłem ludzi wspierających tę prezydenturę. W tamtym roku siły dążące do przemian dramatycznie stopniały, aż stało się jasne: wszystko albo nic. Kiedy się opłaciło, dysponowaliśmy szokującą skąpą infrastrukturą na wcielenie w życie naszego programu. Powstałą próżnię wypełniła rasistowska reakcja.

W trakcie drugiej kadencji Obamy ruchy na rzecz sprawiedliwości społecznej – od dziesięcioleci dążące do przeobrażenia wyobraźni społeczeństwa i utorowania drogi do zmian – wymusiły na administracji Obamy wiele przełomowych decyzji. Równość małżeństw zawieranych między osobami tej samej płci – czemu Obama przeciwstawiał się jako kandydat – udało się wprowadzić, ponieważ artyści i działacze zmienili wizerunek ludzi spod znaku LGBTQ. Decyzja Obamy, aby pozwolić wyjść z cienia młodym ludziom bez prawa pobytu, uniknąć deportacji i uzyskać pozwolenie na pracę, nastąpiła dopiero po tym, jak artyści popierający prawa imigrantów oraz działacze z ruchu DREAM (rozwoju, pomocy i edukacji nieletnich imigrantów) nagłośnili los rodzin bez prawa pobytu i okryli wstydem administrację, która dopuściła się bezprecedensowej liczby deportacji. Ruch Occupy wprowadził język „99

procent” i zmienił dyskusję na temat nierówności na czas dwóch kolejnych wyborów prezydenckich.

Ruch Black Lives Matter zmienił wszystko. Dzięki niemu uzmysłowiliśmy sobie nierówność na podstawie najbardziej dramatycznej różnicy: oczekiwanej długości życia czarnych i białych. Ruch odświeżył ogólnonarodowe dyskusje na temat prześladowań ze strony policji, militaryzacji, osadzania w więzieniach, ale także ponownej segregacji w szkołach i miejscach zamieszkania, różnorodności w kampusach i równości kulturowej.

Rozumiemy, że klasa jest nierozerwalnie związana z rasą, płcią i orientacją seksualną, ale że siła tkwi w zrozumieniu i podkreślaniu różnorodności. Niestety, tej lekcji najwyraźniej nie odrobili ludzie najnowszej władzy, którzy podają się za postępowych, lecz dostali się w szpony lęku.

W chwili gdy polityka beznadziejnie utknęła w martwym punkcie, ruch Movement for Black Lives zapoczątkował swoiste odrodzenie kulturowe, zachęcając artystów, działaczy i myślicieli do eksplorowania nowych wizji społecznych – metod działania, metafor, procesów zaprowadzania sprawiedliwości oraz

budowania społeczności. Wiemy, że zmiany w kulturze poprzedzają zmiany w polityce. Wiemy też, że zawsze będzie na nas spoczywał obowiązek eksplorowania i wprowadzania nowych wizji, które rodzą w ludziach pragnienie zmian.

W kraju nękanym przez niesprawiedliwość i nierówność brzemię historii zawsze działa na naszą niekorzyść. Wystarczy, że siły reakcji zawłaszczą nasze wizje i język, a utrwalą istniejący stan rzeczy. Tymczasem nasza nieustanna walka powinna polegać na przezwyciężaniu tego *status quo*, co wymaga poruszania, uwodzenia, inspirowania ludzi, by manifestowali idee narodu i świata, który dopiero ma nadejść, aby, jak to ujął Toni Cade Bambara, pokusa rewolucji stała się nieodparta.

W minionych latach, manifestując nasze marzenia o wolności w formie żądań dotyczących spraw materialnych, zbudowaliśmy infrastrukturę, która czyni nas lepiej przygotowanymi, niż możemy sądzić. Żyjemy w czasach różniących się od innych okresów, jakie następowały po wyborach prezydenckich: ruchy społeczne są aktywne, w stanie gotowości. Prezydentura Trumpa zmobilizuje opozycję, podobnie jak symbol Obamy skonsolidował

odłamy prawicowe. Jednakże tam, gdzie one głosiły nienawiść i nieufność, my witamy ludzi gotowych podjąć pracę. Tam gdzie oni zamykali drzwi na klucz, my otworzymy je na oścież. Nasza pierwsza osoba jest zawsze w liczbie mnogiej.

Jesteśmy możliwą koalicją ludzi dobrej woli: feministek walczących o prawo do aborcji, rdzennych mieszkańców chroniących zasoby wodne, działaczy na rzecz ochrony środowiska przywiązujących wielką wagę do porozumień w sprawie zmian klimatycznych, muzułmanów walczących o prawa obywatelskie, Afroamerykanów sprzeciwiających się prześladowaniom ze strony policji i masowemu zamykaniu w więzieniach, Latynosów i Amerykanów pochodzenia azjatyckiego domagających się reform w prawie imigracyjnym, wszystkich nas, którzy sprzeciwiamy się niepokojom ekonomicznym, reakcyjnemu sądownictwu i kleptokracji w zarządzaniu, wszystkich nas domagających się wolności dla każdego.

Stawiając czoło nowemu dniowi, musimy sobie przypomnieć: Nie jesteśmy sami. Nie stanowimy marginesu. Jesteśmy większością. Jesteśmy gotowi. I nie będziemy milczeli.

Nasiona

LIST DO MOJEJ CÓRKI
Claire Messud

Kochana Livio

Kiedy miałaś siedem tygodni, zabraliśmy Cię na ślub znajomych do Nowego Jorku. Ubraliśmy Cię w haftowaną białą lnianą sukieneczkę, którą ja także nosiłam jako niemowlę, uczesaliśmy te kilka włosków, które miałaś na głowie, usadziliśmy Cię w foteliku samochodowym i wyruszyliśmy z zachodniego Massachusetts. Nie licząc uroczej panny młodej, byłaś królową balu – panie, które nie mogły się doczekać, kiedy zostaną babciami, przekazywały sobie Ciebie z rąk do rąk; huśtały Cię, tuliły, łaskotały pod brodą, czule przy tym gruchając. Tata ukradkowo Cię przewinął w bibliotece eleganckiego prywatnego klubu. Jedna z gwiazd telewizji pochwaliła dołeczki na Twoich

policzkach. Byłaś zachwycona i ani razu nie zapłakałaś.

Dwa dni później, niecałe dwadzieścia cztery godziny po naszym powrocie do domu, terroryści z Al-Kaidy porwali samoloty pasażerskie i rozbili je na polu w Pensylwanii, na budynku Pentagonu oraz wieżach World Trade Center, zabijając tysiące ludzi. W ciągu kilku godzin świat, na którym niedawno się pojawiłaś, zmienił się nieodwracalnie. W ten sposób rozpoczął się Czas Strachu, trwający niemal dekadę okres, podczas którego działania i reakcje naszego narodu były nieustannie podszyte przerażeniem i niepewnością. Wznieciliśmy wojny z fałszywych pobudek i beztrosko pozbyliśmy się zasad moralnych, przymykając oko na wątpliwe metody postępowania, a nawet tortury. Za sprawą arogancji i ignorancji, niewłaściwego wojskowego przygotowania oraz błędnych strategii skazaliśmy niezliczonych młodych mężczyzn i kobiety, na polu bitwy i poza nim, na śmierć bądź poważne obrażenia, bezpowrotnie niszcząc im życie. Sojuszników traktowaliśmy z buńczuczną obojętnością (pamiętasz Kirka Johnsona, przyjaciela taty z Berlina, który założył fundację List Project i ciężko pracował, by pomóc Irakijczykom opuszczonym przez amerykański

rząd, dla którego pracowali?). Przez te lata zniechęciliśmy do siebie całe pokolenie młodych ludzi na Bliskim Wschodzie. Kiedy w 2007 roku na zaproszenie Departamentu Stanu odwiedziłam Turcję jako przedstawicielka świata kultury, dowiedziałam się, że za czasów prezydentury Billa Clintona Stany Zjednoczone cieszyły się w tym kraju siedemdziesięciopięcioprocentowym poparciem. Pod koniec kadencji George'a W. Busha to poparcie spadło do dziewięciu procent. Zważywszy, że połowa mieszkańców Turcji nie skończyła dwudziestego piątego roku życia, większość młodych Turków nigdy nie myślała dobrze o naszej ojczyźnie.

W 2008 roku Barack Obama startował w wyborach pod hasłem *Yes We Can* – Tak, możemy – pod sztandarami Nadziei. Miałaś wtedy siedem lat, już coś rozumiałaś, a zarówno w naszym domu, jak i w całym kraju panowała niemal namacalna atmosfera optymizmu. Twoja przyjaciółka Annie wolała Hillary, nawet przebrała się za nią podczas Halloween. Ty lubiłaś oboje, Hillary i Obamę, więc było Ci wszystko jedno, które z nich wygra. Chociaż wciąż byłaś mała, śmieszyły Cię żarty z Sarah

Palin – pewnie nie rozumiałaś, że były zabawne tylko dlatego, że nie została wybrana.

Wierzyliśmy, że możemy, jako naród, wspólnie przezwyciężyć strach. Wierzyliśmy w przewagę pokojowego dialogu nad konfliktem, w otwartość i tolerancję zamiast podziałów i nienawiści. Wierzyliśmy w postęp zamiast powrotu do przeszłości. Podczas ostatnich ośmiu lat nie brakowało problemów i ograniczeń. Jednak darem dla Ciebie – i dla nas, którzy Cię wychowywaliśmy – była możliwość dorastania w kulturze politycznej popierającej równouprawnienie, godność człowieka i wzajemny szacunek, stawiającej na globalną współpracę w tak ważnych kwestiach, jak zmiany klimatyczne czy pokój na świecie.

Córeczko, właśnie zbliżają się Twoje szesnaste urodziny. W tym roku bardzo emocjonowałaś się wyborami: najpierw Berniem Sandersem, a potem Hillary Clinton. Niefortunna kandydatura człowieka, który ostatecznie został naszym prezydentem, wzbudzała w Tobie silne emocje: jego wizja Ameryki, diametralnie różna od Twojej, oraz potencjalne skutki jego polityki – zgubne dla prawdy, faktów, praworządności, ludzkiej godności, kobiet, mniejszości, środowiska, robotników, światowego pokoju.

A więc znów wracamy do pozycji obronnej, do Czasu Strachu, jakiego zaznaliśmy, gdy byłaś małą dziewczynką. Nie chodzi o to, że sobie nie poradzimy – oczywiście, że damy radę. *Postępowe idee są słuszne, a „The Guardian" nigdy się od nich nie odwróci*, napisała dziewiątego listopada Katharine Viner, redaktorka naczelna tej gazety. My też nie powinniśmy. Wiem, że Ty tego nie zrobisz. Ale jest mi przykro, że w tak młodym wieku zostałaś rzucona na pole bitwy; wolałabym, żebyś jeszcze przez kilka lat dorastała w atmosferze względnie niezakłóconego optymizmu. Wiem, że jesteś gotowa. Wiem, że Tobie i Twoim rówieśnikom nie brakuje wiary, cierpliwości i hartu ducha, które teraz będą Wam potrzebne.

Pamiętaj, że ten człowiek nie jest przyczyną problemów naszego społeczeństwa; jest jedynie ich objawem. Jeśli stawimy czoło tym bolączkom, możemy go pokonać. Jest ucieleśnieniem naszych niedostatków, a jego zwycięstwo to wynik rozmaitych problemów, z którymi nie poradziliśmy sobie jako naród. Całkowity brak marksistowskiej – czy nawet socjalistycznej – alternatywy spowodował, że Amerykanie dali się zniewolić mamonie. (Bernie Sanders i jego zwolennicy są wyrazem narodowego oburzenia

taką sytuacją). Nasz Naczelny Demagog, przypominający kiepskiego statystę z agencji castingowej, uważa, że bogactwo uprawnia go do zajęcia najwyższego stanowiska w kraju, a wielu wyborców najwyraźniej podziela jego zdanie, zapominając, że biznesowa biegłość nie gwarantuje bycia mężem stanu. Nasze wzorce moralne uległy poważnemu zwichrowaniu: jeszcze w 2009 roku, gdy nastał kryzys finansowy, słyszałam, jak jeden z komentatorów w państwowym radiu tłumaczył, że prawa jednostki zostały zapisane w konstytucji właśnie dlatego, że wcześniej uznawano je jedynie za dodatek. Ojcom Założycielom nigdy nie przyszłoby do głowy, że prawa jednostki mogą zagrozić dobru wspólnemu, a jednak – lamentował komentator – w 2009 roku właśnie tak się stało. Po aferze oszczędnościowo-kredytowej w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku postawiono zarzuty 1100 osobom; kryzys z 2008 roku doprowadził do skazania tylko jednego bankowca. To był skutek zmian obyczajowych, jakie dokonały się na przestrzeni ponad dwudziestu lat: Amerykanie, owładnięci żądzą zysku, już nie postrzegają wspólnego dobra jako najwyższej wartości. Doszło do tego, że elekt, którego nazwiska nie

będziemy przywoływać, podczas publicznej debaty argumentował, iż nie płaci podatków – co stanowiłoby ujmę na honorze dla dawnych milionerów – ponieważ w sprytny sposób wykorzystuje lukę prawną. Innymi słowy, jego skupienie na własnym bogactwie spotkało się z publicznym podziwem, a nie potępieniem. Zapewniło mu zwycięstwo.

Winić należy także media społecznościowe oraz powiązany z nimi – choć starszy – kult celebrytów. Ostatnio wiele mówimy o fałszywych wiadomościach, i słusznie, jednak ten węzeł gordyjski ma wiele splotów. Jesteśmy coraz bardziej zespoleni z naszymi urządzeniami mobilnymi, żyjemy chwilą, zalewani informacyjnym zgiełkiem, tak że nie jesteśmy w stanie odróżnić istotnych faktów od błahostek, prawdy od absurdu. Kiedyś wiedzieliśmy, że „National Enquirer" to nie to samo co „The New York Times"; w obliczu internetowego debiutu „Daily Mail" te podziały się zatarły. Kolejnym problemem jest nasze świadome zdziecinnienie, jeśli chodzi o kulturę: stale szukamy rozrywek i prostoty, a dostarczyciele informacji (i tak zwanych „newsów") chętnie zaspokajają nasze potrzeby. Językowo, analitycznie, pojęciowo – stajemy się coraz bardziej rozleniwieni,

a złożony ze stu czterdziestu znaków tweet wkrótce będzie stanowił limit naszej zdolności koncentracji. Ty i Twoi rówieśnicy będziecie musieli wziąć odpowiedzialność za ten świat zidiocenia, który moje pokolenie złożyło na wasze barki, i wymagać od siebie głębszego zaangażowania w złożoność świata. Niektórych prawd nie da się uprościć. Ważne kwestie domagają się wysiłku oraz cierpliwości; często bywają nużące i żmudne. Życie to nie bajka ani gra komputerowa.

Nie możemy zapomnieć także o skłonności naszego społeczeństwa do tworzenia mitów, okłamywania samych siebie w celu tłumienia buntowniczych nastrojów. Ta-Nehisi Coates ostatnio zauważył, że Amerykański Sen dla wielu (zwłaszcza przedstawicieli mniejszości) pozostaje fałszywą obietnicą. Pamiętasz tamtego otyłego, schorowanego, podstarzałego taksówkarza, który o świcie wiózł nas na lotnisko? Obsesyjnie utyskiwał na system Obamacare, tłumacząc, że kiedy już zostanie milionerem, nie ma zamiaru płacić rachunków za czyjeś leczenie. Jest jednym z wielu wyznawców zwodniczej fantazji, którą Donald Trump na nowo rozniecił, a według której każdy z nas jest kandydatem na bogacza, więc powinien zachowywać się z wyższością

i pogardą, święcie wierząc, że jednostka jest ważniejsza od społeczeństwa, a olbrzymie pieniądze, które znaczą więcej niż pochodzenie (możliwe), wykształcenie (wątpliwe) albo moralność (niemożliwe), wkrótce mogą trafić do naszej kieszeni.

Pamiętasz tamten niezwykły wieczór, gdy wybraliśmy się do teatru na *Króla Leara*? Przypominasz sobie oszalałego Leara na wrzosowisku, odzianego w podarty strój, w koronie z chwastów, pozbawionego królestwa i władzy? Później żartowaliśmy, że nowy prezydent powinien koniecznie obejrzeć to przedstawienie, a Ty ze śmiechem odparłaś, że nie byłby w stanie. Ponieważ mądra nauka płynąca z tej sztuki jest nie do zniesienia dla takiego człowieka. *Zgadnij-zgadula, który sędzia, a który złodziej… I psa słuchają, gdy na urzędzie… Wszystko zasłania płaszcz gronostajowy. Powlecz grzech złotem, a strzaska się na nim / W bezsilnym ciosie miecz sprawiedliwości*[20]. Dopiero kiedy Lear włóczy się opuszczony podczas burzy, zdaje sobie sprawę, że wszyscy ludzie są tacy sami; że najwięksi i najmniejsi spośród nas są braćmi. Że za łaską Boga jesteśmy tym, czym jesteśmy, i tak dalej.

Tę lekcję każdy z nas wcześniej czy później musi przyswoić. Dla wielu przychodzi na to czas dopiero przed śmiercią. Byłaś za mała, żeby to zapamiętać, ale po raz pierwszy zrozumiałam tę prawdę, gdy dziadek był w szpitalu, bliski śmierci i nie w pełni rozumu (chociaż później na szczęście powróciła mu jasność umysłu). Pokiwał wtedy palcem – nieco podobny do króla Leara – i powiedział: „Wiem, co to jest – to przyjęcie!”. A wtedy podeszła do nas pielęgniarka w obuwiu, które skrzypiało na linoleum, z podkładką do notowania w ręce, i nie patrząc na Twojego dziadka, spytała rzeczowym tonem: „Kim on kiedyś był?”. Wtedy do mnie dotarło, że mój ojciec, którego tak kochałam, tak bardzo się bałam i podziwiałam, jest tylko biednym, nagim, rosochatym zwierzęciem – człowiekiem bez przyborów – tak samo jak wszyscy. Uczyłam się tego wciąż na nowo podczas choroby rodziców i ich podróży do grobu. Wszystko, co uważamy za cechy, które nas określają, nic nie znaczy. Ostatecznie każdy z nas jest nie tylko oszalałym Learem, ale biednym Edgarem, który rozumie, że *Lepiej wzgardzonym być, a wiedzieć o tym / Niż być wzgardzonym, a słuchać pochlebstwa. / Ostatni żebrak przez losy deptany / Bez trwogi żyje, karmi się nadzieją; / Tylko szczęśliwy blednie*

na myśl zmiany, / Zmiana przynosi uśmiech nędzarzowi. / Czcze więc powietrze, które ściskam, witaj! / Nędzarz, którego w przepaść cierpień wwiało, / Nic ci nie winien[21].

Żyć z nadzieją, bez strachu, nie mając nic do stracenia: oto wolność. Na to powinna nam pozwalać demokracja. Społeczeństwo, które wierzy, że pieniądz jest największą potęgą, nie może być prawdziwie wolne. Mędrcy zawsze to wiedzieli – od Jezusa Chrystusa po Juliannę z Norwich (średniowieczną mistyczkę, której słowa stanowią moją mantrę: *Wszystko będzie dobrze i wszystko będzie dobrze i wszystkie sprawy potoczą się dobrze*), od Szekspira po Gandhiego, Mandelę, może nawet Obamę. Niedojrzała dusza, którą nasz naród ostatnio wybrał na najwyższy urząd, jest daleka od zrozumienia tej podstawowej prawdy, podobnie jak zbyt wielu naszych współobywateli.

Ale to nie powód, abyśmy my udawali, że nie znamy prawdy. A skoro ją znamy, musimy żyć inaczej: rozumiejąc, że każdy uchodźca, wyrzutek, odmieniec czy przestępca również jest biednym Edgarem – wszyscy jesteśmy tacy sami, nadzy na smaganym wiatrem wrzosowisku. Jak napisał James Lowell w wierszu *Boston Courier*, który stał się jednym z najczęściej śpiewanych

hymnów mojego dzieciństwa: *Każdy człowiek oraz naród kiedyś stanie przed wyborem*. Ostatnia zwrotka głosi: *Choć potężne zła korzenie, prawda także mocą płonie; / Choć jej losem szubienica, podłość zaś siądzie na tronie; / Szubienica przyszłość wskaże, a w otchłani niepoznanej, / W cieniu Bóg sam się ukrywa, dba o dzieci ukochane*.

Nie jestem religijna w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, podobnie jak Ty (przynajmniej obecnie), ale zasady moralne są dla nas równie jasne, jak dla każdej wierzącej osoby. W głębi serca czujemy, że istnieją dobro i zło. Wiemy także, że zarówno w trudnych, jak i łatwych czasach musimy walczyć o to, co uważamy za słuszne. *Choć jej losem szubienica…* – mamy nadzieję, że za naszego życia do tego nie dojdzie. Nie możemy jednak być pewni, a jak uczy nas mądry William Szekspir – tym razem na kartach *Hamleta* – *Wszystko polega na tym, żeby być w pogotowiu*[22].

Przyszło Ci żyć w czasach sporów. Wciąż jesteś bardzo młoda i chciałabym, żeby zmagania i szaleństwo, jakie niesie ze sobą ta prezydentura, nie zagrażały w tak wyraźny sposób Twojemu życiu. Ale niestety, najdroższa, nie możemy pozostać głusi na wezwanie: zależy

od nas nasza przyszłość, nie tylko nasza, ale całego narodu i świata, który kochamy. Biedny Edgar i król Lear zrozumieli, że pod warstwami strojów wszyscy jesteśmy tylko nagimi ludźmi, pokornymi w obliczu życia i śmierci. Władza i pozycja są równie nieistotne, jak bogactwo i piękno. Wszystko jest marnością. Ten niedojrzały prezydent – wcielenie marności – jest głosem niedojrzałej kultury: niedojrzali mężczyźni i kobiety (Kellyanne Conway!) grasują po kraju.

Tak więc, Livio, najdroższa córeczko, naszym – a w przyszłości Twoim – zadaniem jest obrona wartości, wyznaczanie właściwej i znaczącej ścieżki. Musimy być nieustraszeni, pełni radości i nadziei. Uprzywilejowana pozycja wymaga od nas, abyśmy byli szczęśliwi i, gdy to tylko możliwe, działali na rzecz sprawiedliwości, otwartości i szczodrości; wsłuchiwali się w złożone głosy i starali się je zrozumieć; żebyśmy wysoko trzymali kaganek oświecenia. Każdy szlachetny gest się liczy. Przyzwoitość nigdy nie jest bezużyteczna. Żadna ofiara nie jest zbyt wielka. Każdy z nas musi nieść światło wszędzie, gdzie to możliwe.

Odwagi, moja kochana. Wierzę w Ciebie i Twoje pokolenie. Zawsze jestem po Twojej

stronie i trzymam Cię za rękę. Razem jesteśmy silniejsi.

Twoja mama

NAJWAŻNIEJSZY AKT OPORU
Meredith Russo

Darwinie

Myślę, że przeczytasz ten list, dopiero kiedy będziesz dużo starszy. Masz zaledwie dwa latka i jesteś ślicznym szkrabem, według niektórych bardzo podobnym do mnie (czy porównanie to jest obraźliwe, czy miłe, będzie zależało od Ciebie). Kiedy już to przeczytasz, kiedy zdasz sobie sprawę, ilu ludzi czytało to przed Tobą, możesz poczuć się zażenowany albo dumny. Czas pokaże, bo ja oczywiście nie mogę wyrokować. Pamiętam, myślałam kiedyś, że potrafię przewidzieć, co przyniesie nam przyszłość, przynajmniej w sensie ogólnym… ale teraz? Pod koniec roku 2016, albo 5776 według kalendarza Twojej wiary, gdy nienawiść zalewa świat jak

wielka fala, myśl ta wydaje się przejawem arogancji i zastąpił ją strach.

Znam strach. Bałam się w noc Twego poczęcia, gdy wzięłam pierwszą dawkę hormonów, robiąc pierwszy krok w stronę pełnego zestrojenia mojego ciała z umysłem. Zdałam sobie sprawę, że mogę już nigdy nie zajść w ciążę, i postanowiłam dać Ci szansę, byś udowodnił, że jednak dane Ci było przyjść na ten świat. Bałam się, kiedy się urodziłeś, kiedy trzymając w ramionach twoje malutkie, kruche ciałko, zastanawiałam się, co też przyniesie Ci życie. Boję się o Ciebie codziennie, gdy czytam o płonących w Ameryce synagogach, o Żydach, których poniża się najpierw niby nieświadomie, a potem jawnie, o tych, którzy chcą mi Cię odebrać, bo zamiast Cię wychować, matka taka jak ja zrobi Ci tylko krzywdę; boję się, gdy patrząc Ci w oczy, widzę jedynie ufność i miłość. Nadciąga burza, skarbie, nawałnica, przed którą drżą nawet ci nawykli do ucisku, poniżenia i okrucieństwa, i nie wstydzę się przyznać, że boję się bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Modlę się, żeby burza szybko przeminęła, żeby zwyciężyła jasność umysłu, żebyśmy powrócili na właściwy kurs, zanim powtórzą się błędy historii – ale ludzie nie są doskonali, poza tym

nie bardzo wierzę w skuteczność modlitwy. Dlatego muszę stawić czoło rzeczywistości, temu, że prawdopodobnie przyjdzie Ci żyć w deszczu, mroku i huku piorunów. Dorośniesz w świecie skażonym strachem i bardzo Cię za to przepraszam.

Posłuchaj, powiem Ci, do czego jest zdolny strach: strach może Cię ocalić albo okaleczyć Ci duszę. Bogaci i potężni manipulowali strachem Twoich rodaków, aż ci uwierzyli, że kobiety takie jak ja, Żydzi tacy jak Ty, ludzie innego koloru skóry, muzułmanie i imigranci są zagrożeniem, są podludźmi. To też znam z doświadczenia. Jako młoda dziewczyna bałam się nieuchronnej zdrady mojego ciała, które próbowało zrobić ze mnie mężczyznę. Bałam się wstydu i tego, że ludzie zrobią ze mnie pośmiewisko, że będą mnie prześladowali; bałam się gróźb, poniżenia i tego, że mnie zgwałcą, bo wiedziałam, że przydarza się to kobietom. Pozwoliłam, żeby strach zmienił mnie w kogoś, na kogo patrzę teraz ze wstydem – młodego „mężczyznę", który odstręczał znajomych, żywił urazę do kolegów, obrażał rodzinę, naskakiwał na innych, zanim oni zdążyli naskoczyć na niego, i był głuchy na ich potrzeby. To, że za młodu obrywałam, że mnie wyszydzano, bo byłam jakoby „gejem",

wystarczyło mi za dowód tego, że miałam rację. Przez ten straszny, samotny i gorzki strach zmarnowałam dwadzieścia sześć lat życia. Próbowałam się zabić, by od niego uciec, ale ponieważ mi się nie udało, stawiłam mu czoło.

Stałam się kobietą, jaką zawsze powinnam była być, a raczej przestałam udawać, że jestem mężczyzną. I wiesz co? Spełniły się wszystkie moje lęki.

Było za późno, by naprawić skutki wieloletniej kuracji testosteronem. Nie mogłam znaleźć pracy, straciłam rodzinę, nadwerężyłam stosunki ze znajomymi, a zupełnie obcy ludzie robili wszystko, żeby wylać na mnie swoją nienawiść. Bito mnie, wygwizdywano i tak, byłam molestowana seksualnie. Strach uparcie jednak twierdził, że żadna z tych rzeczy, nawet ta ostatnia, to jeszcze nie koniec świata. Wprost przeciwnie: od chwili przejścia zżyłam się z ważnymi dla mnie członkami rodziny bardziej niż kiedykolwiek dotąd, zdobyłam pracę moich marzeń, umocniłam stare przyjaźnie i, w co nie mogłam początkowo uwierzyć, nawiązałam nowe; tańczyłam i kochałam w ciele bliższym jedności z umysłem, niż mogłam to sobie wyobrazić, pomagałam dziewczętom i kobietom takim jak ja i, co najważniejsze, dostąpiłam

zaszczytu bycia Twoją matką. Gdybym pozwoliła dalej okaleczać się strachowi, nigdy by do tego nie doszło, a przecież już Ty sam wart jesteś tego, przez co przeszłam. Zawsze pamiętaj, że są w życiu rzeczy, za które warto jest znosić niekończące się męki, i że w najlepszym interesie pełnych nienawiści prześladowców leży to, żeby pozbawić Cię tych rzeczy, wzbudzając w Tobie strach. Jesteś żydowskim dzieckiem homoseksualnej transgenderystki. Masz w genach tyle homoseksualizmu, że jest to pewnie dziedziczne. Żyłoby Ci się ciężko nawet przedtem, zanim niebo przesłoniły czarne chmury, a teraz… Cóż. Miałam nadzieję przekazać Ci świat lepszy, szlachetniejszy niż ten, w którym dorastałam, w którym moje cierpienie i wstyd wydawałyby się reliktem przeszłości, lecz okazało się, że była to tylko iluzja. Przewagę zdobywają nacjonalizm, rasizm, ksenofobia, homofobia, mizoginizm i antysemityzm i nie stracą jej, dopóki nie przeorzą pazurami całego świata. Będziemy ich celem. To nieuniknione i przerażające zwłaszcza dla rodzica, jednak nie wolno nam dopuścić do tego, by nami rządziły. Każda chwila, gdy ulegamy strachowi i lękowi o przyszłość, jest chwilą, którą skradli nam ludzie kipiący nienawiścią, dlatego nie możemy im nic

dać. Ilekroć opadną Cię wątpliwości, spójrz na moje życie. Spójrz na siebie i pamiętaj, że nie miałabym Cię, gdybym się poddała. Będę chroniła Cię ze wszystkich sił, dopóki będę mogła, ale kiedy dorośniesz, staniesz się sobą i w końcu to przeczytasz, proszę, obiecaj mi, że na tyle, na ile będzie to możliwe, zapomnisz o strachu, by żyć pełnym, uczciwym życiem. Bo to, mój synku, jest pierwszy i najważniejszy akt oporu, na jaki stać każdego z nas.

Twoja kochająca
MerMer

LIST DO CÓRKI CHRZESTNEJ

Reyna Grande

22 grudnia 2016

Najdroższa Reynito

Moja maleńka, moja córko chrzestna, moja imienniczko.

Kiedy byłaś jeszcze w brzuszku u mamusi, zastanawiałam się, jak mogę Cię osłonić przed tym, co czeka Cię w miejscu takim jak Iguala, w stanie Guerrero w Meksyku. Teraz, kiedy się urodziłaś, martwię się jeszcze bardziej. Byłam głęboko zaszczycona, kiedy Twoja matka, moja kuzynka Diana, poprosiła, bym została Twoją matką chrzestną. W wieku czterech miesięcy byłaś najmniejszym dzieckiem w Iglesia de las Maravillas, Kościele Cudów. Wszyscy chcieliśmy Cię jak najszybciej pobłogosławić i ochronić w tych niepewnych czasach. Za miesiąc kraj,

który od przeszło trzydziestu lat nazywam swoją ojczyzną, będzie miał nowego przywódcę, kogoś, kto ma Ciebie i mnie w kompletnym niepoważaniu. Zanim jeszcze zostałaś poczęta, ten człowiek, ubiegający się o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, rozpoczął swoją kampanię, nazywając Meksykanów „gwałcicielami, kryminalistami i dealerami narkotyków". Obraził całą rodzinę, którą masz w Stanach Zjednoczonych – Twojego wujka Ángela (którego Twoja matka nie widziała od dziesięciu lat), moje rodzeństwo i mnie. Powiedział, że Meksyk nie pokazuje się z najlepszej strony, a przecież dajemy z siebie wszystko, co najlepsze: naszą etykę pracy, nasze umiejętności, talenty, pasję.

W przyszłości dowiesz się, że wszystko, co dzieje się w Stanach Zjednoczonych, odbija się na Meksyku, najczęściej negatywnie. Dwa tygodnie przed Twoimi narodzinami, dzień po tym, jak ogłoszono, że Donald Trump będzie naszym nowym prezydentem, meksykańskie peso zanotowało największy spadek od dwudziestu lat. Trump zapewnił sobie wygraną, obiecując, że zbuduje mur między naszymi krajami i deportuje jedenaście milionów nielegalnych imigrantów mieszkających w Stanach, w tym Twojego wujka.

Kiedy Twoja matka była dzieckiem, ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych zaczął budować ten mur. Jak to się dzieje, że kiedy Ty jesteś dzieckiem, budowane są kolejne? Chcę Ci ofiarować świat bez podziałów, świat bez granic. Stojąc po drugiej stronie betonowych płyt i zwojów drutu kolczastego, chciałabym móc usunąć bariery, które hamują Twój wzrost, gaszą w Tobie iskrę, niszczą Twój potencjał i pozbawiają wszystkiego, na co zasługujesz. Próbowałam ratować Twoją matkę, ale nie byłam w stanie, i trzymając Cię teraz do chrztu, modliłam się, by udało mi się zrobić dla Ciebie to, czego nie zdołałam zrobić dla niej.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Twoją matkę, miała tylko roczek. Pojechałam wtedy do Meksyku pierwszy raz po wyemigrowaniu do Stanów. Miałam siedemnaście lat i byłam bardziej Amerykanką niż Meksykanką. Osiem lat spędzonych w Stanach pozbawiło mnie tożsamości i nie wiedziałam już, kim jestem: nie do końca Meksykanką w Meksyku, ale też nie do końca Amerykanką w Stanach. Tych osiem lat odebrało mi ojczysty język, który brzmiał teraz obco w moich ustach. W trakcie tej wizyty zmagałam się ze swoją nieporadną hiszpańszczyzną. Zmagałam się z rzeczywistością

tego, jak żyje moja rodzina w Iguali. Po raz pierwszy patrzyłam na rodzinne miasto innymi, amerykańskimi, oczami. Bieda, w której żyła Twoja matka, szokowała mnie, chociaż była tą samą biedą, w której dorastałam. Próbowałam zapomnieć, że urodziłam się w szałasie z patyków i tektury, zupełnie takim samym jak ten, w której teraz mieszkała Twoja matka. Próbowałam zapomnieć o polnych drogach Iguali, o stertach śmieci, które płonęły wzdłuż torów kolejowych, o bosych dzieciakach z zawszonymi włosami i nabrzmiałymi od pasożytów brzuchami, o gorącym asfalcie, który parzył mi stopy, gdy szłam do młyna, o plackach końskiego gówna pływających obok mnie, gdy kąpałam się w kanale, o pęcherzach, które wyskakiwały mi na dłoniach, kiedy nosiłam wiadra z wodą z komunalnej studni.

Próbowałam zapomnieć, i to mi się udało, bo w Los Angeles żyłam we względnym komforcie; moje dzieciństwo w Meksyku odpływało w niepamięć niczym koszmar, który trzeba od siebie odsunąć. I może trudno Ci będzie w to uwierzyć, ale jak na amerykańskie standardy moja rodzina mieszkała w LA w biedzie. Jednak pochodząc z Meksyku – wiedząc, jak wygląda i jak cuchnie prawdziwa bieda – czułam się

bogata. Mojego ojca, konserwatora budynków po trzech klasach, nie stać było na wiele, ale nasz dom miał gipsowe ściany i tynki, gontowy dach, wykładzinę dywanową, bieżącą wodę i elektryczność – luksusy, które w Meksyku były dla nas nieosiągalne. Dlatego zszokowana patrzyłam na szałas, w którym mieszkała Twoja matka – z dachem z blachy falistej, ścianami z powiązanych sznurkiem patyków, klepiskiem na podłodze i toaletą, w której nie można było spuścić wody.

Wracając do LA, moja maleńka, zabrałam ze sobą Twoją matkę w sercu i myślach. Dręczyły mnie wyrzuty, że mogę wyjechać, że mam taką możliwość, że mogę wsiąść do samolotu, zasnąć i obudzić się w miejscu, o którym Twoja matka może tylko marzyć. Zastanawiałam się, co Meksyk może zaoferować jej i jej dzieciom – Tobie! Zastanawiałam się, jakie będziecie mieli tam wszyscy życie. To sprawiło, że pomyślałam o wyborze, jakiego dokonali nasi rodzice, i o tym, jakie to miało dla nas konsekwencje. Twoi dziadkowie postanowili zostać w Meksyku i zadowolić się tym, co miał im do zaoferowania ich kraj. Moi wybrali inną drogę – opuścili Meksyk, by szukać lepszego życia w Stanach Zjednoczonych. Ojciec dał pieniądze

przemytnikowi i przeszedł przez zieloną granicę z trójką dzieci, ryzykując nasze życie, by łyknąć Amerykańskiego Snu. Powiem Ci, że nie obyło się bez łez i dramatów, gdy z trudem uczyliśmy się angielskiego i nowego sposobu życia, które było życiem w cieniu. Okazało się, że nawet po przekroczeniu granicy trzeba będzie pokonać wiele kolejnych barier: językowych, kulturowych, prawnych i innych. Życie w Stanach nie jest usłane różami tak, jak to sobie wyobrażają w Meksyku. To nie bajka z happy endem. W żadnym wypadku. Amerykańskie społeczeństwo potrafi się znakomicie bronić przed imigrantami, zwłaszcza tymi niepożądanymi – kolorowymi. Żeby przetrwać, żeby spełnił się nasz Amerykański Sen, musimy się nauczyć spać z otwartymi oczami. Oglądamy bajkę od podszewki, od jej mrocznej strony. Uczymy się znosić przeciwności losu, ignorować wilka, który dyszy za naszymi plecami.

Z biegiem czasu zaczęłam się martwić o Twoją matkę. W przeciwieństwie do mnie, maleńka, nie nauczono jej marzyć. Wracałam do niej przez wszystkie te lata i za każdym razem na nowo się w niej zakochiwałam – w jej śmiechu, w jej niewinności, w tym, jak chodziła za mną krok w krok, by napawać się każdą spędzoną ze mną

minutą. Kuzynka z Ameryki, tego szczególnego miejsca, o którym wszyscy marzyli, niepomiernie ją fascynowała. Ubzdurała sobie, że mieszkam w Disneylandzie! Wyjeżdżając z Iguali, za każdym razem zostawiałam tam kawałek serca. Martwiłam się, kiedy w wieku trzynastu lat Twoja matka rzuciła szkołę i znalazła pracę w *maquili*, należącym do amerykańskiej korporacji zakładzie odzieżowym, gdzie pracując sześć dni w tygodniu i biorąc nadgodziny, zarabiała nędzne pięć dolarów dziennie. Stała się elementem „taniej siły roboczej", którą Meksyk z taką dumą oferuje amerykańskim firmom. Nie osądzam jej. Wiem, że zrobiła to, by pomóc Twojej babci. Ale nawet kiedy zaproponowałam, że wyślę jej pieniądze, żeby mogła wrócić do szkoły, nie chciała o tym słyszeć. Być może wiedziała już, że tam, gdzie mieszkasz, edukacja nie jest czymś, w co warto inwestować. Martwiłam się, kiedy w wieku szesnastu lat zaszła w ciążę i urodziła Twoją starszą siostrę. Ale znalazła w Twoim ojcu dobrego męża, kogoś, kto zawsze stoi przy jej boku.

Martwiłam się również, widząc, jak amerykańskie uzależnienie od narkotyków odbiło się na Meksyku. Nasz stan Guerrero stał się największym dostawcą heroiny, na pięknych

wzgórzach, które otaczają nasze miasto, zakwitły nagle maki, a lokalny dworzec autobusowy stał się centrum dystrybucyjnym kartelu. Bałam się o Twoją matkę, kiedy we wrześniu 2014 roku, zaledwie dziesięć minut drogi od miejsca, gdzie mieszkasz, zaginęło w naszym mieście czterdziestu trzech porwanych przez policję studentów. Przyjechałam do Iguali i błagałam, by pozwoliła mi opłacić jej szkołę. Chciałam sfinansować jej edukację, żeby miała jakieś możliwości tam, gdzie jest ich bardzo mało. Chciałam, by miała szansę na sukces w mieście, w którym nawet burmistrz macza ręce w zbrodniach popełnianych przez kartel, gdzie w promieniu kilku kilometrów od Twojego domu regularnie odkrywa się masowe groby i nikt nie przejmuje się prawami człowieka. Myślałam naiwnie, że mogę pomóc jej się stamtąd wyrwać i że nie będzie musiała wyjeżdżać z Meksyku tak jak ja. Nigdy nie zachęcałam jej do emigracji, do tego, by płaciła przemytnikowi za przekroczenie zielonej granicy. Nie chciałam, by ryzykowała życie swoje, Twojego ojca i Twojej siostry. Nie chciałam, żeby padli ofiarą szykan, które grożą imigrantom w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w tych mrocznych czasach, kiedy niechęć do nich jest podsycana przez strach i ignorancję. Nie

chciałam, żeby Twoja kochana matka żyła w cieniu amerykańskiego społeczeństwa, tak jak kiedyś ja sama.

Zgodziła się, żebym opłaciła jej szkołę, ale okazało się, że nie miałam racji. Zaślepiła mnie moja amerykańska mentalność, mój Amerykański Sen. Dwa lata później, po tym, jak Twoja matka ukończyła miejscową szkołę kosmetyczną – i wydała tysiące pesos na czesne, materiały i sprzęt – miasto Iguala mogło zaproponować jej jedynie marne osiemdziesiąt pesos dziennie za pracę w charakterze *estilista*, stylistki. W miejscu, gdzie pizza kosztuje dwieście pesos, taki dzienny zarobek jest policzkiem.

Dziś rano wyjechałam z Iguali, żeby wrócić do Kalifornii, i przyznaję, maleńka, że w ciągu dwudziestu trzech lat tych moich powrotów, przyzwyczaiłam się do pożegnań z Twoją matką, nauczyłam się nie cierpieć z powodu naszego słodko-gorzkiego rozstania. Jednak dzisiejsze pożegnanie z Tobą było nie do zniesienia. Pozostawienie Cię w Iguali – dokładnie tak samo, jak zostawiłam Twoją matkę – oznacza, że będziesz dorastała w takich samych warunkach jak twoi rodzice, pogodzisz się z życiem w kraju, gdzie panoszy się korupcja i chciwość. Będziesz wiedziała, że nie wolno ci zaufać żadnemu

przedstawicielowi władzy. Że wszystko, co pada z ust burmistrza, gubernatora, prezydenta, jest kłamstwem. Że sprzedadzą oni Twoje miasto, Twój stan i kraj każdemu, kto da więcej, i będą nabijali sobie w ten sposób kabzę tak, jak zawsze robili w Meksyku ci, którzy są u władzy. Pogodzisz się z tym, że niezależnie od tego, kto tu i tam jest prezydentem, Stany Zjednoczone i Meksyk będą zawsze trzymały sztamę, bo polityka to brudna sprawa i wszystko sprowadza się ostatecznie do forsy i władzy. Uświadomisz sobie z goryczą fakt, że żadnemu z tych państw nie chodzi o Twoje dobro. Że bez względu na to, jaką realizują politykę, jakie pichcą porozumienia handlowe, jakie organizują wspólne przedsięwzięcia, jakie należące do USA fabryki otwierają w Twoim mieście, nie chodzi im o to, byś była bezpieczna, żeby lepiej ci się działo, żeby otworzyć przed Tobą nowe możliwości i dać Ci przyzwoicie zarobić. Będziesz dorastała, nie spodziewając się niczego dobrego od swojego, a tym bardziej od mojego rządu, zwłaszcza pod tą nową prezydenturą. Nauczysz się godzić ze swoją sytuacją. Nauczysz się trzymać opuszczoną głowę i nie otwierać ust. Nauczysz się nie zwracać uwagi na swoją nędzę.

Dzisiaj żałowałam, że nie mogę Cię ze sobą zabrać. Żałowałam, że nie mogę znaleźć sposobu, żeby zrobić to na przekór wszystkiemu i wszystkim. Ale jak mogłabym uczynić z Ciebie imigrantkę, zwłaszcza teraz, gdy nie wiem, jakiego rodzaju wyzwania postawi przed nami ten nowy prezydent? Jeśli zostaniesz w Meksyku, nigdy nie będziesz musiała być „niechcianym obcym" w nowym kraju. Nigdy nie będziesz musiała kwestionować swojej tożsamości. Zawsze będziesz Meksykanką jak wszyscy dokoła. Na dobre i na złe będziesz należeć do swojego kraju, a on do Ciebie. Nie będziesz musiała zerwać ze swoim językiem i korzeniami. Nigdy nie zostaniesz „uinniona". Nikt Cię nie oskarży, że jesteś kryminalistką. Nie da Ci odczuć, że za mało się starasz. Można Ci zarzucić tylko to, że jesteś biedna. I chociaż bieda jest powodem wielu nieszczęść i smutków, piętno bycia imigrantem, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nie jest czymś, czego bym dla Ciebie chciała.

Gdziekolwiek jesteś, chcę dla Ciebie tego samego, co mam sama – żebyś zdobyła wykształcenie, zrobiła satysfakcjonującą karierę, miała szczęśliwy dom i żyła pełną piersią. Szczerze mówiąc, nie wiem, w jaki sposób

mogłabym Ci to wszystko zapewnić. Przeszkody, które napotykamy, są czasami nie do przezwyciężenia. Ale obiecuję, że zawsze będę na Twoje wezwanie i dam Ci wszystko, co jestem w stanie dać. Obiecuję Ci schronienie, kiedy będziesz go potrzebować. Obiecuję dzielić się z Tobą swoimi marzeniami i pielęgnować Twoje. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, mimo dzielących nas granic, nasza rodzina musi się wzajemnie wspierać, wzajemnie o siebie dbać i walczyć, ponieważ jedno jest pewne: za kadencji Trumpa najwięcej stracą ci, którzy mają najmniej – i to dotyczy również naszej rodziny, maleńka.

Twojej matce wydawało się kiedyś, że żyję w Disneylandzie, i rzeczywiście żyję w magicznym miejscu. Mimo rasizmu i nienawiści, które podnoszą czasem (tak jak teraz) swoje szpetne mordy, spotykam się tu również z wielką życzliwością i wielkodusznością. Są wokół mnie ludzie, którzy troszczą się o innych i szanują ich bez względu na to, skąd pochodzą. Wracając do Stanów, pragnę mocniej niż kiedykolwiek walczyć o to, by ten kraj pozostał miejscem, gdzie traktuje się ze współczuciem i serdecznością wszystkich ludzi. Jako Twoja matka chrzestna zamierzam zrobić,

co tylko będę mogła, by między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem wznoszono mosty, nie mury, i by w obu tych krajach żyło się coraz lepiej. Poprzez swoje książki, wykłady i publiczną działalność walczę dla Ciebie i dla siebie o kraj, gdzie spełniają się marzenia, gdzie wszystko jest możliwe, jeśli tylko ciężko się pracuje, gdzie szanujemy to, co nas łączy, respektujemy to, co nas dzieli, i celebrujemy to, co czyni nas jedynymi w swoim rodzaju. Będę nadal walczyć o to, by w obu naszych krajach demokracja była silna, by ludzie mogli się swobodnie przemieszczać i żyli w harmonii. Obiecuję Ci, maleńka, że będę walczyć, by dać Ci życie, na które zasługujesz.

Z miłością i światłem
Twoja matka chrzestna

JĘZYKIEM STWORZYSZ SIEBIE

Katie Kitamura

Droga Milu

W dniach po wyborach otacza mnie rwący strumień języka – w radio, internecie, wiadomościach, mediach strumieniowych prezydenta elekta – ale nie powołuje on do życia świata. Słucham, czytam, słucham i nadal nie potrafię pojąć świata, który opisują. Trzymając Cię na kolanach, pytam Twojego ojca:

– Co oni mówią? Co to znaczy?

On jednak kręci głową i milczy.

Po raz pierwszy w życiu nie jestem w stanie czytać beletrystyki. Swój czas poświęcam wiadomościom, które nieustannie nas zasypują. Czytam je, kiedy się Tobą zajmuję, czytam, kiedy śpisz. Chłonę to, co nazywają nową rzeczywistością, mającą bezpośredni, namacalny

wpływ na nasze życie, ale wciąż odnoszę wrażenie, że to symulacja, zbyt powierzchowna, by mogła być prawdziwa.

Zdaję sobie sprawę, że to niedowierzanie jest luksusem; sprawia, że staję się powolna i otępiała. Z twojego powodu z całego serca pragnę być praktyczna, działać skutecznie. Zamiast tego patrzę na świat całkowicie pozbawiony głębi. Niezależnie od tego, ile czytam, język wydaje się niepewny, jakby i on się poddał w tych czasach postprawdy. Sam termin „postprawda” jest oznaką tej kapitulacji.

Dawniej, kiedy byłam z Tobą w ciąży, Twój ojciec i ja śmialiśmy się z tego, jak obecny prezydent elekt kaleczy język. Jego język z połamaną składnią nie wydaje się już jednak komicznie nieudolny, ale chytry i przemyślany. Im słabszy jest powszechnie używany język, tym trudniej zrozumieć prawdziwe konsekwencje tego, co się dzieje, co ulega demontażowi i co się buduje na tym miejscu.

Efekt jest natychmiastowy. W dniach po wyborach słowa rozpadają mi się w ustach. Dzwonię do swojego kongresmena, ale każą mi czekać pół godziny, a gdy wreszcie mnie łączą, waham się i głos mi drży. Słowa grzęzną mi w gardle, mówię równie niespójnie jak prezydent

elekt, co napełnia mnie grozą. Kobieta po drugiej stronie jest cierpliwa, a kiedy w końcu milknę, wyjaśnia, że odbierają wiele podobnych telefonów i robią listę, by następnie powiadomić kongresmena o liczbie rozmówców.

Kobieta jest uprzejma, ale zauważam, że liczba rozmówców jest dla niej ważniejsza niż słowa. Wiem, że słowa, które zdołałam wymówić, nie mają wystarczającej siły. Inni piszą z lepszym skutkiem, w felietonach, na Facebooku, w mailach i artykułach; w proteście przeciwko potokowi słów płynącemu z ust prezydenta elekta wypuszczają swój własny potok. Chociaż chciałabym dołączyć do tego chóru głosów, chociaż chcę stać się częścią tej nowej zbiorowości, wciąż jestem sparaliżowana.

Nie mogę znaleźć słów. Próbuję robić inne rzeczy. Składam darowizny, chodzę na demonstracje, telefonuję. Posługuję się słowami innych ludzi. W sieci znajduję porady dotyczące rozmów z reprezentującymi mnie politykami. Zaczynam jednak podejrzewać, że nie wychodzi mi myślenie w czasie rzeczywistym, źle mi wychodzi mówienie. Przypominam sobie swoją matkę, która przyjechała do tego kraju, nie znając angielskiego, i którą tak skutecznie uciszano, że zamilkła. Ilekroć usłyszała dzwonek,

podrywała się przestraszona i zamiast otworzyć drzwi, chowała się w szafie.

W chwili obecnej mnie też brakuje zaufania do słów, jakimi dysponuję. Potrzebuję języka przystającego do tego niemożliwego świata, języka, który pozwoli mi działać. Niestety, język jest plastyczny i nie zawsze stoi po stronie prawdy. Każdy pisarz o tym wie. Słowa tworzą i demontują świat z zatrważającą szybkością, bez moralnych rozróżnień. Coś podobnego ma miejsce teraz, w spisywanych rozporządzeniach, w inwektywach pod adresem mniejszości i kobiet, w konfliktach, które rodzą się z wybuchu stu czterdziestu znaków. Człowiek, który nie bierze odpowiedzialności za własne słowa, teraz posługuje się językiem jak tyran.

Obecnie toczy się walka o używane przez nas słowa, walka o to, kto ma, kto zaś nie ma prawa mówić. Podobnie jak moja matka zmusiła się do nauki angielskiego, by walczyć o własne dzieci, ja zmuszam się do mówienia. Zmuszam się do napisania tego listu do Ciebie. Źle go napisałam. Widzę, że nie znalazłam odpowiedniego rejestru, nie znalazłam środków wyrazu dla tego, co czuję. Ale muszę znaleźć jakieś słowa, choćby słabe i niedokładne.

Oczywiście nie muszę Ci mówić o wartości słów, nawet najmniej precyzyjnych, ponieważ właśnie rozpoczyna się dla Ciebie długi proces zawłaszczania języka. Najpierw samogłoski, potem spółgłoski, twoja zdolność mówienia zmienia się każdego dnia. Dla Ciebie język wciąż jest czymś cennym, zdobywanym z wielkim trudem. Wiesz, że dzięki niemu możesz zostać zrozumiana – zapomnieliśmy o tym, ale teraz gwałtownie sobie przypominamy – wiesz, że wyrażenie siebie jest cudem.

Nie znam ufniejszej osoby niż Ty, ale wcale nie jesteś pewna, czy Cię rozumieją. Nie zawsze masz pewność, czy język, jakim dysponujesz – złożony z pomruków, krzyków i gaworzenia – wystarczy. Krzyczysz, wołasz, a kiedy to nie przynosi skutku, po prostu patrzysz błagalnie. Mimo to nie rezygnujesz, ponieważ instynkt podpowiada Ci, że język, pomimo swoich niedoskonałości, jest integralnie związany z Twoim przetrwaniem. Językiem stworzysz świat wokół siebie. Językiem stworzysz siebie.

Masz wiarę w język, dokładnie tę wiarę, jakiej dzisiaj mi brak. Może z tego powodu, kiedy jestem z Tobą, czas zwalnia bieg. Ostatnio moje serce ciągle galopuje. Kiedy jestem z Tobą, uspokaja się i czuję bardzo mocno, że warto

walczyć o to wolniejsze tempo. Druga strona porusza się tak szybko, z takim ślepym przekonaniem, że łatwo jest uwierzyć, iż musimy postępować tak samo. *Nie ma czasu na samozadowolenie. Nie ma czasu na bierność.* To bez wątpienia prawda. Ale jednocześnie musimy bronić innego sposobu myślenia i bycia, sposobu dopuszczającego wahanie, niuanse i zmienność.

Nie ufam pewności, choćbym nawet zgadzała się z głoszonymi poglądami. Nie uważam, by nasza trudna sytuacja oznaczała, że nie możemy sobie pozwolić na niepewność. Muszę wierzyć w wartość zwątpienia, które teraz odczuwam, w to, że potrafi ono stworzyć przestrzeń dla powolnych myśli i przekonania. Muszę wierzyć w zwątpienie choćby dlatego, że promuje myślenie przed działaniem, a jeśli wiemy coś o prezydencie elekcie, to to, że działa, zanim pomyśli.

Martwię się, że będziesz dorastać w czasach ideologicznego pośpiechu, czasach szalonych przekonań i zatwardziałego myślenia. Prawda jest taka, że już teraz zabrały one bardzo wiele, a zabiorą więcej. Obiecuję jednak, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by nie pozwolić im zubożyć języka, o który tak usilnie walczysz, nie dopuszczę, by zredukowały Twój świat do

samych absolutów. Język posiada jedyną w swoim rodzaju moc sprawczą. Chciałabym, żebyś dorastała, wierząc w tę moc oraz w wolność, na jaką ona pozwala. Chciałabym, żebyś dorastała z wiarą, jaką masz teraz.

JESTEŚ TAKI JAK JA

iO Tillett Wright

Widzę Cię, o tam, pasek Twojej nogi na dywaniku za drzwiami łazienki. Smukły i błyskotliwy, czekasz, aż wróci Twój ojciec i da Ci coś, czego nie potrafi dać matka. Wyrośniesz przyzwyczajony do nieortodoksyjnego nazywania rzeczy – zgodnie z tym, w jaki sposób funkcjonują, a nie jak klasyfikuje je nauka – więc będziesz myślał inaczej niż większość.

Nie wiem, czego pragniesz, ale zapewne wzbudzi to w Tobie taką samą palącą potrzebę aprobaty, jaką wywoływał we mnie mój ojciec. Pewnie czekasz, aż wyrażę swoją opinię, wskażę Ci właściwy kierunek, w czymś pomogę. Może chcesz mi powiedzieć, że się zakochałeś. Może chcesz pooglądać jakiś program, zagrać w grę komputerową, coś zbudować. Może po prostu

chcesz spędzić ze mną trochę czasu, a ja z pewnością Cię nie zawiodę.

Będziesz żył w wolnym świecie. Krąg normalności, w którym się wychowasz, obejmie ludzi wszelkiego rodzaju, a także zwierzęta. Domknę pętlę zaniedbania, która może ciągnąć się bez końca niczym niewygodna podwójna helisa, jeśli stanowczo nad nią nie zapanujemy. Każdego dnia będę Cię karmić, wzmacniając Twoje kości. Opowiem Ci o wszystkich książkach, które przeczytałem, i o każdej rozmowie, jakiej byłem świadkiem, a także pokażę Ci wszystkie krajobrazy, przez które wędrowałem. Przewiozę Cię pociągami przez Europę, zabiorę na grzbiecie wielbłąda do piramid, razem popływamy pośród lśniącego planktonu w ciepłej zatoce Puerto Rico. Będziemy grali w piłkę na placach Hawany, gdzie poznasz ulicznych chłopców, którzy nauczyli mnie współczucia. Będziesz jadł jeżowce we Włoszech i zmarzniesz na kość w Kolorado.

Jako małe dziecko zobaczysz tatuaż na moim przedramieniu, który będzie Ci bezustannie przypominał, że niezależnie od tego, kim jesteś i kim się staniesz, jesteś taki jak ja. Zawsze i wszędzie znajdziesz u mnie dom, coś do jedzenia i towarzystwo.

Ze skórą naznaczoną śladami swoich wypraw i przygód, będziesz siedział i czekał na mnie, drapiąc pod brodą psa leżącego na Twoich kolanach. Uważnie Ci się przyjrzę, jeszcze zanim zdasz sobie z tego sprawę, i będę podziwiał Twój wrodzony spokój, elegancję i swobodny sposób bycia. Kiedy myślę o nienawiści, którą zastaniesz na świecie, o kurczących się zasobach, przeludnieniu, przemocy oraz podziałach, w moim sercu budzi się bolesna opiekuńczość. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby Cię chronić.

Kiedy otwieram drzwi i witam się z Tobą, podnosisz na mnie bystre spojrzenie. Masz błyskotliwe poczucie humoru. Twoje riposty są szybkie i celne.

Twoja siostra jest w sąsiednim pokoju.

Będę z uwielbieniem wspominać ten czas, który spędzamy tylko we dwoje.

Mówisz mi, że to normalne mieć ojca, który nie ma nasienia ani fiutka. Mieć ojca z bliznami w miejscu, w którym kiedyś były piersi, wiecznie niedopasowanego, być wnukiem choroby psychicznej i dziedzicem szalejącego uzależnienia. To wszystko nie jest dla Ciebie bardziej szokujące niż kiedyś dla mnie. Dobrze poznasz moją opowieść. Spędzisz życie, nosząc

ręcznie szyte stroje, pijąc herbatę, po której nie zaśniesz przez trzy dni, chodząc na drugie akty przedstawień na Broadwayu, jedząc brokuły z sosem sojowym i czosnkiem, karmiony palcami przez babcię. Zobaczysz jej zwariowany dom. Będziesz często brać mnie za rękę, instynktownie czując, że Twój rodzic potrzebuje pokrzepiającego przypomnienia o własnej niezależności. Od początku będziesz mi przypominać, że jeśli zechcemy, zawsze mogę wziąć Cię na ręce i wyjść. Jesteśmy bezpieczni, ponieważ zadbałem o to. Ta nora nie jest naszym domem. Mamy własne ciepłe, bezpieczne miejsce, do którego możemy wrócić. Nikt nigdy nie wyrwie nas siłą ze snu, ponieważ na to nie pozwolę. Będziesz mi przypominał, że powinienem Cię chronić, i zawsze to robiłem.

Wychowany przez plemię, świadomy piękna wielorakości i różnorodności, będziesz dawał otaczającym Cię ludziom coś, czego nie otrzymają od innych. Zdasz sobie z tego sprawę i da Ci to poczucie celowości. Staniesz się świadectwem tego, że możemy zbliżać się do siebie, zamiast kryć się w komorach pogłosowych identycznych poglądów. Będziesz chętnie dyskutował, słuchał i zdobywał wiedzę.

A ja będę na Ciebie patrzył i w Twoich oczach dostrzegę płomienie siły oraz głód wiedzy i poczuję wdzięczność; wdzięczność, że Cię stworzyliśmy, abyś mógł ponieść dalej tradycję radykalnej akceptacji. Popatrzę na Twoją błogą twarz i na psa całkowicie otulonego Twoim uczuciem i zrozumiem, że nic złego nas nie spotka. Teraz to ty jesteś u steru, dzięki bogu.

ZENAIDA
Francisco Goldman

Mojego przyjaciela Axela przywieźli do Stanów Zjednoczonych rodzice uciekający przed okrutną wojną w Gwatemali. Wychował się w dzielnicy Jamaica w nowojorskim Queens i trzydzieści pięć lat mieszkał na Long Island, pracując jako technik IT. Miał ze swoją partnerką dwoje małych dzieci. Pewnego ranka, podrzuciwszy je do szkoły, na oblodzonej jezdni najechał na tył samochodu białej kobiety i ta zadzwoniła na policję. Choć mieszkał w Stanach praktycznie całe życie, wciąż był nielegalnym imigrantem i nie miał prawa jazdy. Policjanci zawieźli go na posterunek, gdzie znalazł się przypadkiem funkcjonariusz ICE, federalnej agencji imigracyjno-celnej. Dwa dni później Axel został deportowany do Gwatemali, gdzie nikogo nie znał i gdzie nie można już było znaleźć

żadnych dokumentów – choćby metryki urodzenia – które potwierdziłyby jego istnienie. Ale uliczny gang *mara* szybko rozpoznał w nim zagubionego wygnańca z USA, który mówił łamaną hiszpańszczyzną z nowojorskim akcentem i nie wiedział nawet, gdzie jest. Ponieważ gang zaczął mu grozić i żądać od niego pieniędzy, Axel postanowił uciec na północ, tak jak jego rodzice ponad trzydzieści lat wcześniej. Przeżył niezwykłą, lecz przerażającą odyseję, której nie będę próbował nawet opisywać (przedstawił mi go młody antropolog Levi Vonk, który śledzi jego dzieje i często opowiada słuchaczom jego przygody i niefortunne wypadki), ograniczę się do jednego incydentu.

Przejechawszy przez cały Meksyk, Axel dotarł w końcu do granicy, gdzie, jak każe zwyczaj, musiał zapłacić ludziom z kartelu narkotykowego Zeta za pozwolenie jej przekroczenia. Po drugiej stronie – już na terytorium USA – znowu zatrzymali go Los Zetas, pytając o tajne hasło, które otrzymał od ich towarzyszy zza ogrodzenia. Axel je podał, lecz powiedziano mu, że jest niepoprawne. Jeden z bandziorów kilkukrotnie uderzył go nabijaną gwoździami pałką, gruchocząc mu nadgarstek i zdzierając skórę i włosy z głowy. Potem

porzucono go na pewną śmierć na teksaskiej pustyni. Mimo to Axel znów zdołał wstać i słaniając się na nogach, dwanaście godzin szedł przed siebie, zanim w końcu upadł i stracił przytomność. Jakiś czas później obudził go kopniakiem amerykański strażnik graniczny. Po pobieżnym opatrzeniu ran po raz drugi w tym samym roku deportowano go z kraju, w którym mieszkał prawie całe życie.

W Wigilię 2016 roku Axel przyszedł do nas na kolację w Mexico City. Mieszka tu od kilku miesięcy, ledwo sobie radząc, chwytając się dorywczych prac, między innymi pomywacza, ponieważ nie ma dokumentów i nie może pracować jako technik komputerowy, choć mu to proponowano. Dobrze po północy, sącząc mescal, zaczął opowiadać nam o swojej pierwszej podróży przez Meksyk. Odbył ją piechotą, czasem lokalnymi autobusami lub pociągiem towarowym zwanym Bestią, którym w ostatnich latach podróżowały tysiące imigrantów, trasą prawie dla każdego z nich naznaczoną gwałtem, przemocą, porwaniami, wymuszeniami i innymi tragediami. Widział śmierć jednego z towarzyszy podróży, który nie zdoławszy wskoczyć do pociągu, został wessany przez pęd pod żelazne koła, stracił nogi i najpewniej zginął. Ale

najgorszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek był świadkiem, okazał się incydent, który prześladuje go do dziś. Wydarzyło się to w południowym Meksyku, gdy wraz z towarzyszącym mu kolegą Axel musiał zboczyć do dżungli, aby ominąć policyjny punkt kontrolny na głównej drodze. Jeśli czytaliście *The Beast*[23], przełomową kronikę Óscara Martíneza, albo słyszeliście opowieści innych imigrantów-weteranów, na pewno wiecie, że największe potworności tej podróży czają się właśnie tam, na ukrytych w dżungli ścieżkach i odciętych od świata ranczach, gdzie grasują brutalne gangi, jedne związane ze zorganizowanymi grupami przestępczymi, takimi jak Los Zetas, inne z policją. Przez gęstą roślinność zobaczyli grupę mężczyzn, a wśród nich młodego przybysza z Ameryki Środkowej, którego trzymano za wykręcone do tyłu ręce; usłyszeli niewysłowiony szloch i przeraźliwe krzyki bestialsko gwałconej kobiety. Nie mieli wątpliwości, czego są świadkami: przytrzymywanemu emigrantowi kazano patrzeć na to, co bandyci robili kobiecie, z którą podróżował, jego żonie lub siostrze. Axel był tylko z kolegą, a tamtych naliczyli co najmniej sześciu, więc mogli jedynie iść dalej, modląc się, by nikt ich nie zauważył. Ze

wszystkich potworności napotkanych na emigranckim szlaku scena ta najbardziej dręczyła jego pamięć i sumienie.

Jak wspomniałem, była wigilia Bożego Narodzenia. Tej nocy nie poszliśmy na pasterkę. Nie praktykuję ani nie identyfikuję się z żadną religią, jednak pod wpływem opowieści Axela przypomniało mi się kazanie sprzed roku, gdy wraz z moją żoną Jovi, jej ojcem i bratem – obaj mają na imię Juan Carlos – poszliśmy na pasterkę do kościoła jezuitów w Colonia Roma, kilka ulic od naszego domu. Ksiądz mówił o Dzieciątku Jezus; o sytuacji, w której mała, krucha istotka jest całkowicie zależna od opieki innych, od nas wszystkich, jak przekonywał wiernych. Dzieciątko Jezus stało się w jego ustach metaforą naszego wspólnego obowiązku obrony i ochrony bezbronnych, słabych i bezradnych, owszem, przede wszystkim niemowląt i dzieci, ale nie tylko, bo również tych, którzy w pojedynkę nie są w stanie stawić czoła wrogim siłom.

Do kogo zatem jest ten list? To list do wyimaginowanego dziecka, do Ciebie, Zenaido – nazwę Cię tak, ponieważ tak ma na imię jedna z najbliższych przyjaciółek Jovi, kobieta z plemienia Tlapaneca, nielegalna imigrantka i aktywistka mieszkająca obecnie w Nowym

Jorku. Do tego potwornego gwałtu w dżungli naprawdę doszło i tak się narodziłaś, Zenaido. Organizacje obrony praw człowieka oceniają, że blisko osiemdziesiąt procent mieszkanek Ameryki Środkowej, które docierają przez Meksyk do amerykańskiej granicy, pada ofiarą gwałtu oraz innych form przemocy seksualnej, niemal zawsze w okolicznościach podobnych do tych opisanych przez Axela. Wiele z nich przygotowuje się zawczasu, stosując środki antykoncepcyjne, wszczepiając sobie implanty i biorąc zastrzyki, które chronią je przed ciążą przynajmniej na czas podróży, lecz nie wszystkie. W bestialstwie, którego słabsi doznają od silniejszych, nie ma nic nowego, jednak nikt nie doświadcza większych cierpień z rąk mężczyzn niż biedne kobiety z biednych krajów. Dla większości tych, które podróżują imigranckim szlakiem, wizyta w klinice aborcyjnej nie wchodzi w rachubę, nawet jeśli uda im się dotrzeć do USA. Tak, Zenaido, wyobrażam sobie, że Twoja matka cudem przeżyła i choć była zmaltretowana i rozbita, kontynuowała podróż. Nie śmiem jednak wyobrazić sobie ani tym bardziej opisać, a już na pewno nie w tym liście, co znaczy „rozbita”. Pomyślałem, że Twoim posłannictwem jest stanie się żywym wcieleniem

Dzieciątka Jezus, pewnie dlatego, że opowiedziano mi tę historię w Wigilię i skojarzyłem ją sobie z kazaniem księdza sprzed roku. Być może Twoja matka uznała, że nowe, kruche życie jej córki jest przedłużeniem jej niebezpiecznego życia, symbolem ucieczki od śmierci, i postanowiła kochać Cię do szaleństwa. Opowieść o Twoich narodzinach nie jest wyjątkowa; słyszałem już podobne. Mam znajomą, która adoptowała niemowlę poczęte z gwałtu. Dlatego wspominając bożonarodzeniowe kazanie jezuity, nie mogłem Cię nie wyczarować. Bo któż mógłby być bardziej bezbronny, kto mógłby bardziej potrzebować miłości i współczucia niż Ty?

Dlatego piszę ten list do Ciebie, Zenaido, i chociaż Ty pewnie nie istniejesz, to wiele Twoich wersji żyje naprawdę. Adresuję go także do innych dzieci i nastolatków, w tym tych, których znam. Mam na myśli moich podopiecznych z zajęć pozaszkolnych w Still Waters in the Storm, schronisku dla dzieci imigrantów w brooklyńskim Bushwick, zwłaszcza grupę dziewcząt, które od kilku już lat mam zaszczyt i przyjemność uczyć raz w tygodniu kreatywnego pisania; zaczynały jako siedmio- i ośmiolatki, a teraz mają po dziesięć

i jedenaście lat. Na początku listopada dostałem maila z prośbą o datek na schronisko, list ze zdjęciem Jannethy, jednej z tychże dziewczynek, trzymającej plakat z napisem: JESTEM ZDENERWOWANA I SMUTNA, BO DONALD TRUMP JEST BLISKI WYGRANIA WYBORÓW. JEŚLI WYGRA, DEPORTUJE WSZYSTKICH MEKSYKANÓW, PONIEWAŻ LICZY SIĘ RASA. Myślę również o nastolatkach, głównie Majach i Gwatemalczykach, nowych imigrantach, których poznałem kilka miesięcy temu w New Bedford w Massachusetts, naszym największym porcie rybackim – to tam zaczyna się *Moby Dick* – na spotkaniu w siedzibie założonego przez gwatemalskich aktywistów związku zajmującego się ochroną praw imigrantów z Ameryki Środkowej oraz innych robotników, legalnych i nielegalnych. Spotkanie zorganizowano, żeby przedstawiciel organizacji ochrony praw człowieka, który przyjechał z Gwatemali, mógł wyjaśnić zebranym, w jaki sposób badania DNA mogą pomóc Gwatemalczykom mieszkającym obecnie w Stanach Zjednoczonych zidentyfikować zaginionych podczas trzydziestoletniej wojny domowej krewnych, których rozsiane po całym kraju szczątki wykopują nieustannie ekipy techników

patologów. Wojna skończyła się oficjalnie w 1996 roku traktatem pokojowym podpisanym przez przedstawicieli zwycięskiej armii i pokonanych partyzantów. Niedługo potem Organizacja Narodów Zjednoczonych opublikowała raport szacujący, że podczas działań wojennych zamordowano ponad dwieście tysięcy cywilów, że za dziewięćdziesiąt siedem procent tych zabójstw odpowiedzialne są wspierane przez USA gwatemalskie siły zbrojne i że według ONZ doszło tam do ludobójstwa. Kiedy wojna dobiegła końca, wielu Gwatemalczyków biorących udział w spotkaniu – nastolatków i dzieci, którym towarzyszyli rodzice – nie było jeszcze na świecie. Ale nawet jeśli ich krewni padli ofiarą masakr i represji – a na pewno tak było – nie chcieli o tym rozmawiać. Jovi i ja stwierdziliśmy to zaraz po spotkaniu, gdy część tych młodych ludzi podeszła do nas, by opowiedzieć o swoich przeżyciach. Podobnie jak Axel, większość z nich odbyła przerażającą podróż przez Meksyk i ich opowieści były równie koszmarne jak jego.

Wszyscy młodzi imigranci, o których wspomniałem – Wy, którzy możecie nie istnieć, i Wy, którzy na pewno istniejecie – muszą teraz stawić czoło niebezpieczeństwom prezydentury Donalda Trumpa bez względu na to, jak długo

przyjdzie nam ją znosić. Nie ulega wątpliwości, że w gruzach legnie życie wielu rodzin i pojedynczych ludzi, tak jak życie Axela. Wiele zła już wyrządzono. Ilekroć wyobrażam sobie, że jestem ojcem młodego człowieka, którego stan ducha i poczucie własnej wartości Trump naruszył lub zburzył swoimi rasistowskimi diatrybami, pogróżkami o masowych deportacjach, nazistowskimi opaskami i rejestrami, odrażającym poniżaniem kobiet, falą prześladowań rasowych podsycanych zalegalizowaniem mowy nienawiści, którą wzbudził jego fenomen, czuję, że wzbiera we mnie głęboka, jakże przerażająca agresja. To nieuniknione, choć nikt się do tego nie przyznaje, tak jak nikt nie twierdzi, że te gwałtowne emocje mogą zaowocować czymś dobrym albo że są godne podziwu, choć nie zawsze są one zupełnie bezużyteczne, bo przecież mogą nami wstrząsnąć i nas przerazić, zmusić do poszukiwania wartościowszego ujścia dla gniewu i strachu. Prawda?

Od czasów Hitlera żadnym większym zachodnim krajem nie rządził ktoś tak nietolerancyjny jak Trump, ktoś tak jak Hitler niezrównoważony emocjonalnie i psychicznie. (Bez względu na to, czy uznajecie Włochy za

mocarstwo, czy nie, Berlusconi, tak jak Trump chciwy i zdeprawowany, w porównaniu z naszym nowym prezydentem był tylko neofaszystowskim błaznem, postacią o wiele mniej groźną i o wiele bardziej komiczną niż pozbawiony poczucia humoru, wiecznie ponury Trump). Musimy jednak pamiętać, że Hitler doszedł do władzy w zupełnie innych okolicznościach historycznych i cieszył się olbrzymim poparciem wyborców.
W przeciwieństwie do Trumpa, który miał po prostu szczęście. Wszyscy wiemy dlaczego. (Rosjanie, Comey; młodzi ludzie różnych kolorów skóry, łącznie z białymi, głosowali przeciwko niemu, jednak zbyt wielu z nas, wyborców w różnym wieku i różnego pochodzenia etnicznego, postanowiło zostać tego dnia w domu, a równie wielu uznało, że demokraci wystawili złego kandydata. I tak dalej, i tak dalej). Zanim osiągniesz czynny wiek wyborczy, Zenaido, Trump będzie tylko nieprzyjemnym, odległym wspomnieniem, choć mam nadzieję, że ktoś Ci wytłumaczy, jaki punkt zwrotny sobą reprezentował. Jego zwycięstwo było arogancką manifestacją przekonań wyraźnej mniejszości Amerykanów, ostatnim bastionem, rozpaczliwym napadem złości białych

supremistów, starych sklerotycznych nacjonalistów, ucieleśnieniem mocarstwowych mitów od lat leżących u podstaw polityki naszego kraju, i jawnym nadużyciem władzy. Ale patrząc w przyszłość, Zenaido, wiemy, co będzie dalej. Od chwili wygranej Trumpa wielu z nas zaczęło szukać sposobów na pokonanie strachu i odrazy, myśleć, wyobrażać sobie i w końcu działać, aby nasz kraj stał się krajem, w którym chcemy żyć, który reprezentuje nas znacznie lepiej niż ten z 2016 roku, krajem, który nie wyklucza nikogo z wyjątkiem tych dążących do zinstytucjonalizowania ostracyzmu i nienawiści.

Dość zabawnie było patrzeć, jak eksperci z elitarnych mediów stają na głowie, aby nas przekonać – „nas", a tak naprawdę siebie samych – że to nie rasizm zdecydował o wygranej Trumpa. PRZYKRO NAM, PANOWIE LIBERAŁOWIE. TO NIE BRAK TOLERANCJI WYBRAŁ DONALDA TRUMPA – tak brzmiał nagłówek strony z komentarzami i felietonami we wczorajszym wydaniu „New York Timesa". W tym samym wydaniu przeczytałem jednak raport, według którego to właśnie kwestia imigrantów – i tylko ona – zapewniła Trumpowi przewagę w Kolegium Elektorów. Aha, rozumiem: nietolerancja nie ma z tym nic

wspólnego, tak? Oczywiście wielu z nas jest odpornych na hermetyczną paplaninę ekspertów politycznych w amerykańskich mediach; instynktownie czujemy, co się stało, widzimy, co się dzieje w naszych rodzinach i społecznościach. Przykro nam, panowie, naprędce powołani eksperci, ale jeśli tak potulnie popieracie kandydata, który otwarcie propaguje rasistowską mowę nienawiści, jesteście jego wspólnikami, bez względu na to, co macie do powiedzenia. Czy nie dorośliśmy w kraju, w którym rodzice, nauczyciele i przywódcy religijni uczyli nas (podobno), że rasizm jest czymś złym? Czyżby żadna z tych nauk nie miała znaczenia? Co ciekawe, tego samego dnia „Times" opublikował na pierwszej stronie raport śledczy, który obalił kolejny mit Donalda Trumpa, całą winą za pograniczne bezprawie obarczającego „*hombres* spod ciemnej gwiazdy", których łatwo zatrzymać, wznosząc mur. Artykuł ujawnił, że kartele narkotykowe i przemytnicy imigrantów do cna skorumpowali amerykańskie władze graniczne. Ojciec Alejandro Solalinde, znany meksykański aktywista, powtarzał to od samego początku: żaden mur, bez względu na to, jak wielki i szkaradny, nie będzie w stanie skontrolować tego, kto i co przekracza granicę. To zależy

wyłącznie od przestępczych karteli, które nieograniczoną wprost zdolność do korumpowania czerpią z nienasyconego rynku na narkotyki po amerykańskiej stronie oraz z amerykańskiego apetytu na handel bronią i związane z nim zyski. Kim byli Los Zetas, którzy omal nie zamordowali Axela po teksaskiej stronie granicy? Jak się tam dostali? Komu służą?

Czytając *Historię zaginionej dziewczynki*, ostatnią część wspaniałego cyklu neapolitańskiego Eleny Ferrante, natrafiłem na taką oto refleksję: *W zamożniejszych krajach zwyciężyła miernota, która ukrywa potworności reszty świata*. Zrozumienie tej miernoty, Zenaido, jest kluczem do prawdy o Trumpie, do obrony własnej i wzniesienia się wysoko ponad kłamstwa, oszczerstwa i groźby, jakie kierowano pod Waszym adresem przez koszmarne miesiące ostatniej kampanii wyborczej. Miernota jest pod pewnym względem jeszcze gorsza niż zło. Zło ma plan: można wymachiwać nim zręcznie jak zatrutym nożem. Zło może kupić sieć telewizyjną, polityków, a nawet wyborców. Zło umie zarabiać codziennie miliardy dolarów i dzielić je między nielicznych. Zło potrafi nawet zgwałcić czy napastować seksualnie kobietę, chwalić się tym, a potem się tego wyprzeć,

doskonale wiedząc, że ochroni je bogactwo, przywileje i bezkarność. Natomiast miernota jest leniwa i tchórzliwa, bardziej powszechna niż zło – jest dosłownie wszędzie! I utoniemy w niej, jeśli jakimś cudem zapomnimy – wierzę, że nie – jak się wstaje z kolan.

Żeby wznieść się ponad wrogów – mam tu na myśli Trumpa i każdego, kto zechce Cię skrzywdzić lub poniżyć w imieniu skazanego na klęskę ruchu politycznego białych nacjonalistów, który Trump reprezentuje – Ty, Zenaido, oraz Twoje nieco starsze siostry i bracia, do których się także zwracam, musicie zrozumieć, kim jesteście, skąd pochodzicie, skąd przyszli Wasi rodzice, dlaczego opuścili swój kraj i dlaczego kraj ten jest w tak opłakanym stanie. Musicie znać swoją historię, tylko tyle. Prawdopodobnie już ją znacie, na pewno rozumiecie to wszystko lepiej niż ja, jednak gdyby było inaczej, gdyby pod wpływem bardziej palących spraw historia ta Wam umknęła, opowieści, które zamieściłem w tym liście – ta o Axelu, o Twojej matce i ojcu, o Jannethy i dzieciach z New Bedford – doskonale zilustrują to, co chcę powiedzieć, i najpewniej nie muszę tłumaczyć nic więcej. Wasi rodzice, a potem Wy uciekliście z krajów pustoszonych przez finansowane przez USA, historycznie

niesprawiedliwe geopolityczne „wojny zastępcze”, wymierzone nie tylko w buntowników i pokojowo nastawionych dysydentów politycznych, lecz także w bezbronnych cywilów. W Gwatemali, Salwadorze, a zwłaszcza Hondurasie – Nikaragua jest przykładem innego rodzaju katastrofy – delikatna tkanka społeczna i demokratyczne instytucje polityczne, tam gdzie w ogóle istniały, zostały skorumpowane, zniszczone i zastąpione przez jeszcze bardziej ekstremalną kulturę nędzy, przemocy i zbrodni, zdominowane przez zdeprawowane gangi uliczne, przestępcze rządy oraz jeszcze bardziej tym wzmocnione i od zawsze tam obecne elity gospodarcze. Meksyk, w każdym razie znaczna jego część, jest obecnie w jeszcze gorszym stanie. Możemy lubić prezydenta Obamę – zgoda, jest w nim co podziwiać, choć nie bez powodu zyskał przydomek Głównego Deportera – jednak głównym powodem, dla którego Axel i wielu innych musiało odbyć tę długą, niebezpieczną podróż i zboczyć do dżungli, aby ominąć posterunki obsadzone przez funkcjonariuszy policji kryminalnej, był jego Plan Sur, który powierzał niemal całą kontrolę graniczną skorumpowanym władzom meksykańskim,

przekazując im miliony dolarów na tropienie i deportowanie – a tak naprawdę na polowanie, gwałcenie, rabowanie, wymuszanie i mordowanie – imigrantów z Ameryki Środkowej. Rząd USA chciał w ten sposób uniknąć wstydu, jaki sprawiłyby mu na granicy setki tysięcy uchodźczych dzieci uciekających od przemocy i biedy w tych samych krajach, które obdarzyliśmy „demokracją", by następnie, w latach osiemdziesiątych, zmienić je w jedno wielkie cmentarzysko. (Nie tylko ja tak twierdzę. Przeczytajcie choćby komentarze Nicholasa Kristofa w „New York Timesie" na temat Planu Sur i kryzysu imigranckiego).

Tak się składa, że jestem synem imigrantki Yolandy Moliny Hernandez, która, zgoda, nie musiała odbywać długiej podróży z Ameryki Środkowej, ale która przez wiele lat po cichu znosiła upodlenie, jakie zafundował jej stan Massachusetts, i która ani na sekundę nie dała synowi zapomnieć, że *eres guatemalteco también, hijo*. I syn nigdy o tym nie zapomniał. Można powiedzieć, że pamięć w dużym stopniu uwarunkowała jego dorosłe życie. Latem, podczas corocznej podróży do Gwatemali, odwiedziłem kilka miast w departamencie Quiché, skąd pochodzi wielu imigrantów z New

Bedford. Jednym z tych miast jest Zacualpa. Poczynając od 1981 roku, gdy liczyło osiemnaście tysięcy mieszkańców, gwatemalskie wojsko dokonało w nim tylu masakr, że w roku 1983 mieszkały tam jedynie dwie rodziny. Reszta albo zginęła, albo uciekła. W klasztorze żeńskim mieszczącym się na terenie miejscowego kościoła parafialnego wojskowi urządzili izbę tortur. To właśnie dlatego, jak ustalił Jean-Marie Simon, śledczy, fotografik i bojownik o prawa człowieka, powracający do miasta uchodźcy nie chcieli chodzić na mszę w tym kościele, uważając, że zawładnął nim szatan. W 1984 roku Jean-Marie spisał zeznania mężczyzny, który do niedawna tam mieszkał: *Początkowo zabijali ludzi w klasztorze, gdzie nikt tego nie widział. Ale potem zaczęli ustawiać ich pod drzewem na rynku i rozstrzeliwać na oczach każdego, kto tamtędy przechodził. Raz strzelali z góry, z powietrza: latało tyle kul, że moja ciotka powiedziała, że z nieba pada fasola*.

Do Zacualpa towarzyszyli mi Jean-Marie i Jovi. Znaleźliśmy się w mieście, które upamiętnia dzisiaj tragedię sprzed trzydziestu lat i jest praktycznie martwe, choć próbuje stawić czoło wyzwaniom dnia dzisiejszego. Kościół jest znowu ruchliwym ośrodkiem skupiającym

miejscową społeczność, a w klasztorze urządzono zapadające w pamięć sanktuarium poświęcone ofiarom, które tu torturowano, mordowano, a nawet grzebano. W budynku parafialnym siostry zakonne otworzyły centrum pomocy dla rodzin tych, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Za pośrednictwem sieci organizacji i biur w Meksyku i USA można tam zlokalizować zaginionych krewnych, a przynajmniej spróbować. Siostry rozdają mapy Meksyku z zaznaczonymi miejscami, gdzie emigranci mogą znaleźć pomoc i schronienie, oraz broszury i dokumenty z pożytecznymi wskazówkami i ostrzeżeniami. Żony i matki pozostawione przez mężów i synów, którzy wyjechali do USA, odbywają tam spotkania; założyły także kółko rzemieślniczo-tkackie. W całym mieście – we wszystkich pierwszych, a nawet drugich piętrach dobudowanych jak klocki Lego do starych, malowniczych parterowych domów – widać oznaki względnego ożywienia gospodarczego, napędzanego pieniędzmi ze Stanów Zjednoczonych wysyłanymi przez tych, którzy znaleźli tam schronienie. Miasto jest wciąż biedne, jednak dzięki ciągłemu strumieniowi pieniędzy *remisa* żyje się tam lepiej niż podczas wojny. Jak

zauważył Jean-Marie, w Zacualpa i podobnych miejscowościach nie widuje się już dzieci, którym z niedożywienia wypadają włosy. Widzi się natomiast zaskakująco dużo nowych pick-upów z nalepkami ze Statuą Wolności i amerykańską flagą na zderzaku czy przedniej szybie. W dalekim New Bedford wielu imigrantów z Zacualpa znalazło zatrudnienie w historycznym porcie, w starych zakładach przetwórstwa rybnego; w zimnie, wilgoci i smrodzie wykonują krwawą, ciężką i ponurą pracę, taką, której podobno nie chcą amerykańscy robotnicy. W holu zakładu, który odwiedziłem, stoi mistrzowski puchar zdobyty przez miejscową drużynę piłkarską sponsorowaną przez tenże zakład, a na przytwierdzonej do pucharu plakietce widnieje jej nazwa: Klub Piłkarski Zacualpa. To właśnie tu, w New Bedford, w marcu 2007 roku ICE przeprowadziła niechlubny nalot na imigrantów zatrudnionych w fabryce tekstylnej Michaela Bianco, produkującej kamizelki kuloodporne dla amerykańskich żołnierzy walczących w Afganistanie i Iraku. Zatrzymano trzysta sześćdziesiąt jeden osób, głównie Gwatemalczyków: oddzielone od dzieci matki wysłano natychmiast do obozów dla

internowanych w dalekim Teksasie, a wiele deportowano. Miejscowa społeczność imigrancka poniosła wielką stratę, codzienna atmosfera niepewności jeszcze bardziej zgęstniała, jednak to właśnie wtedy ludzie zaczęli organizować się na niespotykaną przedtem skalę. Rocznicę nalotu upamiętnia się w kościołach i domach jako przypomnienie o ryzyku i trudach, które musieli znosić nielegalni imigranci z Gwatemali i innych krajów, i jako kolejne potwierdzenie słuszności powodów, dla których weszli na tę drogę. A powody te są oczywiste: pragnienie, by zarówno rodzinom mieszkającym w USA, jak i tym w ojczyźnie stworzyć szansę na godziwe życie i wyższe zarobki, zapewnić im możliwość zdobycia lepszego wykształcenia i lepszej pracy.

Niedaleko Zacualpa, na środku ronda w mieście Quetzaltenango, stoi olbrzymi posąg idącego na północ młodego, bohaterskiego mężczyzny z małym plecakiem na ramieniu, pomnik odsłonięty niedawno dla uczczenia odwagi i poświęcenia gwatemalskich emigrantów. Nieważne, co robi Trump – młodzi mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci będą nadal wyruszały do USA, choć większość z nich zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw czyhających w podróży przez Meksyk i po obu stronach

amerykańskiej granicy. Ponieważ nic nie jest nigdy aż tak proste, są również emigranci, którzy odczuwają presję, aby „zrobić, co trzeba”, i wyruszają na północ, choć tego nie chcą, którzy nie wiedzą, w co się pakują, albo tacy, których celowo wprowadzili w błąd pozbawieni skrupułów lichwiarze i ździercy przemytnicy. Ten konkretny posąg symbolizuje jednak prawdę, z którą zgadza się cała społeczność: podróż do Stanów Zjednoczonych jest aktem bohaterstwa, dlatego że odbywa się ją w imieniu innych, rodzin i całych społeczności. Podróż tę odbyła Twoja matka, Zenaido, bez względu na to, jak potoczyły się jej dalsze losy. Może to dziwne, lecz wierzę, że Tobie się udało, że dorośniesz, czując się jak czyjś skarb, świadoma, że jesteś ucieleśnieniem znaczenia tej długiej wyprawy, że wiedza o tym nie tylko Cię nie przygniotła, lecz wręcz wzmocniła.

Stephen Haff, założyciel i dyrektor cudownego schroniska Still Waters, stworzył ostatnio nowy projekt. Jego podopieczni tłumaczą na angielski *Don Kichota*, wplatając w przekład historie swoich rodzin. Włączanie ich w treść tej epickiej powieści o odwadze, walce, żarliwości, szaleństwie i fantastycznych przemianach jest doskonałym sposobem na

zrozumienie ich życia, a nieustanne jej poszerzanie i wzbogacanie o nowe wątki nadaje dziełu bardziej uniwersalny kształt i przewrotnie je amerykanizuje. Zenaido, Jannethy, piękni, sponiewierani przez życie nastoletni bohaterowie, których poznałem w New Bedford, oraz ty, Axelu, bez względu na to, czy uda Ci się wrócić do Stanów i swoich dzieci: Wasze historie będą żyły wiecznie. Zmieniając swoje życie, Wy i Wasze rodziny powoli zmieniacie ten trudny kraj. Nikt nie zasługuje na wysłuchanie, troskę i podziw bardziej niż Wy.

OTWÓRZ SIĘ
Celeste Ng

Mój kochany chłopcze

Jesteś takim miłym dzieckiem. Byłeś miły od urodzenia. Słysząc płaczące w przedszkolu inne dzieci, sam też zaczynałeś płakać, nawet kiedy Twoja ulubiona przedszkolanka brała Cię na kolana. Prosiłeś, żebym, czytając Ci bajki, omijała strony, gdzie jest mowa o jakichś problemach: kiedy pod Złotowłosą rozpada się krzesło Małego Misia, kiedy Kłapouchemu odpada ogon i kiedy Max straszy matkę, że ją zje. Słuchanie o czymś takim było dla Ciebie zbyt bolesne. Nawet dzisiaj, kiedy masz sześć lat, w takich chwilach chowasz czasami twarz w moim ramieniu. To jedna z rzeczy, które u Ciebie najbardziej kocham: masz wielkie serce.

Ale to wielkie serce sprawia, że jesteś podatny na zranienie. Kiedy czegoś jest zbyt dużo – zbyt dużo lęku, zbyt dużo bólu, zbyt dużo emocji – próbujesz się skurczyć, schować. Zawsze lubiłeś żółwie i wydaje mi się, że wiem dlaczego: podobnie jak one, w obliczu kłopotów jesteś skłonny chować się w swoim wnętrzu. Tyle że, mój słodki chłopcze, nie nosisz na plecach skorupy, więc deszcz, kamienie i ciernie i tak Cię znajdą: nawet zwinięty w kłębek, jesteś tak samo wrażliwy na zewnątrz jak w środku.

Nie stanowiło to na razie problemu, bo mieszkamy w niezwykłym miejscu. Jest chyba najbardziej zbliżone do świata, w którym chcę, żebyś zamieszkał: miłego, serdecznego i nierestrykcyjnego. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jest niezwykłe. Tyle rzeczy w Twoim życiu (to że obchodzisz Dzień Rdzennych Ludów, a nie Dzień Kolumba, że ferie w Twojej szkole urządza się z okazji Wielkanocy, Rosz Haszany i końca ramadanu, że przy naszej przecznicy mieszka pięć mieszanych małżeństw) różni się od tego, co dzieje się na ogół w naszym kraju. Dla Ciebie są tak samo naturalne i banalne jak fakt, że Twój kolega Harper ma mamę i mamusię, że Twój kolega Christopher lubi wkładać sukienki, że Twoje koleżanki mają na

imię Hannah, Tigerlily i Amadou i że ich rodzice przychodzą po nie w hidżabach, garniturach, bluzach z kapturem albo – w jednym przypadku – z tatuażami na rękach.

Twój ojciec i ja postanowiliśmy Cię tu wychowywać, bo chcieliśmy, żebyś poznał wiele osób, które się od Ciebie różnią. I poznajesz je. Dlatego czasami zadajesz zasadnicze pytania, a ja próbuję na nie udzielić zasadniczych odpowiedzi, w na tyle prostych słowach, żebyś je zrozumiał. Załatwialiśmy jakieś sprawy na mieście, kiedy zapytałeś nagle „Kto to jest gej?". Usłyszałeś to w radiu w samochodzie: właśnie zalegalizowano gejowskie małżeństwa i niektórym ludziom się to nie spodobało. Wyjaśniłam, że coś takiego ma miejsce, kiedy mężczyźni kochają mężczyzn i kobiety kochają kobiety, i że niektórzy tego nie akceptują. „Moim zdaniem nie ma w tym nic złego", odparłeś, wysuwając wojowniczo podbródek. Innym razem zobaczyłeś na mojej bluzie napis FEMINISTKA i zapytałeś, co to znaczy, a ja odpowiedziałam, że to ktoś, kto uważa, że kobiety są tak samo dobre jak mężczyźni. „Dlaczego mieliby uważać inaczej?", zapytałeś autentycznie zdziwiony, po trwającym całą minutę namyśle. Kiedy indziej zapytałeś, co

znaczy, że ktoś jest czarny albo biały, i wyjaśniłam Ci to, dodając, że zdaniem niektórych ludzie o ciemniejszej skórze, tacy jak Ty i ja, nie są tak samo dobrzy jak ludzie o jaśniejszej karnacji, tacy jak tato. „To nie jest w porządku”, odpowiedziałeś z przyganą w głosie. Wiem, wiem, odparłam i byłam z ciebie taka dumna, choć wszystko to mogło Ci się wydawać bardzo dziwaczne.

Ale nawet my nie żyjemy w szklanej bańce. Wiedziałam o tym oczywiście, lecz w ostatnich tygodniach byłam zmuszona kilka razy uświadomić to sobie ponownie. Mniej więcej tydzień po wyborach dwaj obcy przewrócili niedaleko nas starszą panią, krzycząc „Nie głosowałaś na Trumpa!”. W oknie sąsiedniego domu był zawieszony plakat wyborczy Clinton i napastnicy uznali, że to ona go umieściła. W wiadomościach w całym kraju pełno było podobnych historii. Wkrótce zdasz sobie sprawę, jak wiele jest podłości na świecie, nawet w naszym mieście, i czasami żałuję, że nie mogę dać Ci żółwiej skorupy albo przynajmniej grubej skóry nosorożca, żeby chroniła Cię lepiej niż miękka skóra dziecka.

Ale kiedy boję się trochę mniej, chcę Ci powiedzieć, co następuje: nie staraj się

wyhodować żółwiej skorupy. Nie daj się przekonać, że bezwzględność jest czymś dobrym.

Tyle ostatnio słyszymy o zamykaniu granic przed ludźmi, o deportowaniu innych, o budowaniu realnych murów, które mają ich powstrzymać. Słyszymy, jak pewne osoby – ubiegające się o stanowiska rządowe – wyśmiewają tych, którzy są w potrzebie, którzy są niepełnosprawni, którzy ośmielają się przyznać, że o coś walczą, że coś ich boli albo że zostali skrzywdzeni. Pod pewnymi względami byłoby pewnie łatwiej zbytnio się tym nie przejmować, byłoby łatwiej, gdyby ból, strach i smutek odbijały się od nas jak pociski od piersi Supermana. Ale skorupy – i mury – mają to do siebie, że zatrzymują również wiele dobrych rzeczy. To prawda, bycie otwartym naraża nas na zranienie, ale zostawia również miejsce na życzliwość, łagodność i współczucie.

Kiedy indziej powiedziałam Ci, że dewizą naszej rodziny jest *Bądź życzliwy*, *bądź ciekawy*, *bądź pomocny*. Życzliwość i gotowość pomagania zrozumiałeś od razu. „Ale dlaczego mamy być ciekawi?” – zapytałeś po chwili.

Bo ciekawość świadczy o tym, że o czymś nie wiemy, ale chcemy się tego dowiedzieć. Że to, czego nie wiemy, jest warte poznania. Że ludzi,

których nie znasz, warto poznać, że można się od nich czegoś nauczyć. Że poznawanie ich – poznawanie nowych idei – nie zagraża Ci, lecz Cię wzbogaca. Że warto doświadczyć tego, czego się nie doświadczało. Że podchodzisz do świata jak do skrzyni ze skarbami, które trzeba poznać, a nie jak do czegoś, przed czym trzeba się z lękiem odgrodzić. *Bądź życzliwy, bądź ciekawy, bądź pomocny*: jednym słowem *Otwórz się*.

To będzie bardzo ważne przez następnych kilka lat, ale prawdę mówiąc, wykracza poza te wybory, poza tę nową administrację, bez względu na to, co po niej nastąpi. Chodzi o to, jakiego rodzaju człowiekiem, mam nadzieję, się staniesz, w jakiego rodzaju kraju, mam nadzieję, będziesz mieszkał, jakiego rodzaju świat, mam nadzieję, pomożesz stworzyć.

Więc pozwól, że powiem Ci jeszcze jedno. To coś, co powtarzam sobie sama, kiedy mam do czynienia z nienawiścią i strachem, coś, o czym, mam nadzieję, będziesz pamiętał w tej nowej epoce i zawsze. Każda rozmowa, którą odbyliśmy – o byciu gejem, o byciu feministką, o byciu białym albo czarnym – kończyła się tym samym pytaniem. „Ale dlaczego ludzie tak myślą?” – dziwiłeś się za każdym razem i za każdym razem udzielałam Ci tej samej odpowiedzi: „Bo się boją.

Bo to różni się od tego, w co wierzyli, dorastając. Bo to jest coś nowego, a nowe rzeczy wydają się czasami groźne”. Tak było, kiedy po raz pierwszy pływałeś, wyjaśniam, po raz pierwszy próbowałeś się wspinać albo pierwszy raz leciałeś samolotem. Nie robiłeś tego wcześniej i wydawało Ci się, że to coś strasznego. „Ale potem zobaczyłem, że nie jest”, odpowiadasz, a ja mówię na to: „No właśnie!”.

KILKA MYŚLI DLA ROSCOE

Peter Orner

Mój syn Roscoe urodził się dwudziestego drugiego października 2016 roku. Imię otrzymał na cześć Roscoe Conwaya, tytułowego bohatera powieści Williama Kennedy'ego *Roscoe* z 2002 roku. To ulubiona powieść mojego brata, a to on nadaje imiona wszystkim moim dzieciom. Phoebe dostała imię na cześć ukochanej (jedynej?) siostry Holdena. Nasza rodzina zawsze pokładała nieuzasadnioną wiarę w literaturze. Roscoe Conway jest przyzwoitym, niezmiernie ujmującym – choć doszczętnie skorumpowanym – politykiem w Albany w stanie Nowy Jork w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Narodziny imiennika Roscoe Conwaya nie były łatwe. Tuż przed porodem akcja serca naszego Roscoe osłabła. Po niespokojnych trzydziestu minutach przyszedł na świat. Milczał. Całkowicie.

Jest moim drugim dzieckiem. Znałem przebieg wydarzeń, przynajmniej tak mi się zdawało. Wślizgnął się w ręce położnej, cały czerwony, zakrwawiony, stłamszony. Oddychałem i czekałem. Rozumiecie? Czekałem, aż on… ale nic. Zero. Żadnego krzyku. Ani śladu płaczu. Nawet cichego jęku. Zamiast podać go Katie, położna podała Roscoe lekarzowi – wezwanemu z powodu zwolnionej akcji serca – a ten natychmiast zaniósł go na stół w kącie sali porodowej i zaczął podawać tlen z małego ręcznego respiratora. Lekarz zaczął też pstrykać w stopy Roscoe palcem wskazującym. Stojąca obok pielęgniarka zaczęła robić to samo. Palcem trącała stopy mojego syna. Wiecie, co mam na myśli? W liceum możecie postępować podobnie, gdy chcecie obudzić kolegę w ławce przed wami, który się zdrzemnął. Kiedy taki zabieg go nie zbudzi, łączysz palec wskazujący z kciukiem i tym razem naprawdę kurewsko pstrykasz. Właśnie tak pstrykali w stopy mojego syna. W te purpurowe stópki, które nigdzie nie chodziły, nie wiedziały nawet, że są stopami i mają cel. Pstrykali prawie gniewnie. Stałem oniemiały. To ma być nowoczesna medycyna 2016 roku? Pstrykanie w stopy? Spojrzałem na leżącą w głębi sali Katie, którą zajmowały się pielęgniarki. Była

oczywiście wyczerpana, szczęśliwa i oszołomiona; czuła ulgę. Pomachałem, by zwrócić jej uwagę, i powiedziałem bezgłośnie:

– Coś jest nie tak. Naprawdę coś jest nie w porządku. Pstrykają go w stopy, jakby…

Wiecie, co powiedziała? Wyczerpana, oszołomiona, powiedziała najspokojniej w świecie:

– Mów do niego. On zna twój głos. Mów do niego.

Nie jestem z tego dumny, ale zapytałem bezgłośnie:

– O czym?

Na stole leżał ten malec, trącali jego stopy, ale on nadal nie reagował, nie krzyczał; był moim synem, rodzonym dzieckiem, którego wiek liczyło się w sekundach, minutach, a ja nie miałem pojęcia, co mu powiedzieć. Czy to się mieści w głowie? Sam w to nie wierzę. Taka jest jednak prawda o najgorszej dotychczas chwili mojego życia. Był moim synem, a już wstydziłem się, że nie zachowuje się jak normalny dzieciak. Wstydziłem się, że nie krzyczy, że ledwo oddycha. Że trzeba mu pomagać w oddychaniu.

– Roscoooeee – zaszczebiotała Katie z drugiego końca sali. – Roscoooeee.

Chłopczyk obrócił główkę w stronę głosu. To była pierwsza rozumna czynność, jaką wykonał. Pierwsza czynność w życiu. Naprawdę znał jej głos. Nie jestem zbyt sentymentalnym człowiekiem. Tyle już chyba wiadomo. Ale powiem: to była najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Rozpoznał głos matki. Następne trzy dni spędził na oddziale intensywnej terapii noworodków. W nosie miał rurki. Wyglądał jak nurek. Teraz wrzeszczy nieustannie, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Co nie znaczy, że jest mi to obojętne. Odbieram te krzyki inaczej, ponieważ świadczą o tym, jak daleko już zaszedł i – kto wie? – może jeszcze zajdzie.

Ostatnio sporo jest rozpaczy. Sporo nawoływania. Niemało histerii w mediach społecznościowych. Rozmowom towarzyszy minorowy, katastroficzny nastrój. Bóg wie, że sam sobie na to pozwalam. Wszelkie porównania wydają się niedostateczne. Chciałoby się powiedzieć: to też minie. Wiem jednak, że tak się nie stanie. To coś naprawdę innego, bez precedensu. Te wszystkie oczywistości! Jestem tak zmęczony mówieniem oczywistości, a mimo to, proszę, znowu je wypowiadam. Chcę powiedzieć, że to musi podziałać jak pobudka,

ale już teraz wprawia mnie w zdumienie swoiste poczucie samozadowolenia. Niedawno mój znajomy pisarz, który zarzeka się, że nie jest rasistą, powiedział mi: „Posłuchaj, dajmy szansę prezydentowi elektowi. On przynajmniej wstrząśnie tym krajem”. Właśnie takim ludziom się sprzeciwiamy. Nie jawnym rasistom. Sprzeciwiamy się ludziom, którzy twierdzą, że nimi nie są. Którzy naprawdę wierzą, że rasizm jest jedynie środkiem do celu. Zachęciłem znajomego, by ponownie przeczytał – zakładałem, że kiedyś to robił – *List z więzienia w Birmingham* Kinga. Mój znajomy odparł: „Uwielbiam tę historię!”.

Może właśnie do tego się to sprowadza. Żarliwa prośba Kinga skierowana do tak zwanych umiarkowanych białych, aby w imię Jezusa, w imię ludzkości zdobyli się na rozsądek moralny – ta prośba jest tylko historią.

Tylko historią?

Cholera, niech i tak będzie. Ja żyję historiami. Teraz bardziej niż kiedykolwiek trzymam się kurczowo historii jak ta Kinga. Może uznacie, że to w niedobrym guście, ale zeszłej nocy, chcąc uhonorować tę historię, przeczytałem *List z więzienia w Birmingham* – parę lat wcześniej widziałem, jak na scenie robi to Anna Deavere

Smith – mojej usypiającej sześcioletniej córce. Początkowo protestowała, bo wolała raz jeszcze posłuchać *The Princess in Black and the Hungry Bunny Horde*, ale w końcu uśpiłem ją muzyką słów Kinga.

> Zjeździłem wzdłuż i wszerz Alabamę, Missisipi i wszystkie inne stany południowe. W upalne letnie dni i rześkie jesienne poranki patrzyłem na piękne kościoły Południa z wieżami skierowanymi w niebo. Widziałem imponujące kontury potężnych budynków edukacji religijnej. Raz po raz zadawałem sobie pytania: „Co za ludzie tutaj się modlą? Kto jest ich Bogiem? Gdzie były ich głosy, gdy z ust gubernatora Barnetta płynęły słowa o interwencji i wymazaniu? Gdzie byli, kiedy gubernator Wallace dał sygnał do buntu i nienawiści?”.

Wcześnie wpajam córce miłość do Kinga. Czy na dłuższą metę przyniesie to jakąś korzyść? Czy kiedykolwiek spojrzy na wysokie wieże kościołów i zada sobie pytanie, czy zewnętrzne piękno odpowiada modlącym się w środku ludziom?

Boże, taką mam nadzieję.

Zapisuję te myśli w kawiarni w Black Mountain w Karolinie Północnej. Przed chwilą

słyszałem, jak jeden facet pyta drugiego, jak mu idzie malowanie. Tamten odpowiedział pytaniem:

– Wiesz, jaki jest problem z malowaniem?

– Jaki?

– W porównaniu z nim cała reszta wygląda jak gówno.

Sporo w tych słowach mądrości. Nie jestem pewien, jakie mają zastosowanie do naszej aktualnej sytuacji, ale coś mi mówi, że mają. Że naprawa wyrządzonej szkody będzie wymagała czegoś więcej niż zamalowania? Że musimy odbudować dom w innym duchu?

Zobaczymy.

Zamierzam zawierzyć historiom. Najróżniejszym historiom. Historią jesieni 2016 roku będzie dla mnie zawsze dziecko liczące kilka minut, które walcząc o oddech, poznaje głos matki.

QUERIDÍSIMA PALOMITA: LIST DO MOJEJ PRAPRAPRAPRAPRAWNUCZKI

Cristina García

Muy querida nietecita!

Piszę do Ciebie około dwustu (albo więcej) lat przed Twoim narodzeniem. Wiele bym dała, żeby być przy Tobie albo przy narodzinach sześciu kobiet o wielkich sercach, które Cię poprzedziły. Dlaczego sześciu? Ponieważ próbuję sobie wyobrazić świat, Twój świat, za siedem pokoleń. Dlaczego o wielkich sercach? Ponieważ ufam długiemu rodowi kobiet, który wywodzi się od

Pilar Akiko Garcíi-Brown (ur. 1992), mojej pełnej blasku córki, a Twojej praprapraprababki. Gorąco wierzę, że wielkie serce jest cechą, którą można odziedziczyć i w pełni wykorzystać w życiu, podobnie jak inne cenne przymioty, takie jak szczodrość, duchowe piękno, kreatywność, poczucie humoru, delikatność, troska o innych, nadzieja, tolerancja, dociekliwość, zdolność przebaczania, siła, wrażliwość, motywacja, ciekawość, zmysłowość, żądza przygody, opiekuńczość oraz miłość do przyrody i wszelkich jej stworzeń.

Mogę Cię nazywać Palomitą? Właśnie tak, Gołąbeczką. Przynoszącą pokój. Po hiszpańsku w liczbie mnogiej – *palomitas* – to słowo oznacza „prażoną kukurydzę". Znasz hiszpański? A inne języki? Ostatnio dopuściłam do głosu swoje od dawna wypierane alter ego, które nazwałam Evą Perdíz, na cześć błyskotka szafirowego, ptaszka występującego na Kubie, gdzie się urodziłam. To zagrożony gatunek, jak wiele innych w naszym zaślepionym świecie. Jak wygląda Twój wszechświat, najdroższe dziecko przyszłości? Czy także jest zagrożony? Próbuję go sobie wyobrazić, ale to nie jest łatwe. Cywilizacje czasami długo żyją i z trudem umierają. Zmiany często następują gwałtownie, a nie stopniowo;

wojna, niestety, jest prostsza od pokoju. Czy takie bolesne zawirowania są niezbędne dla rozwoju? Czasami rozmyślam o tym, że druga wojna światowa skończyła się zaledwie siedemdziesiąt lat temu. Ludzie byli wtedy przekonani, że świat, jaki znają, przeminął. Dzisiaj ogarniają nas podobne, niepokojąco apokaliptyczne nastroje. A jednak przypominam sobie, że ludzkość żyła dalej po 1945 roku i w obliczu coraz większych okrucieństw odbudowywała świat.

Czy Twoja planeta jest gorętsza i bardziej wilgotna niż moja? Czy decyzje, którym się przeciwstawialiśmy, oraz te, które popieraliśmy, doprowadziły do powstania bardziej sprawiedliwego i kwitnącego świata? Czy w podręcznikach do historii czytałaś o naszych naznaczonych beznadzieją czasach? Czy u Ciebie wciąż istnieją książki? Mam nadzieję, że technologia Was nie zniewoliła, tak jak zniewala wielu z nas, upośledzając naszą koncentrację, sprawiając, że zaniedbujemy najbliższych i marnujemy czas na jej puste pokusy. Czy wciąż kierujecie się fazami Księżyca? Porami roku? Czy podmuchy wiatru chłodzą Wasze czoło? Zadaję te wszystkie pytania, ponieważ stanęliśmy u progu bardzo złych czasów, *querida nietecita*, a siły zniszczenia przygotowują się, aby

rozmontować i podeptać nasze podstawowe, z trudem wywalczone prawa. Dlaczego musimy zataczać kręgi i wciąż trafiać do punktu wyjścia? Powracać do tych samych świętych miejsc? Martwię się, co dzisiejsze zniszczenia będą oznaczały dla Twojego świata, za siedem pokoleń.

Czy uznajecie jakiekolwiek prawa za pewnik, kochana Palomito? Czy w Twoim świecie nadal jest obecna niesprawiedliwość? Ubóstwo? Nierówność? Rasizm? Jak mamy iść naprzód i zachować wiarę, że nasz postęp jest realny, nieodwracalny, że nie będziemy musieli wciąż na nowo toczyć tych samych bitew? A może właśnie taka jest natura obrony praw człowieka i dlatego nigdy nie będziemy ich mogli uznawać za pewnik, nawet przez chwilę. Ale przecież niektóre rzeczy powinny być oczywiste, nie sądzisz?

Czy oddychasz czystym powietrzem? Masz wodę nadającą się do picia? Możesz kochać, kogo chcesz, bez strachu i groźby dyskryminacji? Swobodnie spacerować ulicami? Wykonywać pożyteczną pracę i dostawać za nią godziwą zapłatę? Czy Twoje ciało jest Twoją własnością? Możesz decydować, czy chcesz rodzić dzieci? Czy Twoi bliscy i nieznajomi mogą bez przeszkód

przekraczać granice? Jak wygląda edukacja w Twoich czasach? Dzisiaj młodzi ludzie na uczelniach są nadmiernie obciążeni zobowiązaniami finansowymi. Wyobrażasz sobie, że można bez skrupułów czerpać zyski z czyjegoś pragnienia wiedzy i polepszenia swojego losu? Dzieli nas siedem pokoleń. Jak bardzo wszystko się zmieniło?

Tak, w moim świecie nie brakuje nieczułości, *dulce* Palomita, ale jest w nim także piękno. Kilka dni temu wybrałam się na długą przechadzkę po lesie niedaleko mojego domu. Po wieloletniej suszy w Kalifornii spadł rzęsisty deszcz; wezbrały strumienie i wszędzie pojawiły się grzyby – niektóre żółtopomarańczowe, inne ciemne i skórzaste – wyrosłe między pniami powalonych sekwoi – jakby uwędzone na słońcu, a zarazem miękkie jak Twój policzek. Patrzyłam na to wszystko jak zahipnotyzowana. Nasze światy dzieli siedem pokoleń. Czy cokolwiek z tego wciąż u Ciebie istnieje?

Konstytucja ludu Irokezów – czasami nazywana Wielkim Prawem Irokezów – głosi między innymi, że członkowie plemienia *zawsze mają na uwadze nie tylko przeszłość i teraźniejszość, lecz także nadchodzące pokolenia, nawet te, których twarze są jeszcze pod*

powierzchnią ziemi – przyszłych nienarodzonych. A jednak ja widzę Twoją twarz, Palomito, okrągłą i łagodną jak oblicze mojej córki. Nie jest łatwo zmienić świat, *corazón*. Zarówno w Twoich czasach, jak i w naszych. Jednak chciałabym, abyś nie przestawała próbować, *nietecita mía*, zachowując nasze najcenniejsze wartości, żyjąc przyzwoicie, godnie i z pasją, a zarazem zabiegając o taką możliwość dla wszystkich. Nie ustawaj w wysiłkach z myślą o siedmiu pokoleniach, które przyjdą po Tobie, a także o kolejnych, które nastaną po nich. *Sí*, życzę Ci przygód i bezpieczeństwa płynącego z miłości – a także liczę, że pomożesz podtrzymać łańcuch nadziei.

Posyłam do Ciebie w przyszłość całą swoją miłość
Tu abuelita Cristina

PS

HASŁA Z MARSZU KOBIET

21 stycznia 2017. Oakland, Kalifornia

NKSZ - NAJWIĘKSZY KŁAMCA W STANACH ZJEDNOCZONYCH!
GDYBY MOJA MACICA BYŁA KORPORACJĄ, TEŻ BYŚ NIĄ STEROWAŁ?
BURZ SIĘ, BURZ PRZECIWKO GASNĄCEMU ŚWIATŁU
NIE PRZESTAWAJ, KURWA, SZALEĆ
STARZY HIPPISI NIE UMIERAJĄ –
FUNDUJĄ SOBIE NOWE KOLANA I MASZERUJĄ DALEJ
ZNAM SIĘ NA PLAKATACH
ROBIĘ NAJLEPSZE: SĄ EKSTRA
WSZYSCY SIĘ Z TYM ZGADZAJĄ, WIERZ MI
VIVA LA VULVA
MOŻEMY I ZWYCIĘŻYMY
DLA CÓRKI NIE COFNĘ SIĘ PRZED NICZYM
TU BIJE SERCE KRAJU
CHCIELI NAS POGRZEBAĆ, NIE WIEDZĄC, ŻE GRZEBIĄ NASIONA
(MEKSYKAŃSKIE PRZYSŁOWIE)
WIDZIAŁEM PRZYSZŁOŚĆ I WIEM, ŻE ZWYCIĘŻYLIŚMY
NIECH RASIŚCI ZNOWU SIĘ BOJĄ
WALCZ BROŃ KOCHAJ
MORZA SIĘ BURZĄ, ALE MY TEŻ

MOJA WAGINA
MA DUŻO DO POWIEDZENIA
PIEPRZYĆ PATRIARCHAT
JESTEŚMY RUCHEM OPORU
TO MIŁOŚĆ, NIE NIENAWIŚĆ BUDUJE
WIELKĄ AMERYKĘ
DOBRA, MOJE PANIE, A TERAZ DO SZEREGU!
ZWYKLE NIE ROBIĘ PLAKATÓW, ALE WTF? REPUBLIKANIE?
OMG WTF?
POWSTAJEMY RAZEM
PLANETA B NIE ISTNIEJE
WIELKI KŁOPOT W MAŁYCH RĘKACH
JA JESTEM FEMINISTKĄ, A TY CZYM MI ZASZPANUJESZ?
SAMA BĘDĘ WALCZYŁA O DEMOKRACJĘ. WALCZ JAK DZIEWCZYNA
DONALD DUCK!
POTRZEBA NAM PREZYDENTA, KTÓRY CZYTA KSIĄŻKI
TO NIE DO WIARY, ŻE MUSIAŁAM ZROBIĆ TEN PLAKAT
NIKT NIE ODBIERZE NAM NASZYCH PRAW ANI NIE BĘDZIE NAS MACAŁ!
POWSTAŃCIE AMAZONKI!
DLA CIEBIE:
SZANOWNE
OKROPNE KOBIETY
POPIERAM JĄ, I JĄ,
I JĄ, I JĄ, I JĄ,
I JĄ, I JĄ, I JĄ,
I JĄ
NIET!
CIPKI TEŻ PROTESTUJĄ
NIE JESTEM TWOIM CZARNUCHEM
NIE ZADZIERAJ Z MOJĄ CIPKĄ ONA GRYZIE!
TA TRANS-CIPKA TEŻ GRYZIE
POWSTAŃMY RAZEM
ESTE PENDEJO
NO ME REPRESENTA
MOJA CHUSTA
NIE JEST BRONIĄ
NIECH AMERYKA ZNOWU ZACZNIE MYŚLEĆ
ZMIAN KLIMATYCZNYCH NIE ZACZESZESZ

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować każdemu i wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania tej książki. To, że mogłam być świadkiem Waszej błyskotliwości, szczodrości oraz wiary w człowieczeństwo i siłę słowa pisanego, było dla mnie zaszczytem i radością. Zainspirowaliście mnie bardziej, niż potrafię to wyrazić. Zawsze będę Wam wdzięczna nie tylko za to, że zgodziliście się wziąć udział w tym przedsięwzięciu, ale i za Waszą miłość, walkę i gotowość do czekającej nas pracy.

Chcę także podziękować mojej agentce literackiej Victorii Sanders, przede wszystkim za to, że poparła mój pomysł, kiedy się tylko narodził i był jeszcze mętny i nieuformowany. Dziękuję Bernadette Baker-Baughman, Chrisowi Kepnerowi i Jessice Spivey z agencji za ich talent i niezmordowaną pracę, a także Deirdre Smerillo za finezję i życzliwe wsparcie.

Kłaniam się nisko Carole Baron (mojej utalentowanej i niestrudzonej wydawczyni od dziewięciu lat), Sonny'emu Mehcie, Anne Messitte, Genevieve Nierman, Jennifer Marshall, Russellowi Perreaultowi, Barbarze Richard, Beth Lamb, Megan Wilson, Jaclyn Whalen, Tomowi Poldowi oraz pozostałym członkom zespołów redakcyjnych Knopf Doubleday Publishing Group i Vintage Books, którzy pracowali ciężko i pilnie, aby podarować światu tę książkę. Jestem również wdzięczna brytyjskiemu wydawnictwu Virago, szczególnie wizjonerskiej Sarze Savitt, za otworzenie dla nas drzwi.

Prywatnie pragnę podziękować mojej rodzinie za to, że pomogła mi skupić się na tym projekcie, zwłaszcza mojej żonie Pameli Harris i teściowej – dużo więcej niż teściowej – Margo Edwards. Oraz moim dzieciom, Lucianie i Rafaelowi. Ta książka jest dla wszystkich, lecz także dla Was – dla Waszego pokolenia, tych, którzy przyjdą po nas, dla świata, na jaki zasługujecie.

O AUTORACH

Elmaz Abinader jest autorką zbioru poezji *This House, My Bones*, uznanej przez Willow Books/Aquarius Press za najlepszy tom poezji w roku 2014. Napisała też *Children of the Roojme: A Family's Journey from Lebanon* oraz wiersze zawarte w tomie *In the Country of My Dreams*, uhonorowanym nagrodą PEN Oakland/Josephine Miles. Elmaz Abinader jest też autorką sztuk *Ramadan Moon, 32 Mohammeds* oraz *Country of Origin*. Współpracuje z Al Jazeera English, a jej utwory zostały zamieszczone w wielu antologiach. Jest współzałożycielką Voices of Our Nations Arts Foundation (VONA/Voices), warsztatów pisarskich dla kolorowych pisarzy. Wykłada w Mills College. Odwiedź jej stronę www.elmazabinader.com.

Faith Adiele jest autorką dwóch tomów wspomnień, *The Nigerian-Nordic Girl's Guide to*

Lady Problems oraz *Meeting Faith*, wyróżnionego nagrodą PEN/Open Book. Na podstawie jej autobiograficznej ksiażki *My Journey Home* nakręcono emitowany w sieci film dokumentalny o międzynarodowej rodzinie Faith Adiele. Współpracuje z czasopismami „The Rumpus", „O, The Oprah Magazine", „Transition" i „Yes!". Magazyn „Marie Claire" wybrał ją jako „jedną z pięciu kobiet, od których warto się uczyć". Prowadziła działalność społeczną, pracowała jako buddyjska mniszka, wykładała w Esalen Institute, VONA/Voices i w różnych częściach świata. Odwiedź jej stronę www.adiele.com oraz @meetingfaith.

Jeff Chang jest autorem *We Gon' Be Alright: Notes on Race and Resegregation*, *Who We Be: A Cultural History of Race in Post-Civil Rights America* oraz *Can't Stop Won't Stop: A History of the Hip-Hop Generation*, wyróżnionej American Book Award i Asian American Literary Award. Otrzymał stypendium literackie USA Ford, a „Utne Reader" umieścił go na liście „50 wizjonerów, którzy zmieniają wasz świat". Chang współpracuje między innymi z „The Guardian", „The Nation" i „The New York Times". Jest

dyrektorem Institute for Diversity in the Arts na Uniwersytecie Stanforda.

Aya de León wykłada kreatywne pisarstwo na uniwersytecie Berkeley. Jej debiutem powieściowym jest feministyczna *Uptown Thief*, wydana w 2016 r. przez Kensington Books. Kontynuacją serii Justice Hustlers będzie wydana w 2017 r. *The Boss* i zaplanowana na 2018 r. *The Accidental Mistress*. Utwory de León ukazywały się na łamach „Ebony", „Guernica", „Writer's Digest", „Bitch", „The Huffington Post" i *Def Poetry*. Jest autorką blogów i wpisów na Twitterze na temat kultury, gender i problemów rasowych: @AyadeLeon oraz www.ayadeleon.com. Pracuje też nad serią ilustrowanych książek dla dzieci o sprawiedliwości społecznej oraz nad powieścią szpiegowską o czarnoskórej dziewczynie.

Junot Díaz urodził się w Dominikanie, a wychował w New Jersey. Jest autorem książki *Krótki i niezwykły żywot Oscara Wao*, uhonorowanej Nagrodą Pulitzera w 2008 r. i National Book Critics Circle Award. Jego powieść *This Is How You Lose Her* trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa" i była finalistką

National Book Award. Diaz otrzymał stypendium MacArthura, Guggenheima, nagrodę PEN/Malamud, Dayton Literary Peace Prize oraz PEN/O. Henry. Ukończył Uniwersytet Rutgera. Obecnie jest redaktorem „Boston Review", odpowiedzialnym za literaturę piękną, oraz wykładowcą na MIT.

Mona Eltahawy, Amerykanka egipskiego pochodzenia, feministyczna pisarka i komentatorka. Napisała *Headscarves annd Hymens: Why the Middle East Needs a Sexual Revolution.* Jej eseje i artykuły o Egipcie, świecie islamskim i kobietach ukazywały się między innymi w „The Washington Post" i „The New York Times". Gościła w MSNBC, BBC, CNN, PBS, Al Jazeera, NPR i wielu innych stacjach telewizyjnych i radiowych. Pisuje do „The International New York Times". Mieszka w Kairze i Nowym Jorku.

Boris Fishman jest autorem *A Replacement Life* oraz *Don't Let My Baby Do Rodeo*. Obie zostały wybrane jako Książki Roku „New York Timesa". American Library Association uhonorowała go medalem Sophie Brody, otrzymał też nagrodę VCU Cabell First Novelist. Jego artykuły, eseje

i recenzje ukazywały się między innymi w „The New Yorker”, „The New York Times Magazine”, „Book Review”, „The Guardian”, „Travel + Leisure” oraz w „New York”. Najnowsza książka poświęcona jest jedzeniu i tożsamości. Fishman mieszka w Nowym Jorku. Wykłada kreatywne pisarstwo na uniwersytecie Princeton.

Parnaz Foroutan, autorka *The Girl from the Garden*, otrzymała nagrody i stypendia od PEN Center USA Emerging Voices, Hedgebrook oraz Elizabeth George Foundation. Mieszka w Los Angeles z mężem i dwiema córkami.

Karen Joy Fowler jest autorką sześciu powieści oraz trzech zbiorów opowiadań. *Klub miłośników Jane Austen* trafił na listę bestsellerów „New York Timesa”. Jej najnowsza powieść *Nie posiadamy się ze szczęścia* otrzymała nagrodę PEN/Faulkner (2014), California Book Award i znalazła się w finale nagrody Man Booker. Fowler pisze też książki historyczne i science fiction. Mieszka w Santa Cruz w Kalifornii.

Cristina García jest nagradzaną autorką siedmiu powieści, w tym *Dreaming in Cuban*, *The Agüero Sisters*, *Monkey Hunting*, *A Handbook to Luck*,

The Lady Matador's Hotel, *King of Cuba* oraz mającej się ukazać *Here in Berlin*. Redagowała antologie, pisała książki dla dzieci, publikowała wiersze. Jej utwory nominowano do National Book Award i tłumaczono na czternaście języków. Mieszka nad zatoką San Francisco.

Alicia Garza jest aktywistką, pisarką, marzycielką o wolności, współzałożycielką #BlackLivesMatter, międzynarodowej organizacji powołanej do życia po zabójstwie Trayvona Martina, która zwalcza wszelkie formy rasizmu wymierzone przeciwko czarnym. Za swoją działalność Garza otrzymała liczne nagrody. W 2015 r. znalazła się na liście Root 100, wpływowych Afroamerykanów w przedziale wiekowym od 25 do 45 lat. Została Kobietą Roku 2016 pisma „Glamour" oraz jedną z „wybitnych przywódców" pisma „Fortune" za rok 2016. Jej teksty ukazywały się między innymi w „The Guardian", „The Nation", „The Feminist Wire" i „Truthout".

Francisco Goldman jest autorem *Say Her Name* (2011), nagrodzonej Prix Femina Étranger, oraz trzech innych powieści, dwóch książek z dziedziny literatury faktu, w tym *The Interior*

Circuit: A Mexico City Chronicle (2014). Otrzymał stypendium Cullman Center, Guggenheima i liczne nagrody, w tym Berlin Prize. Współpracował z „The New Yorker", „Harper's" i wieloma innymi pismami. Kieruje Premio Aura Estrada. Co rok wykłada przez jeden semestr w Trinity College w Hartford w stanie Connecticut, po czym wraca do Mexico City.

Jewelle Gomez jest autorką siedmiu książek, w tym kultowej powieści lesbijskiej o wampirach *The Gilda Stories*. W dwudziestą piątą rocznicę publikacji ukazała się ona nakładem City Lights Books. *Bones and Ash*, sceniczna adaptacja powieści autorstwa Gomez, była wystawiana w trzynastu miastach Stanów Zjednoczonych przez zespół taneczny Urban Bush Women. Gomez jest też autorką *Waiting for Giovanni*, sztuki o Jamesie Baldwinie. Jej nowa sztuka o piosenkarce Albercie Hunter, zatytułowana *Leaving the Blues*, ma mieć premierę wiosną 2017 r. w New Conservatory Theatre Center. Odwiedź ją na @VampyreVamp i www.jewellegomez.com.

Reyna Grande jest autorką trzech cenionych książek: *Across a Hundred Mountains, Dancing*

with Butterflies oraz *The Distance Between Us.* Otrzymała między innymi American Book Award, nagrodę Premio Aztlán i Luis Leal Award for Distinction w dziedzinie literatury Chicano/Latino. Urodzona w Iguali w Meksyku, Reyna miała dziewięć lat, gdy jako nielegalna imigrantka znalazła się w Stanach Zjednoczonych, by dołączyć do ojca. W swojej twórczości ma nadzieję pokazać ludzką twarz kontrowersyjnego zagadnienia imigracji. Odwiedź ją na www.reynagrande.com.

Mohja Kahf urodziła się w Syrii. Jest wykładowcą na uniwersytecie Arkansas. Napisała powieść *The Girl in the Tangerine Scarf* (2006), wydała tom wierszy *E-mails from Scheherazad.* Jej kolejny tom poezji *Hagar Poems* (2016) jest poświęcony historii Hagar, Abrahama i Sary. Kahf należy do Syrian Nonviolence Movement, wspiera Boycott, Divestment, Sanctions Movement.

Katie Kitamura jest autorką książek *Gone to the Forest* i *The Longshot*, finalistek nagrody New York Public Library's Young Lions. Otrzymała stypendium Lannan Foundation Residency. Współpracowała z „The New York Times Book Review", „The Guardian", „Granta", „BOMB",

„Triple Canopy” i „The White Review”; regularnie pisuje do „The Frieze”. Na początku 2017 r. ukazała się jej nowa powieść *A Separation*.

Hari Kunzru urodził się w Londynie. Autor powieści *Impresjonista, Transmisja, My Revolutions, Gods Without Men* i *White Tears*, zbioru opowiadań *Noise* i krótkiej powieści *Memory Palace*. W 2008 r. otrzymał stypendium Cullman New York Public Library, w 2014 r. stypendium Guggenheima, a w 2016 r. American Academy w Berlinie. Mieszka w Nowym Jorku.

Chip Livingston jest gejem, ma w sobie krew plemienia Krików. Autor powieści *Owls Don't Have to Mean Death* (2017), zbioru esejów *Naming Ceremony* oraz dwóch zbiorów wierszy: *Crow-Blue, Crow-Black* i *Museum of False Starts*. Jego prace ukazywały się w „Prairie Schooner”, „Ploughshares”, „South Dakota Review”, „The Cincinnati Review”, na stronach pism wydawanych przez Poetry Foundation i Academy of American Poets. Chip uczy w ramach programów MFA w Institute of American Indian Arts oraz na uniwersytecie Regis. Odwiedź www.chiplivingston.com.

Claire Messud jest autorką *Dzieci cesarza*, uznanej za Najlepszą Książkę Roku przez „New York Times” i „Los Angeles Times”. Jej pierwsza powieść *When the World Was Steady* oraz zbiór krótkich powieści *The Hunters* znalazły się w finale nagrody PEN/Faulkner; druga powieść Messud, *The Last Life*, została Najlepszą Książką Roku „Publishers Weekly” oraz „The Village Voice”. Wszystkie cztery książki zostały wyróżnione przez „New York Times”. Messud otrzymała stypendium Guggenheima i Radcliffe’a, a także Strauss Living przyznane przez American Academy of Arts and Letters. Mieszka w Cambridge w stanie Massachusetts z mężem i dziećmi.

Cherríe Moraga jest jedną z redaktorek (razem ze zmarłą Glorią Anzaldúa) *This Bridge Called My Back: Writings by Radical Women of Color*; autorką *A Xicana Codex of Changing Consciousness: Writings 2000–2010*, a także wspomnień *The Native Country of a Heart – A Geography of Desire*. Moraga otrzymała stypendium literackie USA Rockefeller. Wykłada na wydziale teatralnym i studiów porównawczych nad rasą i etnicznością

Uniwersytetu Stanforda. Założycielka La Red Xicana Indígena.

Celeste Ng jest autorką powieści *Everything I Never Told You*, bestsellera „New York Timesa”, Książki Roku 2014 „New York Timesa”, Najlepszej Książki Amazona za rok 2014 i uznanej za najlepszą książkę roku przez kilkanaście czasopism. *Everything I Never Told You* otrzymała też Massachusetts Book Award, Asian/Pacific American Award for Literature, American Library Association's Alex Award oraz Medici Book Club. Jej druga powieść *Little Fires Everywhere* ukaże się jesienią 2017 r. nakładem Little, Brown UK.

Viet Thanh Nguyen jest autorem powieści *Sympatyk*, bestsellera „New York Timesa”; laureat Nagrody Pulitzera. Otrzymał też Nagrodę Edgara za najlepszy debiut powieściowy i medal Andrew Carnegie za wybitne dokonania prozatorskie, przyznany przez American Library Association. Inne jego książki to *Nothing Ever Dies: Vietnam and the Memory of War*, która znalazła się w finale National Book Award w dziedzinie literatury faktu oraz National Book Critics Circle Award; *Race and Resistance:*

Literature and Politics in Asian America oraz *The Refugees.* Kieruje katedrą Aerol Arnold na anglistyce i jest wykładowcą studiów amerykańskich i etnicznych na Uniwersytecie Południowej Kalifornii.

Achy Obejas jest autorką *The Tower of the Antilles, Ruins* oraz *Days of Awe*. Redagowała i tłumaczyła *Havana Noir*, opowiadania kryminalne kubańskich pisarzy, zamieszkałych na Kubie i poza nią. Tłumaczyła twórczość takich autorów, jak Junot Díaz, Rita Indiana, Wendy Guerra i wielu innych. W 2014 r. otrzymała stypendium USA Ford. Wygłasza gościnnie wykłady w Mills College w Oakland. Od 2016 r. jest jedną z osób kierujących programem translatorskim w Mills. Więcej o Achy znajdziecie na www.achyobejas.com.

Peter Orner jest autorem powieści *The Second Coming of Mavala Shikongo, Love and Shame and Love*, zbioru opowiadań *Esther Stories* oraz *Last Car Over the Sagamore Bridge*, a także wspomnień *Am I Alone Here?* Publikował między innymi w „The New York Times", „The Atlantic", „Granta", „The Paris Review", „McSweeney's", „The Southern Review". Jego opowiadania trafiły

do antologii *The Best American Short Stories* i dwukrotnie otrzymały nagrodę Pushcart. Orner otrzymał nagrodę Rome, stypendium Guggenheima, dwuletnie stypendium Lannan Foundation oraz stypendium Fulbrighta w Namibii. Jest wykładowcą kreatywnego pisarstwa na Uniwersytecie Stanowym San Francisco.

Roxana Robinson jest autorką dziewięciu książek: pięciu powieści, w tym *Cost*, trzech zbiorów opowiadań i biografii *Georgia O'Keeffe: A Life*. Jej utwory ukazywały się między innymi w „The New Yorker", „The Atlantic", „Harper's", „The New York Times", „The Washington Post", „Bookforum", w antologii *The Best American Short Stories*, „Tin House". Robinson wykłada w ramach programu MFA na Hunter; dzieli czas między Nowy Jork, Connecticut i Maine. Otrzymała stypendium National Endowment for the Arts oraz Guggenheima; jest przewodniczącą Authors Guild.

Meredith Russo jest transgenderową pisarką z Chattanooga w stanie Tennessee. Czyta głównie fantasy i science fiction, pisze zaś ckliwe historie miłosne spod znaku LGBT (z naciskiem na T). Jej

debiutancka powieść *If I Was Your Girl* opowiada o transgenderowej dziewczynie, która przenosi się z małego miasteczka do ojca. Szuka siebie, próbując pogodzić miłość, przyjaźń i prawdę. Kiedy Meredith nie pisze, najczęściej można ją zobaczyć w mediach społecznościowych, gdzie wydziera się na temat sprawiedliwości społecznej i japońskich filmów animowanych.

Kate Schatz jest autorką *Rad American Women A-Z* oraz *Rad Women Worldwide*, bestsellerów „New York Timesa". Jej powieść *Rid of Me: A Story* ukazała się w 2007 r. w ramach serii „33⅓". Publikowała w „Lenny Letter", „BuzzFeed", „Signature", „Oxford American", „East Bay Express" i „Joyland". Jej opowiadanie *Folsom, Survivor* znalazło się w antologii *The Best American Short Stories 2011*. Jest współzałożycielką grupy feministycznej Solidarity Sundays. Mieszka z rodziną na kalifornijskiej wyspie Alameda.

Lisa See jest bestsellerową autorką wielu powieści, w tym *Kwiat śniegu i sekretny wachlarz*, *Dziewczęta z Szanghaju* i *China Dolls*. Jej najnowsza powieść *The Tea Girl of Hummingbird Lane* ukazała się w wydawnictwie Scribner

w 2017 r. W „Booklist” czytamy o tej powieści: „See koncentruje się na nierozerwalnej więzi matek i córek, składając hołd bezwarunkowej miłości”. Książki See tłumaczono na trzydzieści dziewięć języków. Więcej na www.lisasee.com

Jane Smiley jest autorką dwudziestu sześciu książek, beletrystyki i literatury faktu. W 1992 r. otrzymała Nagrodę Pulitzera za *Tysiąc akrów*. Jej najnowsza trylogia *The Last Hundred Years* (*Some Luck*, *Early Warning*, *Golden Age*) otrzymała nagrodę Heartland. Smiley wychowała się w Saint Louis w stanie Missouri, wiele lat spędziła w Iowa, obecnie zaś mieszka w Kalifornii. Regularnie pisze do „The Guardian” i „The New York Times”.

Luis Alberto Urrea jest autorem szesnastu książek, w tym *The Water Museum*, finalistki nagrody PEN/Faulkner w 2016 r. *The Devil's Highway* otrzymała Nagrodę Lannana i znalazła się w finale Nagrody Pulitzera. *The Hummingbird's Daughter* wyróżniono Nagrodą Kiriyamy. Urrea należy do Latino Literature Hall of Fame, otrzymał Nagrodę Edgara, American Book Award i Christopher Award. Mieszka z rodziną w Naperville w stanie Illinois, wykłada

kreatywne pisarstwo na uniwersytecie Illinois w Chicago.

iO Tillett Wright jest artystą, działaczem, aktorem, prowadzi program telewizyjny, pisze. Jego wspomnienia *Darling Days* ukazały się w 2016 r. Twórczość Wrighta jest poświęcona tożsamości; dotyczy to zarówno fotografii w ramach Self Evident Truths Project / We Are You, i jego udziału w produkcji programu *Suspect* w telewizji MTV. Wystawiał swoje prace w Nowym Jorku i Tokio, współpracował z „T: The New York Times Style Magazine". Jego zdjęcia publikowano w „GQ", „Elle", „New York" oraz „The New York Times Magazine". Urodzony w Nowym Jorku, obecnie mieszka w Los Angeles.

PRAWA AUTORSKIE

Symfonia na głosy (*A Symphony of Voices*), Carolina De Robertis, copyright © 2017 by Carolina De Robertis. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Radykalna nadzieja (*Radical Hope*), Junot Díaz, pierwszy raz ukazała się w „The New Yorkerze”, copyright © 2016 by Junot Díaz. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Droga Mamo Harriet (*Dear Mama Harriet*), Alicia Garza, copyright © 2017 by Alicia Garza. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Latarnia (*The Lantern*), Roxana Robinson, copyright © 2017 by Roxana Robinson. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Kochany Wnuczku (*Dear Henry*), Lisa See, copyright © 2017 by Lisa See. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

To nie moment, to ruch (*Not a Moment but a Movement*), Jewelle Gomez, copyright © 2017 by Jewelle Gomez. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

List do mojego syna (*A Letter to My Son*), Hari Kunzru, copyright © 2017 by Hari Kunzru. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Marzenia naszych ojców (*Dreams from Our Fathers*), Faith Adiele, copyright © 2017 by Faith Adiele. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Ameryka (*America*), Parnaz Foroutan, copyright © 2017 by Parnaz Foroutan. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Drogi Chebonie (*Dear Chebon*), Chip Livingston, copyright © 2017 by Chip Livingston. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Prawa człowieka to uchwyt. Przekaż go innym (*Human Rights Is the Handholt, Pass It On*), Mohja Kahf, copyright © 2017 by Mohja Kahf. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Ty (*You*), Achy Obejas, copyright © 2017 by Achy Obejas. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Zażądać niemożliwego (*A Time to Demand the Impossible*), Viet Thanh Nguyen, copyright © 2017 by Viet Thanh Nguyen. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

„Holla" z West Side (*A 'Holla' from the West Side*), Cherríe Moraga, copyright © 2017 by Cherríe Moraga. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Chodzi mi o to (*What I Mean*), Kate Schatz, copyright © 2017 by Kate Schatz. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Szanowny Panie Roell (*Dear Mr. Roell*), Boris Fishman, copyright © 2017 by Boris Fishman. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Kiedy Wy stoicie (*While You Are Standing*), Karen Joy Fowler, copyright © 2017 by Karen Joy Fowler. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Do kobiety stojącej w kolejce w sklepie (*To the Woman Standing in Line at the Store*), Elmaz Abinader, copyright © 2017 by Elmaz Abinader. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Drodzy z nowego tysiąclecia (*Dear Millennials*), Aya de León, copyright © 2017 by Aya de León. Tekst

wykorzystany za zgodą autorki.

Czy nie ma nadziei? (*Is There No Hope?*), Jane Smiley, copyright © 2017 by Jane Smiley. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Przyzwoitość i karma pod Pomarańczowym Cezarem (*Grace and Karma Under Orange Caesar*), Luis Alberto Urrea, copyright © 2017 by Luis Alberto Urrea. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

#FuckFascism #FuckthePatriarchy (*#FuckFascism #FuckthePatriarchy*), Mona Eltahawy, copyright © 2017 by Mona Eltahawy. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Lęk i opór (*The Fear and the Resistance*), Jeff Chang, copyright © 2017 by Jeff Chang. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

List do mojej córki (*A Letter to My Daughter*), Claire Messud, copyright © 2017 by Claire Messud. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Najważniejszy akt oporu (*The Most Important Act of Resistance*), Meredith Russo, copyright © 2017 by Meredith Russo. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

List do córki chrzestnej (*To My Goddaughter*), Reyna Grande, copyright © 2017 by Reyna Grande. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Językiem stworzysz siebie (*Language Is How You Will Make Yourself*), Katie Kitamura, copyright © 2017 by Katie Kitamura. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Jesteś taki jak ja (You Are My Kind), iO Tillett Wright, copyright © 2017 by iO Tillett Wright. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Zenaida (*Zenaida*), Francisco Goldman, copyright © 2017 by Francisco Goldman. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Otwórz się (*Stay Open*), Celeste Ng, copyright © 2017 by Celeste Ng. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Kilka myśli dla Roscoe (*Rambling Thoughts for Roscoe*), Peter Orner, copyright © 2017 by Peter Orner. Tekst wykorzystany za zgodą autora.

Queridísima Palomita: List do mojej praprapraprapraprawnuczki (*Queridísima Palomita: A Letter to My Great-Great-Great-Great-Great-Granddaughter*), Cristina

García, copyright © 2017 by Cristina García. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

Hasła z marszu kobiet (Signs from the Women's March), Carolina De Robertis, copyright © 2017 by Carolina De Robertis. Tekst wykorzystany za zgodą autorki.

O REDAKTORCE

Carolina De Robertis. Pisarka, Urugwajka z pochodzenia, autorka powieści *Bogowie tanga* i międzynarodowego bestsellera *Niewidoczna góra*. Jej przetłumaczone na siedemnaście języków książki zajmowały czołowe pozycje na listach Najlepszych Książek Roku w takich czasopismach jak „San Francisco Chronicle", „O, The Oprah Magazine" czy „Booklist" oraz w NBC. Jest laureatką Stonewall Book Award i Rhegium Julii Prize, stypendystką National Endowment for the Arts, amerykańskiej agencji zajmującej się wspieraniem kultury i sztuki, i wielokrotnie nagradzaną tłumaczką literatury latynoamerykańskiej. Zanim wydała swoją pierwszą książkę, dziesięć lat pracowała w sektorze publicznym, zajmując się prawami kobiet i imigrantów oraz problemem przemocy seksualnej. Obecnie prowadzi zajęcia z kreatywnego pisania na Uniwersytecie

Stanowym w San Francisco. Mieszka w Kalifornii z żoną i dwojgiem dzieci.

PRZYPISY

[1] Slangowe określenie, oznaczające kobietę, która jest świetna w tym, co robi.

[2] Sieć przerzutowa zbiegłych czarnych niewolników z południowych stanów Ameryki.

[3] Emma Lazarus, fragment wiersza *Nowy Kolos Rodyjski*, wykuty w piedestale Statuy Wolności; przekład J. Darasz.

[4] Koran, sura 4, 135. Przełożył J. Bielawski. PIW 1986.

[5] Op.cit. sura 5, 8. s. 128.

[6] James Baldwin, *U stóp krzyża: List zakamarka mojego umysłu* z *Następnym razem pożar*; przełożył Daniel Passent, Książka i Wiedza 1965.

[7] Hiszp. – płacz.

[8] Przychodzą tu na myśl między innymi *Sól ziemi* (1954), *El Norte* (1983), *La Bamba* (1987), *Quinceañera* (2006) i *Lepsze życie* (2011).

[9] James Baldwin, *Zadrżał mój loch: List do mojego bratanka w setną rocznicę emancypacji* z *Następnym razem pożar*;

przełożył Daniel Passent, Książka i Wiedza 1965.

[10] Tamże.

[11] Wprowadzone po wojnie secesyjnej – głównie w południowych stanach USA – regulacje prawne, które miały ograniczać prawa murzyńskich niewolników oraz pogłębiać rozdział między ludnością białą i czarną.

[12] Odwołanie do sloganu reklamowego „Mam frak, dojadę”, w którym poszukujący pracy aktorzy dawali do zrozumienia, że są gotowi na wszystko.

[13] Mario Savio, amerykański aktywista, znany ze swych płomiennych wystąpień. Cytat pochodzi z jego najsłynniejszego przemówienia, które wygłosił na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley 2 grudnia 1964 r.

[14] Steve Phillips, *Brown Is the New White: How the Demographic Revolution Has Created a New American Majority*; Nowy Jork, New Press, 2016.

[15] Audre Lorde, *This Bridge Called My Back: Writings By Radical Women of Color*; red. Cherríe Moraga i Gloria Anzaldúa; Nowy Jork, Kitchen Table Press, 1981.

[16] Ustęp o dopłatach do czynszu dla najuboższych Amerykanów.

[17] Hiszp. dosłownie „rasa”. Slangowe określenie dla wszystkich uciśnionych Latynosów z USA.

[18] Audre Lorde, *Siostra Outsiderka. Eseje i przemówienia*; przekład Barbara Szelewa, Wydawnictwo Czarna Owca,

Warszawa 2015.

[19] Audre Lorde, *The Cancer Journals.*

[20] William Szekspir, *Król Lear;* przełożył Leon Ulrich.

[21] Tamże.

[22] William Szekspir, *Hamlet;* przełożył Józef Paszkowski.

[23] Oryginalny hiszpański tytuł jest dużo lepszy: *Los migrantes que no importan*.